Czy dopłacać do artystów? • Tajemnice telefonu 112 • Wszystkie długi Gesslera
Polska bardziej zbrojna • Operacja Klaudia • Mundial Trumpa • Zełenski bez Orła?

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

Teraz już wszyscy ją znają i kochają

Bajka Mai

Maja Chwalińska na kortach Rolanda Garrosa. Od eliminacji do finału.

© ANNE-CHRISTINE POUJOULAT/AFP/EAST NEWS

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 24 (3568), 10.06–16.06.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ISSN 0032-3500

Wydanie w sprzedaży do 16.06.2026

eprasa.pl 3c38c03389

RAINBOW

R.pl

URLOP BEZ BAGAŻU?

Ponad 80% Polaków stresuje się powrotem do obowiązków już na wakacjach*. Może dlatego **tylko 1/3** z nas wraca z urlopu wypoczęta.

Sprawdź, jak Ty wypoczywasz i jak robić to lepiej na:

urlopbezbagazu.pl |

*źródło: Badanie „Rola odpoczynku w higienie psychicznej Polaków”, N=1000

eprasa.pl 3c38c03389

© SHUTTERSTOCK AI/LEL

24
Alarm na telefon

Temat tygodnia

10 Aleksandra Żelazińska
Awantura o kasę: czy powinniśmy się składać na artystów

Polityka

14 Marek Świerczyński
Polska bardziej zbrojna

18 Rafał Kalukin
Polska–Ukraina: konflikt o historię

Społeczeństwo

21 Aleksandra Żelazińska
Maja Chwalińska: nasza nowa duma narodowa

24 Katarzyna Kaczorowska
112: po drugiej stronie słuchawki

28 Paweł Walewski
Z Pekinu do Polski: historia studentki poruszyła wszystkich

32 Rozmowa z **Moniką Sobień-Górską** o szukaniu nowej duchowości i o tym, jak nie dać się oszukać

35 Violetta Krasnowska
Adam Gessler i jego długi

38 Marek Świerczyński
F-35: latający superkomputer

Rynek

41 Adam Grzeszak
Na krawędzi największego kryzysu energetycznego

44 Cezary Kowanda
Zapchane lotniska

Świat

46 Artur Domosławski
Mundial: wielkie pieniądze i wielka polityka

49 Agnieszka Zagner
IZRAEL–PALESTYNA
Czy idea dwóch państw została już pogrzebana?

52 Tomasz Zalewski
USA **Władza starców**

Nauka/projektpulsar.pl

55 Prof. **Hiroshi Ezura** o pomidorach, które obniżają ciśnienie krwi i redukują stres

58 **Polska nauka i AI – apel uczonych**

Historia

60 **Jonathan Wilson** o amerykańskim mundialu sprzed ponad 30 lat

63 Rozmowa z **Avrahamem Cohenem** o jego bracie Elim, najsłynniejszym szpiegu Mosadu

Kultura

70 Reżyser **Paweł Pawlikowski** o „Ojczyźnie" i zakorzenieniu w XX w.

78 Jakub Demiańczuk
Spielberg i obcy

81 Justyna Sobolewska
Tadeusz Konwicki: coraz bardziej współczesny

84 Rozmowa z **Isabelle Huppert** o „Bérénice", dzisiejszym teatrze i nowej publiczności

87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

94–97
- **TRE: czy trzęsienie ma sens**
- **Ferrari na prąd**
- **Szon czy torta**
- **Mury Évory**
- **Wino z Etny**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **66** Afisz
- **88** Hartman
- **90** Orliński
- **91** Koziołek
- **92** Chutnik i Plebanek
- **93, 98** Galeria POLITYKI
- **93** Do i od redakcji
- **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 3c38c03389

Gesty i gusty

Bartek Chaciński

Najhuczniejsze „Sto lat" dla Mai Chwalińskiej odśpiewano w ten weekend nie w Paryżu, tylko na Stadionie Śląskim. W wydarzeniu brało udział niemal 90 tys. osób, a zaaranżował je Dawid Podsiadło, artysta pochodzący z Dąbrowy Górniczej, który podczas pierwszego koncertu swojej stadionowej trasy chciał w ten sposób zwrócić uwagę na drogę do finału w Roland Garros tenisistki dorastającej w tym samym mieście. O tej drodze piszemy na s. 88. Chwalińska finałowe starcie przegrała, otrzymując w turnieju pamiątkową paterę za drugie miejsce, odpowiedziała więc wokaliście w social mediach: „Pucharu nie mam, ale mogę dać Ci talerz, Dawid!".

To była krzepiąca wymiana grzeczności pomiędzy reprezentantami dwóch grup zawodowych, które przez cały tydzień dzieli gorący spór na temat projektu ustawy zakładającej dopłaty do składek emerytalnych słabo zarabiających artystów. Pomysł narzędzia wsparcia tylko dla twórców najbiedniejszych lub chwilowo pozbawionych źródła dochodów ściągnął na artystów długi strumień epitetów, które przytaczamy w naszym tekście (s. 10): darmozjady, lenie, nieroby, beztalencia. I złodzieje, bo chcą odebrać pieniądze z grubsza wszystkim innym. W roli napastnika w tym sporze wystąpił Sławomir Mentzen, poseł i współprzewodniczący Konfederacji. A rolę rozgrywającego przyjął dziennikarz sportowy Krzysztof Stanowski, prezes Kanału Zero.

Wyzywanie artystów od nierobów to gest nienowy, a przy tym populistyczny. Bo bardzo łatwo go wykonać w stosunku do tak subiektywnie odbieranej dziedziny, jaką jest sztuka. Jeśli czasem mówimy, że o gustach się nie dyskutuje, to tu najłatwiej się przekonać dlaczego: kto chce opowiedzieć o swoim wsparciu dla sztuki, posłuży się obrazkiem ulubionego artysty, a kto chce udowodnić, że do sztuki nie należy dopłacać, użyje przykładu artysty nieznanego, nielubianego przez siebie albo tworzącego coś banalnego – „patrzta, ludzie, jaki bohomaz, moje dziecko lepiej potrafi". W ten sposób – od jednego memicznego przykładu do drugiego – można się okładać miesiącami, to z laczka, to z kopyta. A na końcu skwitować rozmowę frazą z innej piosenki Kazika Staszewskiego (zresztą krytyka podatków i ultraliberała): „Artysta głodny jest o wiele bardziej płodny".

W szerszym obrazku wygląda to tymczasem niepozornie: wsparcie byłoby potrzebne dla ok. 20 tys. osób, jego roczne koszty dla budżetu to nieco ponad 300 mln zł rocznie. W kraju, w którym – przypomnę – suma rocznych składek na ZUS sięga 400 mld zł, a same tylko dopłaty do ZUS z budżetu państwa to ponad 90 mld zł.

Dodatkowo mówimy o kraju, który stać na podobnego rzędu dopłaty do innych grup zawodowych, np. księży (ponad 20 tys. osób). I na kilkaset milionów złotych rocznie (z kas samorządów i budżetu centralnego) płaconych na polską piłkę nożną. Kilkadziesiąt milionów rocznie wydajemy na samo tylko policyjne zabezpieczenie meczów zapobiegające zniszczeniom materialnym i rozlewowi krwi (świat kultury jest o wiele spokojniejszy). A to tylko jeden ze sportów. Inne bywają, owszem, słabiej dofinansowane. Perypetie Mai Chwalińskiej związane z jej długim przebijaniem się do światowej czołówki stały się jednym z głównych tematów komentarzy po paryskim finale. Jak widać hasło „Czy nie stać nas na to?" pada coraz częściej, nie tylko przy okazji artystów.

Tymczasem ze strony sportowca, zawodnika MMA Łukasza Jurkowskiego, padły jedne z najmocniejszych słów w całej dyskusji o wsparciu artystów: „A co z tymi, którzy pracują artystycznie, ale nie mają okazji zarobić większych pieniędzy? Brutalnie, ale szczerze… dla mnie drugie miejsce na podium to pierwszy przegrany. Bądź najlepszy albo znajdź inne zajęcie". Wygląda to na kalanie własnego gniazda, bo co ma po takich słowach powiedzieć Chwalińska? Może spakować paterę, wrócić do domu i poszukać nowego miejsca pracy?

Przykład Podsiadły i Chwalińskiej stawia to wszystko do góry nogami, mamy tu bowiem artystę, który na rynku poradził sobie idealnie i zawodniczkę popularnego sportu, która miała mocno pod górkę. Tymczasem w dyskusji o uposażeniach dla słabiej zarabiających artystów brakuje trochę wsparcia ich zdolniejszych i bardziej majętnych kolegów po fachu (wśród wyjątków znalazł się Tomasz Organek). Kilka gestów dolało za to ostatnio oliwy do ognia: wypowiedź Olgi Tokarczuk o korzystaniu z dobrodziejstw (choć niektórzy powiedzieliby: złodziejstw) AI oraz posiłkowanie się w wideoklipie narzędziami generatywnej AI przez wspomnianego Podsiadłę ściągnęły na nich gniew publiczności.

Z AI jest trochę jak z samymi artystami – korzystają z niej już prawie wszyscy, ale prasę ma marną. W pamięci zostaje to, że odbiera pracę, że jeszcze mocniej kumuluje bogactwo wokół kilku ośrodków biznesowych, a wreszcie – że zużywa zasoby, wodę i energię. Tymczasem, jak pisze Adam Grzeszak (s. 41), stoimy na progu wielkiego kryzysu energetycznego, związanego z ograniczeniami produkcji gazu w krajach Zatoki Perskiej.

Jedynym paliwem, którego zasoby wydają się dziś nieograniczone, jest negatywna emocja. Politycy już dawno nauczyli się z tego przystępnego zasobu korzystać, szczując jednych na drugich: skoro jesteś przeciwko dopłacaniu na tych darmozjadów, to powinieneś być za nami, my nigdy na to nie pozwolimy. To nieprawda. W sprawie emerytur dla artystów długo mieliśmy względne porozumienie – również rząd PiS próbował ten problem ustawowo uregulować, poległ wtedy na formalnych zapisach projektu ustawy.

Warto uniknąć łatwego pakietowania światopoglądowego – poleca to także nasz zdobywca Srebrnej Palmy (odpowiednika tej patery) w Cannes, Paweł Pawlikowski na s. 70. A artystów, podobnie jak sportowców, należałoby wyjąć z bieżącego sporu. Obie te dziedziny są świetnymi narzędziami *soft power*, obie mają swoich mistrzów i sporo postaci mniej widocznych, w których karierze może jeszcze dojść do jakiegoś przełomu, a którym bogacące się państwo powinno pomagać na zakrętach.

Szanse na taką zgodę są niewielkie. Nadzieja, że projekt ustawy szybko przejdzie ścieżkę legislacyjną i że na końcu podpisze ją prezydent (jak twierdzi na naszych łamach ministra Cienkowska: przychylny), chyba jeszcze mniejsza. Dziś żaden chatbot AI nie oceni jej wysoko. Ale jeśli cofniemy się o trzy tygodnie: kto przewidywał, że w finale turnieju Roland Garros zagra Polka, na dodatek inna niż Iga Świątek? Dopóki naszego życia nie programuje jeszcze AI, wszystko jest możliwe.

eprasa.pl 3c38c03389

Albatros travel

Albatros 40 lat

Peru

Od Machu Picchu do jeziora Titicaca

W ciągu 12 dni poznamy najważniejsze atrakcje jednego z najbardziej fascynujących krajów Ameryki Południowej: kulturę Inków, wspaniałą przyrodę Andów i okazałe jezioro Titicaca.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Polski do Limy. **Dz. 2** Lima. Zwiedzanie starego miasta, kościół San Francisco i Muzeum Archeologiczne Larco. **Dz. 3** Przelot Lima–Cusco i przejazd do Ollantaytambo. **Dz. 4** Ollantaytambo. Wycieczka pociągiem do Machu Picchu. **Dz. 5** Ollantaytambo. Wycieczka do salin Maras, stanowisko archeologiczne w Moray oraz wizyta w lokalnej wiosce. **Dz. 6** Ollantaytambo–Cusco. Po drodze zwiedzanie Pisac i Sacsayhuamán. **Dz. 7** Cusco. Świątynia Coricancha i targ San Pedro. **Dz. 8** Czas wolny w Cusco lub fakultatywna wycieczka na Górę Tęczową. **Dz. 9** Przejazd z Cusco do Puno nad jeziorem Titicaca. Fascynująca podróż autobusem przez Andy. **Dz. 10** Jezioro Titicaca. Pływające wyspy Uros i obiad u lokalnej rodziny na wyspie Taquile. **Dz. 11** Przelot do Limy. Podróż powrotna do domu. **Dz. 12** Przylot do Polski.

12 dni
Wyloty z Warszawy i Krakowa
26/02, 17/04 2027

od **15.998,-**

NOWOŚĆ

Stambuł – brama do Orientu

Wyrusz z nami w fascynującą podróż do Stambułu – miasta, gdzie Wschód spotyka się z Zachodem, a tysiące lat historii splatają się z tętniącym życiem metropolii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Stambuł. Zakwaterowanie w hotelu i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta i obiad– Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana, rejs po Bosforze i Wielki Bazar oraz obiad. **Dz. 4** Stambuł na własną rękę. **Dz. 5** Powrót do domu.

5 dni | Wyloty z Warszawy 18/09, 29/09, 11/10 2026 | od 4.698,-

Transylwania i jej perły kultury

Ciągnące się kilometrami lasy, majestatyczne góry, średniowieczne miasta, wspaniałe zamki i pałace oraz niesamowite opowieści związane z hrabią Drakulą.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Bukareszt. Zwiedzanie miasta oraz powitalna kolacja w lokalnej restauracji. **Dz. 2** Bukareszt – Sybin. Pałac Parlamentu, czas wolny a następnie przejazd do Sybina. **Dz. 3** Sybin – Hamba – Sibiel – Sybin. Spacer po mieście a następnie czas wolny. Wycieczka fakultatywna na pszczelą farmę z kolacją ze specjałami kuchni rumuńskiej. **Dz. 4** Sybin – Alba Iulia – Turda – Sighisoara. Cytadela Habsburgów i kopalnia soli w Turdzie. **Dz. 5** Sighisoara. Zwiedzanie miasta Sighisoara i wycieczka fakultatywna do winnicy z degustacją wina i kolacją. **Dz. 6** Sighisoara – Saschiz – Viscri – Braszów. Wizyta w warsztacie garncarskim i wiejska sielanka w Viscri. **Dz. 7** Braszów – Bran – Braszów. Zwiedzanie Braszowa i Zamku Drakuli w Bran wraz z kolacją w zamku. **Dz. 8** Braszów – Sinaia – Bukareszt. Zamek Peles i powrót do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 02/10 2026 | od 6.498,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL21**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 3c38c03389

Majątek Ziobry

Topniejące oszczędności i kontrowersyjna pożyczka – taki obraz wyłania się z opublikowanego właśnie na stronach Sejmu oświadczenia majątkowego Zbigniewa Ziobry. Formalnie wciąż jest posłem, ale ostatni raz głosował w październiku. Ziobro na koniec minionego roku miał 260 tys. zł oraz 800 euro oszczędności. To mniej niż rok wcześniej, kiedy deklarował 476 tys. zł oraz 145 euro. Jest właścicielem domu o wartości ok. 1 mln zł i trzech działek, które wycenia łącznie na 485 tys. zł. W oświadczeniu osobliwie tłumaczy się z kontrowersyjnej pożyczki. „Nie dysponowałem wówczas na Węgrzech większymi środkami finansowymi, które pozwoliłyby mi zorganizować obronę". Z opresji uratowała go własna fundacja – Instytut Polski Suwerennej – która wyłożyła 57 tys. zł (Ziobro obiecuje zwrot z 50-procentową nawiązką).

Skąd fundacja miała pieniądze? Według ustaleń ABW na przełomie października i listopada 2025 r., a więc tuż przed kluczowym sejmowym głosowaniem nad ustawą o kryptowalutach, konto Instytutu zostało zasilone kwotą 450 tys. zł przez szefa giełdy

Zondacrypto Przemysława Krala. Wygląda na to, że finansował on obronę Ziobry, a posłowie dbali o interesy branży w Sejmie.

Do marca tego roku Ziobro otrzymywał z Sejmu uposażenie (za poprzedni rok to 141,9 tys. zł) i dietę parlamentarną (44,1 tys. zł). Usprawiedliwiał nieobecności chorobą, więc dostawał przelewy. Jednak potem prezydium Sejmu zdecydowało o odebraniu mu diety (4335 zł) i obniżeniu uposażenia o 90 proc. – do 1387 zł miesięcznie. Prokuratura w związku ze stawianymi Ziobrze zarzutami już w listopadzie wydała postanowienie o zajęciu jego majątku. Prognozowana szkoda, jaką będzie musiał naprawić w wypadku skazania, przekracza 143 mln zł. Zabezpieczenie obejmuje więc ułamek tej sumy. „12 listopada 2025 r. zajęte zostały środki pieniężne na moim rachunku bankowym, a także moje nieruchomości" – zaznaczył Ziobro w oświadczeniu majątkowym. To nie do końca prawda, bo m.in. ze względu na błędy formalne sądy odrzucały wnioski o zabezpieczenie. Udało się dopiero w kwietniu, za piątym razem.

Kiedy pierwszy raz prokuratura informowała o zajęciu (w listopadzie), Ziobro pisał na X, że „nie robi to na nim wrażenia". Prokuratura przekazała, że na zabezpieczonych rachunkach nie było pieniędzy, ale od momentu skutecznego zajęcia wszystkie, które wpływają, zostają już zabezpieczone. Być może ten spokój Ziobry wynikał z tego, że od lat ma ze swoją żoną Patrycją Kotecką intercyzę. Stały dochód zapewniają im koledzy, bo Kotecka jest asystentką europosłów Daniela Obajtka, Jacka Ozdoby i Patryka Jakiego. I tak zarabia ok. 10 tys. euro. Mają z czego żyć, a w razie czego wierni druhowie mogą pohandlować sejmowymi głosowaniami. (DĄB.)

Ostatnie dzwonki?

Zakaz korzystania z telefonów komórkowych w podstawówkach coraz bliżej. Rząd przyjął projekt ustawy przedstawionej przez ministrę Barbarę Nowacką. Pojawiła się w nim zmiana w stosunku do tego, co zapowiadano: regulacje mają obejmować nie tylko placówki publiczne, ale także niepubliczne. Podniosło się larum – głównie dlatego, że w ostatnich tygodniach roku szkolnego władze informują 1,5 tys. placówek o ważnej zmianie organizacyjnej, które mają wprowadzić tuż po wakacjach. Do tego dokładają się one do długiej listy innych zmian – przewidywanych, ale słabo rozpoznanych (jak wprowadzenie nowej podstawy programowej).

Dzieci nie będą mogły używać smartfonów (podobnie jak innych urządzeń umożliwiających komunikację i nagrywanie) podczas lekcji, przerw i innych zajęć w szkołach, chyba że nauczyciel zaplanuje wykorzystanie ich do nauki, testów czy quizów. Wyjątkiem będzie też uzasadnienie zdrowotne – gdy aplikacja jest uczniowi potrzebna do monitorowania np. poziomu glukozy.

Jak to wszystko przeprowadzić organizacyjnie i formalnie, szkoły mają ustalić same. Chodzi o określenie kar za łamanie zakazu oraz o to, co dzieci mają robić z urządzeniami – bo część uczniów z pewnością będzie je przynosić, choćby po to, żeby być w kontakcie z rodzicami w drodze do i ze szkoły. Zatem trzeba stworzyć miejsca do przechowywania telefonów – kilkuset, a czasem nawet ponad tysiąca, w przypadku większych miejskich szkół – oraz system odbierania i oddawania ich dzieciom. Wszystko to jest wykonalne, ale nieuczciwa jest komunikacja resortu, że nowe regulacje będą dla placówek bezkosztowe.

Doświadczenia innych krajów pokazują, że ograniczenia w korzystaniu z telefonów w szkołach przekładają się na lepszą koncentrację uczniów na zajęciach. Nie widać jednak głębszych zmian, jeśli chodzi o kondycję psychiczną dzieci czy uzależnienia, bo w sieci przebywają przede wszystkim po lekcjach, we własnych domach, niepilnowane przez rodziców. Na plus dla rządu jest przyjęcie również projektu przepisów o ochronie małoletnich przed dostępem do pornografii w internecie. Obowiązek skutecznej weryfikacji wieku ma zostać przerzucony na dostawców usług cyfrowych, co jest kierunkiem, w którym idzie cały świat.

Zmiany przez parlament raczej na pewno przejdą. Pytanie, jak zawsze, co zrobi z nimi prezydent. (J.CIEŚL)

© BEATA ZAWRZEL/REPORTER, VITALIY KRIUCHKOV/SHUTTERSTOCK, WOJCIECH WÓJCIK/FORUM

eprasa.pl 3c38c03389

Zamach na zdrowy rozsądek

Anna Siewierska
Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka

To nie był dobry tydzień dla KO. Odwołanie Aleksandra Miszalskiego i konieczność przeprowadzenia wyborów w Krakowie otworzyły opozycji furtkę do kolejnych batalii. Nawet jeśli w Rzeszowie, we Wrocławiu czy w Kielcach nie uda się powtórzyć krakowskiego scenariusza, to prawica i tak wykorzysta to „okienko transferowe", żeby narzucić swoją narrację o źle zarządzanych samorządach i pogardzie dla mieszkańców. Donald Tusk nie zamierza jednak rozpamiętywać przegranej, tylko działać. Zaczął od opcji atomowej, czyli odwołania całej partyjnej struktury w Małopolsce, co po ludzku można zrozumieć, jednak logicznie już trudniej to pojąć. Nie wiadomo, kto teraz będzie pracować w przyspieszonej kampanii, a przede wszystkim – czy KO z przegranej Miszalskiego wyciągnęła właściwe wnioski. Można odnieść wrażenie, że niekoniecznie. Z ust polityków KO pada sporo uwag o hejcie, manipulacji, o pieniądzach Łukasza Gibały i jego prywatnej krucjacie przeciwko prezydentowi Krakowa. Jedynie z rzadka i nieśmiało – o Strefie Czystego Powietrza, którą wprowadzono bez konsultacji z mieszkańcami na obszarze obejmującym 60 proc. miasta, zapominając, że dla Polaków samochód to nie tylko środek transportu, ale także symbol statusu społecznego, normalności, a nawet wolności. Sam Miszalski przyjął strategię przemilczania kampanii referendalnej, licząc na niską frekwencję, która uczyni referendum nieważnym, co prawie się udało. Prawie – bo w ostatnich tygodniach przed głosowaniem sama KO z lokalnej sprawy, którą należało wyciszać, uczyniła zagadnienie ogólnopolskie, przyciągając uwagę nawet tak egzotycznych uczestników debaty publicznej, jak Marianna Schreiber.

Jakby tego mało, tuż przed długim weekendem Polacy dostali nowy temat do rozmów przy grillu. Otóż rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak napisała długi list do właścicielki pewnego lokalu w Pszczynie, przekonując ją, aby zrezygnowała z trwającej ponad 25 lat lokalnej tradycji. Lodziarnia Pod Dębem rozdawała darmowe lody uczniom, którzy na świadectwie mieli czerwony pasek – co Biuro RPO uznało za formę nagradzania, która może prowadzić do poczucia wykluczenia dzieci, które czerwonego paska nie zdobyły. Sprawa wywołała ogólnopolską burzę, i to nie tylko w prawicowej bańce, która list rzeczniczki uznała za przejaw „absurdów lewackiej ideologii", przekroczenie kompetencji i politykę równania w dół. Oburzenie interwencją RPO połączyło na chwilę niemal cały polski internet. Część komentatorów wykorzystała sprawę, aby wytknąć rządowi, że „zajmuje się duperelami" zamiast problemami Polaków; inni z kolei od lodów przeszli do uderzenia w cały polski system edukacji, w którym takie zjawisko jak czerwony pasek nadal istnieje. Niezależnie od argumentów dominującą emocją było poczucie zamachu na zdrowy rozsądek i normalność.

Z pozoru obu tych spraw nic nie łączy, jednak dla rządu to kolejne ostrzeżenie. W tygodniu, w którym podpisywano umowy SAFE, wynegocjowano z Ukrainą kolejną fazę ekshumacji na Wołyniu i obchodzono rocznicę 4 czerwca, Polska żyła narracją narzuconą przez opozycję.

Powtórka Rospudy

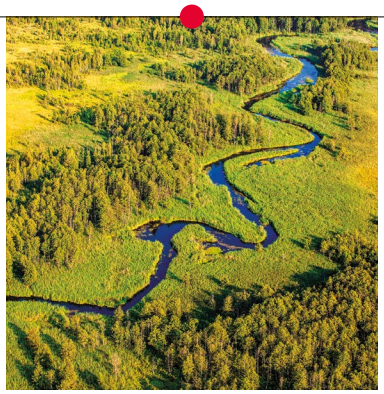

Augustów nie chce obwodnicy. Przynajmniej nie tej, którą proponuje Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad. – *Pobiegnie przez tereny miasta, a nie wokół niego. Oddzieli nas od objętego strefą ciszy jeziora Sajno. Pod oknami jednego z osiedli, dotąd otoczonego lasem, wyrośnie estakada. Przetnie sanktuarium w Studzienicznej i zabytkową śluzę na Kanale Augustowskim w Przewięzi. Wprowadzi ruch tranzytowy w okolice uzdrowiska. Wiele zabierze i nic nie da w zamian* – przekonuje zastępca burmistrza Filip Chodkiewicz.

Władze i mieszkańcy obawiają się, że przez nowy kształt drogi krajowej nr 16 spadnie popularność okolicy. Jest się o co bić, bo miejscowe lasy, jeziora, kanały i zakłady lecznicze co roku przyciągają kilkaset tysięcy osób, turystów i kuracjuszy. Poza tym po otwarciu nieodległej drogi ekspresowej w kierunku Litwy ruch ciężarówek znacząco zmalał, stąd miasto o budowę nie zabiegało – śle więc monity do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Białymstoku, by nie wydawać decyzji środowiskowej.

Drogowcy twierdzą, że trasa uzupełni sieć. Tiry mogą się pojawić, gdy powstanie Via Carpatia i jadący z południa Europy ruszą na skróty w stronę państw bałtyckich. Augustów leży na strategicznie ważnym przesmyku suwalskim; zdaniem wojska obok istniejącej ekspresówki potrzeba jeszcze jednego korytarza: do zaopatrywania oddziałów spieszących Bałtom z odsieczą i do ewakuacji Wilna. – *Rozwiązaniem kompromisowym, niewymagającym cięcia lasów, a utrzymującym łączność z Litwą, byłoby zwiększenie nośności istniejącej trasy wojewódzkiej 653 z Suwałk dochodzącej do drogi 16 w okolicy Sejn* – podpowiada Piotr Piłasiewicz, przyrodnik i augustowski przedsiębiorca.

Obwodnica to cała epopeja. Rząd PiS planował 600-metrową przeprawę przez przyrodniczo cenną dolinę Rospudy, czym przyczynił się do środowiskowego przebudzenia Polaków. W grę wchodzi jeszcze odsunięcie drogi na wschód (tym wariantem Augustów jest zainteresowany). Minusy? Szatkowanie Puszczy Augustowskiej i kolizja z zasadami ochrony przyrody. – *W tym projekcie 17 km nowego asfaltu tnie terytoria rysi i wilków. Zagraża jednym z ostatnich w Polsce miejsc występowania głuszca i dwóm rezerwatom z wymierającymi gatunkami chrząszczy i storczyków. Walczymy z suszą, a tu postuluje się zasypywanie lasów bagiennych chronionych europejskim prawem* – mówi Agnieszka Grajewska, ornitolożka z Towarzystwa Przyrodniczego Dubelt. Słowem, dość materiału na drugą i trzecią Rospudę. I wciąż nie ma którędy poprowadzić drogi. (WIN)

eprasa.pl 3c38c03389

Dym nad Petersburgiem

Dla Władimira Putina to jedno z najważniejszych wydarzeń roku. Rosyjskie Davos, czyli Międzynarodowe Forum Ekonomiczne w jego rodzinnym Petersburgu, miało być pokazem siły i stabilności rosyjskiej gospodarki, ale nie wyszło zbyt dobrze. Goście – z powodu sankcji i wojny w Ukrainie – dopisali słabo. Do tego ukraińskie drony dalekiego zasięgu dwa razy podczas imprezy przedarły się przez obronę przeciwlotniczą. Zamiast potęgi gospodarki uczestnicy zobaczyli dymy nad Newą. Zamknięto lotnisko. Ucierpiały baza floty bałtyckiej w pobliskim porcie Kronsztad, terminal paliwowy i magazyny wojskowe.

„Nasze drony odwiedziły pańskie forum w Petersburgu, pokonując ponad tysiąc kilometrów. Jak pan wie, nie jest to granica naszych możliwości" – napisał Wołodymyr Zełenski w otwartym liście do Władimira Putina. Dodał, że Ukraina jest gotowa na rozmowy pokojowe. Zaproponował osobiste spotkanie na neutralnym gruncie i całkowite zawieszenie broni wzdłuż obecnej linii frontu. Wcześniej, jeszcze w maju, spotkanie liderów usiłował umówić rosyjski oligarcha Roman Abramowicz, ale nie ma jasności, czy była to inicjatywa Kijowa czy Moskwy. List Zełenskiego zyskał aprobatę Donalda Trumpa („Cieszę się, że rozmawiają o spotkaniu. Myślę, że mieliśmy w tym duży udział"). Z zadowoleniem gotowość Kijowa do negocjacji przyjęli też najważniejsi sojusznicy Ukrainy w Europie: Francja, Wielka Brytania i Niemcy. Przywódcy tych państw spotkali się z Zełenskim i zapewnili o swoim poparciu.

Putin uznał list Zełenskiego za „prostacki". Odrzucił pomysł spotkania i dodał, że działania zbrojne „zakończą się, gdy Rosja osiągnie swoje cele". Wyjaśniał, że wszystko jest pod kontrolą, a rosyjska armia „atakuje na całej linii frontu".

Tylko że te ataki niewiele przynoszą. Wojna coraz częściej toczy się z dala od frontu – z marnym dla Rosji skutkiem. Ukraińcy atakują rafinerie i magazyny paliw na zapleczu. Kolejki do stacji benzynowych i braki paliw odczuwane są w całej Rosji.

Na okupowanym Półwyspie Krymskim paliwo było na talony, ale i jego zabrakło. Zaczęły się też problemy z żywnością. Krym to miejsce, gdzie Rosjanie lubią spędzać wakacje, ale w takich warunkach trudno myśleć o odpoczynku. Inny nadmorski kurort, Soczi, również jest atakowany – alarmy uruchamiane są po kilka razy dziennie. Na dachach wieżowców w dużych miastach montuje się instalacje przeciwlotnicze. W piątym roku wojna zaczyna zaglądać do domów i portfeli zwykłych Rosjan, w badaniach widać, że nastroje społeczne się pogorszyły. Jednak i Ukraina płaci ogromną cenę. Rosja ostatnio ostrzeliwuje duże miasta. Głównym celem stał się Kijów, atakowany przez setki dronów i dziesiątki rakiet.

PAWEŁ RESZKA SPOD PETERSBURGA

Netanjahu rozkazuje

Znów się zaczęło. Po dwóch miesiącach względnego spokoju na linii Izrael–Iran od niedzieli obie strony wymieniają bezpośrednie ciosy. Iran wystrzelił kilkanaście **pocisków balistycznych** w stronę Izraela, które – według izraelskich źródeł – nie poczyniły większych szkód. W nocy z niedzieli na poniedziałek odpowiedział Izrael, atakując największe irańskie miasta i dużą rafinerię. Nowa eskalacja nie jest na rękę prezydentowi Donaldowi Trumpowi, który liczył na przełomowe porozumienie z Iranem i wzywał premiera Beniamina Netanjahu do wstrzemięźliwości.

Najnowsza sekwencja jest następująca. W środę 3 czerwca Biały Dom ogłosił rozejm między Libanem a Izraelem. Tamtejszy kryzys rozpoczął się, gdy Hezbollah zaatakował z Libanu północny Izrael w ramach solidarności z Iranem zaatakowanym z kolei przez amerykańsko-izraelską koalicję. Zeszłotygodniowy rozejm przewidywał, że Izrael powstrzyma się od ataków na Bejrut, jeśli spokój zachowa również Hezbollah. Problem polega na tym, że rozejm zaakceptował libański rząd, ale nie Hezbollah. Ta szyicka organizacja próbuje bronić swoich pozycji w południowym Libanie, gdzie coraz głębiej wchodzi armia izraelska, równając kolejne wioski z ziemią i najwyraźniej przygotowując się do dłuższej okupacji. Spychany Hezbollah ostrzeliwuje północny Izrael. A Izrael bombarduje południowe przedmieścia Bejrutu, gdzie – jego zdaniem – Hezbollah ma swoje główne bazy.

Teraz szerszy kontekst. Trwają negocjacje między Iranem a Stanami Zjednoczonymi – głównie w sprawie odblokowania cieśniny Ormuz i – w dalszej perspektywie – przyszłości irańskiego programu nuklearnego. Trump jednego dnia potrafi napisać, że porozumienie jest o krok albo że nie ma na nie szans. Trudno jednak nie zauważyć, że amerykańskiemu prezydentowi bardziej na nim zależy, głównie z powodów ekonomicznych i prestiżowych. Blokada Ormuzu, jeśli potrwa jeszcze kilka tygodni, może wywołać globalny kryzys gospodarczy z powodu niedoboru ropy naftowej. Z kolei obecny impas w konflikcie z Iranem nie sposób przedstawić jako amerykańskie zwycięstwo, które obiecywał Trump. Tylko że Iran stawia warunek – porozumienie musi obejmować również Liban.

I tu Trumpowi dochodzi największy problem – wizerunkowy. Przez ostatnie dni próbował wymusić na Netanjahu wstrzymanie działań w Libanie. W rozmowie telefonicznej Amerykanin miał nawet użyć bardzo ostrych słów wobec Izraelczyka, a w piątek w wywiadzie dla „Financial Times" powiedział „I call all the shots. He (Netanjahu – przyp. red.) doesn't call the shots", co można przetłumaczyć na „Ja wydaję rozkazy. On nie wydaje rozkazów". Okazało się jednak inaczej.

ŁUKASZ WÓJCIK

© AP/EAST NEWS, AHMAD GHARABLI/AFP/EAST NEWS, FINNBARR WEBSTER/GETTY IMAGES, AP/EAST NEWS, YURI KOCHETKOV/IMAGO/EAST NEWS

eprasa.pl 3c38c03389

Sprawa Nowaka

Sąd w Southampton skazał na dożywocie 23-letniego sikha **Vickruma Digwę** za zabójstwo 18-letniego studenta Henry'ego Nowaka, z pochodzenia Polaka. Sprawca zadał pięć ciosów sztyletem, a policji skłamał, że to on został napadnięty na tle rasistowskim. Interweniujący funkcjonariusze skuli i przygnietli do ziemi ofiarę mimo jej skarg, że nie może oddychać. Nie dali też młodemu człowiekowi wiary, że jest podźgany nożem. Nowak zmarł po dwóch minutach na oczach policjantów.

W Southampton odbyły się manifestacje. Opozycyjni konserwatyści, a przede wszystkim rosnąca w siłę skrajna prawica Nigela Farage'a mówią o „policji dwóch prędkości", dla której prawa i przywileje białych liczą się mniej niż prawa mniejszości etnicznych. Farage potępił „rasizm przeciw białym". Brytyjskie prawo zakazuje posiadania w miejscach publicznych noży o ostrzach dłuższych niż trzy cale (7,62 cm), uczyniono jednak wyjątek dla sikhów, którzy mogą nosić tradycyjny sztylet *kirpan* (jak na ironię jest to symbol obrony pokrzywdzonych).

Tragiczną w skutkach interwencję zarejestrowała policyjna kamera. Nagranie obiegło świat i mimo apeli rodziny Nowaka, by morderstwa nie wykorzystywać dla korzyści politycznych, wywołało liczne komentarze. Zdaniem francuskiego publicysty Erica Zemmoura, zwolennika „teorii zastąpienia" (głoszącej, że biała ludność Europy zostanie wkrótce wyparta z kontynentu przez kolorową), zbrodnia w Southampton to metafora tego, czego doświadcza Zachód: rdzenny mieszkaniec jest traktowany jako podejrzany, a sprawcę imigranta chroni „religia antyrasizmu". Amerykański Departament Stanu na platformie X napisał, że okoliczności tragedii są „jaskrawymi symptomami schyłku cywilizacji". W podobnym duchu wypowiadał się Elon Musk. A sekretarz wojny Pete Hegseth w przemówieniu z okazji D-Day (6 czerwca) skrytykował kraje europejskie za dopuszczenie do „inwazji imigrantów z ich niebezpiecznymi ideologiami". Nie wiadomo, ile może pomóc apel jedenastu sikhijskich posłów do Izby Gmin. Składając kondolencje rodzinie Nowaka, zaapelowali do współobywateli, by morderstwo nie podzieliło wspólnot w kraju i nie wzbudziło nienawiści do niewinnych. Trudno będzie o taki skutek. MO

Armenia ante portas

Po niedzielnych wyborach premier **Nikol Paszynian** utrzymał samodzielną większość parlamentarną (jego partia Umowa Społeczna zdobyła 49,81 proc. głosów). Chce ją wykorzystać, by kontynuować marsz ku Unii Europejskiej i demontaż systemu oligarchicznego. Na podpisy czekają porozumienie pokojowe z wrogim dotąd Azerbejdżanem i normalizacja stosunków z Turcją, nieumiejącą się rozliczyć z ludobójstwa Ormian sprzed ponad stu lat. Rosja, formalnie wciąż sojuszniczka, pozostanie strategicznym partnerem, choć bardziej jako dostarczycielka gazu ziemnego i odbiorczyni produktów rolnych niż – jak przez dwa minione stulecia – imperialna zwierzchniczka.

Udział w sukcesie Paszyniana mają szefowie unijnych rządów, którzy wiele w niego zainwestowali, w maju pokazali się w Erywaniu na wspólnym szczycie. Do opuszczającego rosyjską strefę premiera przykładają mało europejską miarę. Świadomi stawki aprobują, że w zwalczaniu rosyjskich wpływów posługuje się chwytami z katalogu autokratów, m.in. chętnie wysyła swoich przeciwników do aresztów. 51-letni były dziennikarz i dawny lider antykorupcyjnych protestów ma też „pełne poparcie" prezydenta Stanów Zjednoczonych. Z reguły Donald Trump w Europie wspiera zwolenników słabej Unii i miłośników Rosji. Tu robi wyjątek, bo przeważa strategiczne położenie Kaukazu, także jako korytarza tranzytowego do Azji.

Paszynianowi nie przeszkodziła niedawna utrata na rzecz Azerbejdżanu Górskiego Karabachu ani exodus 120 tys. tamtejszych Ormian. Sympatii wyborców nie była też w stanie odwrócić Rosja, próbująca wypaczyć wyniki metodami wykorzystywanymi dopiero co w Mołdawii i Rumunii. Prorosyjską opozycję, kierowaną przez miliardera z majątkiem zrobionym w Rosji i przez bliskiego Kremlowi byłego prezydenta, wsparto akcją dezinformacyjną oraz embargiem na warzywa i alkohole. W ojczyźnie pojawili się gotowi do głosowania obywatele mieszkający na co dzień w Rosji.

Były rosyjski prezydent Dmitrij Miedwiediew zasugerował, że jeśli Paszynian się nie zreflektuje, to skończy jak zamordowany z rozkazu Stalina Lew Trocki. Chwilę przed wyborami przywódcy Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej, postsowieckiego wolnego rynku koordynowanego przez Moskwę, wezwali Armenię, by rozpisała referendum i definitywnie rozstrzygnęła, z kim chce się integrować. A Władimir Putin przypomniał, że w przypadku Ukrainy zwrot ku Zachodowi zaowocował wojną i Armenia mogłaby być następna. Na Paszynianie takie pogróżki wydają się nie robić większego wrażenia. JW

eprasa.pl 3c38c03389

Zawód artystów

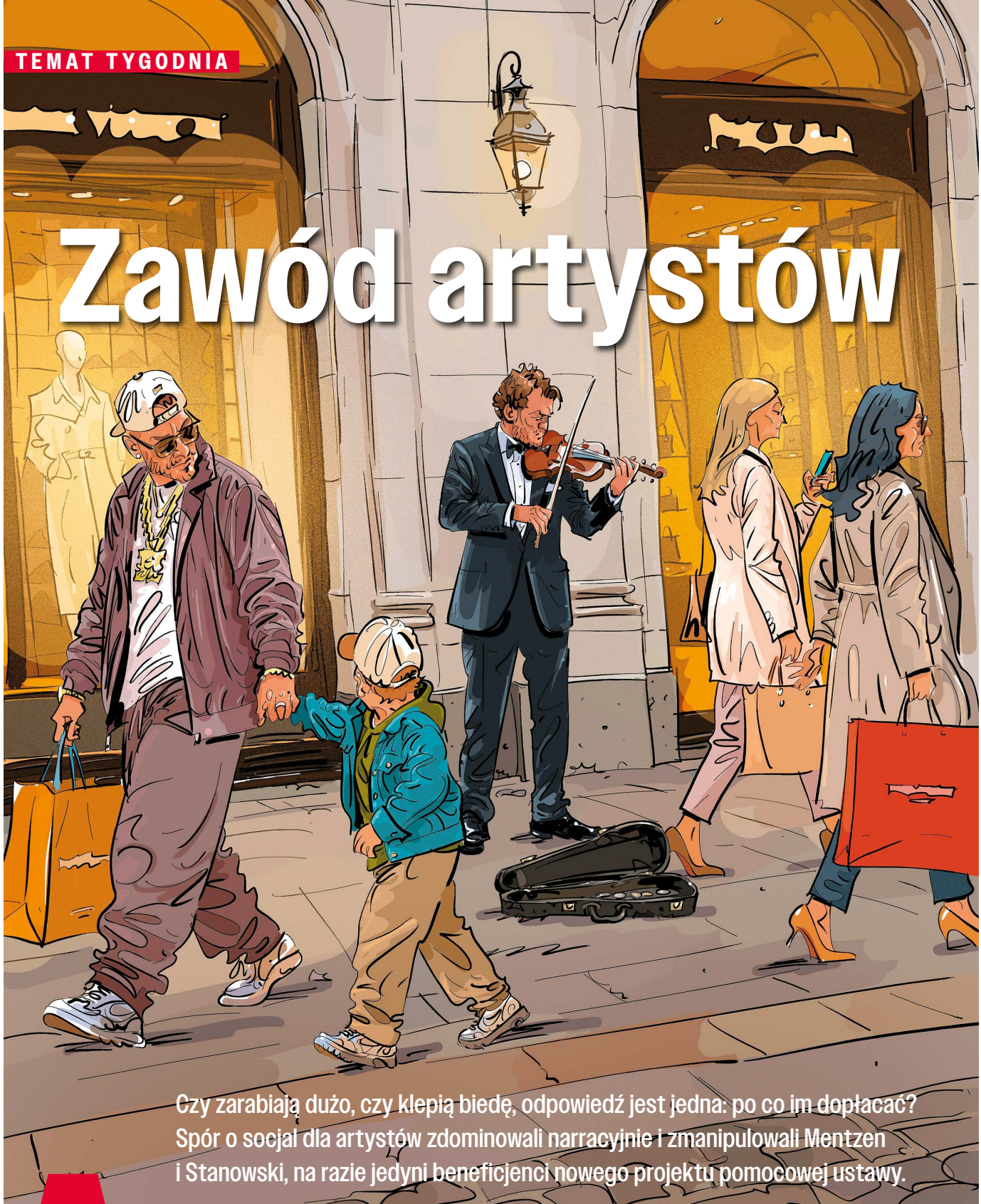

Czy zarabiają dużo, czy klepią biedę, odpowiedź jest jedna: po co im dopłacać? Spór o socjal dla artystów zdominowali narracyjnie i zmanipulowali Mentzen i Stanowski, na razie jedyni beneficjenci nowego projektu pomocowej ustawy.

ILUSTRACJA **KRZYSZTOF OSTROWSKI**

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Artyści nasłuchali się i naczytali przez ostatnie dni niewybrednych opinii o sobie: darmozjady, lenie, nieroby, beztalencia, złodzieje. Tak ostre reakcje wywołuje nowy projekt ustawy o zabezpieczeniu socjalnym artystów, który ledwie wyszedł z rządu. Na rozmowę o zawodzie artysty najwyraźniej albo jest w Polsce za wcześnie, albo może jest źle prowadzona. Dyskusję przejęli zwolennicy Konfederacji, a ton nadał jej Sławomir Mentzen. Ale to nie jest tylko prosty spór prawicowej wolnorynkowości z lewicowym solidaryzmem.

eprasa.pl 3c38c03389

Przypomnijmy: projekt ustawy wyszedł z rządu 26 maja, firmowany przez resort kultury jako ukłon w stronę środowiska od dekad niewidzialnego dla systemu ubezpieczeń społecznych. Artyści zawodowi pracują zwykle zadaniowo, od przelewu do przelewu, podpisują umowy o dzieło czy zlecenia, łapią raczej fuchy niż etaty. Ustawa wszystkich ich zresztą nie obejmuje, co krytycy często pomijają, umieszczając w jednym worku celebrytów, zamożne gwiazdy oraz twórców znacznie gorzej sytuowanych.

Mit Maryli

To pierwszy mit i pierwsza manipulacja. Tu nie chodzi o Marylę Rodowicz, której w memach Bronisław Komorowski swoim zwyczajem radzi zmienić zawód i wziąć kredyt. Nie chodzi o Krzysztofa Cugowskiego ani o innych sławnych emerytowanych artystów, ochoczo przy okazji przywoływanych. Ustawa przewiduje dopłaty do składek dla osób, które najbardziej tego potrzebują, czyli zarabiają najmniej. Średni roczny dochód z trzech ostatnich lat nie może przekroczyć 125 proc. 12-krotności minimalnego wynagrodzenia. Jak policzył portal OKO.press, w 2026 r. byłoby to 72 090 zł. Zarabiane w ciągu roku. I dochodu, a nie przychodu, bo ustawodawca bierze pod uwagę koszty, które artysta zawodowy realnie w tym czasie ponosi (sprzęt, instrumenty, research, wynajem studia itd.), uwzględnia też naturalne w tym fachu przerwy i przestoje. O tym, czy przyznać dopłaty, ma decydować ZUS. Przysługiwałyby przez rok, potem wniosek należałoby ponawiać.

Z puli beneficjentów wypadają twórcy prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą oraz ci, którzy latami nie wykonywali żadnej artystycznej pracy. Poza wszystkim trzeba się zmieścić w definicji artysty zawodowego, czyli przejść weryfikację. Ujmując rzecz w dużym skrócie: wykazać dorobek artystyczny potwierdzony recenzjami i nagrodami, wylegitymować się dyplomem albo zaświadczeniem stowarzyszenia lub związku zawodowego.

Wnioski mają być rozpatrywane w Centrum Edukacji i Pracy Artystycznej (CEiPA), które wyrośnie z już istniejącego Centrum Edukacji Artystycznej. Resort planuje zaprząc do tego 15-osobową Radę Programowo-Naukową i 145-osobową Komisję Opiniującą; członkowie obu tych ciał byliby powoływani na czteroletnie kadencje. To również budzi emocje: co to będą za ludzie, czy nie za dużo ich, czy na pewno bezstronni, jaki to koszt itd. W ustawie czytamy, że wynagrodzenie członka Rady Programowej nie może przekroczyć 150 proc. przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia w gospodarce narodowej. Dużo? Mało? To rzecz wtórna, jeśli status artysty otrzymają ci, którym w ocenie publiczności (i/lub Sławomira Mentzena) „po prostu się nie należy".

Lex Kapela?

Prawica przywołuje tu najchętniej przykład Jasia Kapeli, poety i znanego prowokatora, który dostał od resortu kultury roczne stypendium (ok. 6 tys. zł miesięcznie) na musical o zakazie aborcji w Polsce. Kapela jest od lat dyżurnym ulubieńcem prawicy i twarzą kulturalnych projektów do zaorania. „A czy ty chcesz płacić za pseudoartystów?", pyta w nowym spocie Konfederacja. W klipie wygenerowanym przez AI ministra kultury Marta Cienkowska zachwyca się bananem w galerii, sztuką queerową w pustym teatrze, no i aborcyjnym wierszem, który dostał w sieci jedno polubienie. Animowany Donald Tusk przyklaskuje i szuka pieniędzy po kieszeniach taksówkarza, pielęgniarki czy kasjera.

To kolejny mit: żeby twórca coś dostał, komuś trzeba będzie zabrać. I jeszcze jeden: że dostanie gotówkę do ręki – tymczasem pieniądze mają spływać na konto w ZUS. Nie jest też prawdą, że artyści żadnych podatków nie płacą – od tzw. umów śmieciowych też są przecież odprowadzane. „Sam płacę wysokie podatki, ale mi się udało. Moja rozrywka się sprzedaje i mam z czego żyć. Ale przez 10 lat nie miałem nawet ubezpieczenia zdrowotnego, bo nie było mnie na nie stać", pisze w social mediach muzyk Tomasz Organek. I przypomina, że od diety poselskiej (także posła Mentzena) podatki odprowadzane nie są.

– *Konfederaci cynicznie wykorzystali moment, bo wiedzą, że łatwo szczuć na artystów. W Polsce artystów niespecjalnie oddzielamy od celebrytów* – mówi Mikołaj Iwański, wykładowca w Akademii Sztuki w Szczecinie, członek zarządu Obywatelskiego Forum Sztuki Współczesnej. A celebryta kojarzy się źle: z ekscesem, golizną, hulaszczym trybem życia.

„Ten wybuch szacunku i miłości wobec kasjerek, sprzątaczek, emerytów i dzieci chorych na raka jest wyrachowany i doraźny. Przy następnej okazji od tych samych ludzi pracownicy dyskontu usłyszą, że jak za ciężko, za mało kasy, wyzysk i kręgosłup boli, to zawsze można zmienić pracę", pisze eseista i pisarz Łukasz Najder w „Krytyce Politycznej". Autor przypomina, że Konfederacja nie chce też darmowych obiadów w szkołach i darmowej wody serwowanej w restauracjach. Bo co do zasady każdy przejaw solidarności, łożenia „z naszych podatków" na dowolną grupę społeczną i preferencyjne traktowanie kogokolwiek są przyjmowane źle – to w Polsce zjawisko starsze niż „męczenie" Mentzena i korwinizm. Jedynym wyjątkiem są bodaj służby mundurowe. Wdrożone w tym roku dopłaty dla marynarzy przeszły bez większego echa.

Do projektu dla artystów już tymczasem przylgnęła nazwa lex Kapela, on sam zabiera w sprawie głos i dostarcza kontentu prawicowej stronie sporu. „Dlaczego kasjerka w Lidlu jest bardziej uprzywilejowana i zarabia więcej na kasie niż ja po 15 latach pracy intelektualnej?", perorował w jednym z wywiadów. Sporo chaosu zasiał też Skolim, diablo popularny twórca reggaetonu, „okazjonalnie freak fighter". W social mediach opowiada, że gra 500 koncertów rocznie i na zarobki nie narzeka.

Rząd w defensywie

Objawy solidarności w środowisku bledną na tle celebryckich wykwitów, giną w mgle prawicowej ofensywy i samonapędzającej się wirtualnej młócki. Bo materia może i jest kulturalna, ale nikt już nie przebiera w słowach. „Przede wszystkim to my wszyscy, artyści, magazynierzy, rolnicy, hutnicy, sprzedawcy, musimy płacić na ciebie. To ty pier... o sprawach, o których nie masz zielonego pojęcia. To ty patrzysz na nas z pogardą. Zamknij mordę i do roboty", radzi Mentzenowi pisarz Jakub Żulczyk. Skolim mówi tymczasem o „kur... artystach", którzy – jeśli mają już jakiś staż w zawodzie – przechlali i przećpali całą kasę albo – jeśli dopiero debiutują – robią „chu... muzykę" i domagają się jałmużny. Z drugiej strony Doda radzi uprzejmie czytać ustawę ze zrozumieniem, a ktoś jej odpowiada, że Krzysztof Stanowski zrobił to za niego podczas programu na żywo.

Doda intencje ma pewnie szlachetne, ale raczej się myli, gdy domaga się wynagrodzeń dla bibliotekarzy i muzealników ▶

eprasa.pl 3c38c03389

▶ (to zwykle etatowcy) czy rękodzielników (na ogół samozatrudnieni). Stanowski jątrzy zaś świadomie i dla zasady. Albo nie potrafi liczyć. „Skąd się wzięła nagle [w ustawie] dwunastokrotność? Jednym słówkiem zmieniono sytuację. Wcześniej mieliśmy dopłacić do składek artystów żyjących w nędzy, żeby mieli na emeryturę, jakby zarabiali pensję minimalną. Teraz wszyscy ludzie, którzy zarabiają pensję minimalną, to jest chyba ok. 3 mln osób w Polsce, mają dopłacać tym artystom, którzy zarabiają powyżej pensji minimalnej" – mówi w Kanale Zero, choć 12-krotność to ni mniej, ni więcej, tylko roczna średnia pensja minimalna.

Z prostowaniem takich przeinaczeń resort kultury radzi sobie umiarkowanie. Ministra Cienkowska w jednym z wywiadów uspokajała, że „pieniądze na dopłaty nie będą pochodzić z podatków, tylko z budżetu państwa" (a czym jest budżet państwa?), rozrywki kulturalne zestawia zaś z oglądaną na stadionach piłką nożną, co w kraju kochającym futbol nie może się podobać. Rolki z tymi wyimkami żyją w sieci własnym życiem.

Rząd znalazł się – korzystając z futbolowej nomenklatury – w głębokiej defensywie, środowisko mówi o falstarcie. – *Ministerstwo nie przygotowało żadnej komunikacji, która by wspierała projekt i wyprzedzała zarzuty* – mówi Mikołaj Iwański. – *One się pojawiają od zawsze i można je w różny sposób rozmasować i zbić. Ta praca nie została wykonana. Dlatego przygotowujemy list do premiera od artystów z prośbą o objęcie ustawy osobistym nadzorem.*

Te intuicje i wrażenia potwierdzają dane Instytutu Monitorowania Mediów: „Ponad milion interakcji w mediach społecznościowych w niecałe dwa tygodnie, a odpowiedzialna za projekt ustawy koalicja pozostała niemal nieobecna w debacie". Narrację zdominowały trzy grupy, podaje IMM: środowisko Kanału Zero, otoczenie i sympatycy Konfederacji i działacze PiS, którzy spopularyzowali hasztag #lexKapela. Ustawa wywołuje w sieci głównie złość (73 proc.), wstręt (8 proc.) i smutek (6 proc.).

– *Dziś najistotniejsze jest, aby skandaliczna forma ataku na tę ustawę nie przysłoniła jej przedmiotu: kultura to nie fanaberia, sztuka to nie hobby, a praca artystyczna – powtarzając za Moniką Drożyńską – to praca* – mówi POLITYCE ministra Marta Cienkowska. Resort – jak słyszymy – prowadzi kampanię informacyjną ukazującą codzienną pracę artystów na rzecz polskiej kultury. – *Cieszą mnie też spontaniczne ruchy oddolne artystów, którzy mobilizują się, powołując na resort kultury* – mówi Cienkowska. – *Nie mam nic przeciwko, jeśli chcą się jednoczyć, używając do tego nas – śmiało! Zwłaszcza jeśli jednoczą się przeciw pogardzie.*

Policzone, policzeni

W całej awanturze w istocie najmniej słychać tych, których ustawa ma dotyczyć. Jaka jest realna skala zapotrzebowania? Środowisko twórcze jest w Polsce zróżnicowane i rozwarstwione. Z badania „Policzone, policzeni", prowadzonego przez prof. Dorotę Ilczuk i Annę Karpińską z Uniwersytetu SWPS na zlecenie resortu kultury w 2024 r., wynika, że to w sumie ok. 62,4 tys. ludzi. Najliczniej reprezentowane są branża muzyczna (16,3 tys.) i architektura (13,7 tys.). Średni miesięczny przychód z pracy artystycznej w 2023 r. wyniósł 4053 zł (przy przeciętnym wynagrodzeniu w wysokości 7155 zł). Najmniej zarabiali twórcy sztuki ludowej (1955 zł), a ogólna mediana miesięcznych przychodów z pracy artystycznej wniosła 2730,50 zł. 33 proc. badanych przyznało zarazem, że nie ma żadnych oszczędności i przeżyłoby bez pracy raptem trzy miesiące. Co ciekawe, na pytanie, czy rozważyliby inną ścieżkę zawodową, gdyby mogli cofnąć czas, 70 proc. odpowiedziało, że i tak uprawiałoby sztukę. Co jest być może szczęściem w nieszczęściu.

Jak szacuje Anna Pajęcka na łamach OKO.press, ustawa objęłaby ostatecznie ok. 20 tys. osób, którym wiedzie się gorzej nie dlatego, że „tworzą barachło", ale dlatego, że system ich nie widzi albo są dopiero na początku zawodowej drogi. Trudno tu zatem mówić – to jeszcze jeden krążący mit – o przywilejach dla konkretnej grupy społecznej, a już zwłaszcza o przywilejach dla bogatych elit.

Cały polski sektor kulturalny jest podziurawiony. Pisarze są skazani na zaliczki i tantiemy (pisaliśmy o tym w POLITYCE 51/24), muzycy czekają na przelewy, poeci na nagrody literackie, graficy z bezradności zostają tatuażystami, dyplomowani twórcy wykładają na uczelniach, a ci, którzy pracują ciałem – tancerze czy aktorzy – muszą się gimnastykować, bo nie mogą liczyć na renty czy wcześniejsze emerytury, o przekwalifikowaniu też zwykle nie wspominając.

– *Aktorzy są zatrudniani sezonowo* – dodaje Mikołaj Iwański. – *Ustawa Bogdana Zdrojewskiego z 2012 r. wprowadziła to sezonowe zatrudnienie i utrwaliła prekaryjność systemu sztuki. Mamy też artystów wizualnych, którzy tragicznie słabo zarabiają. Do dzisiaj toczy się dyskusja o tym, czy w ogóle powinni mieć płacone honoraria.* Umowny artysta malarz w Polsce bywa postacią renesansową – szanowaną, ale bez grosza przy duszy. Słynnym przykładem jest Zbigniew Libera, twórca światowej klasy, który nieraz mówił, że nie ma za co żyć. – *Mamy jeszcze jeden problem* – dodaje Iwański. – *Z powodu braku zabezpieczeń artystki o wiele rzadziej rodzą dzieci, niż wynosi średnia populacyjna.*

Ile kosztują artyści

Z wizją romantycznej twórczości uprawianej dla idei, czyli hobbystycznie i za darmo, środowisko walczy od dawna. W maju 2012 r. artyści ogłosili strajk, upominając się o poprawę ich sytuacji ekonomicznej, a muzea, galerie i inne placówki kulturalne zarządziły solidarnie Dzień bez Sztuki. To był punkt zapalny. Do systemowego rozwiązania problemu przymierzył się wówczas rząd PO-PSL, ale nie zdążył przed końcem kadencji. Do tematu wrócił PiS, z Piotrem Glińskim na czele resortu kultury, ale wywrócił się na opłacie reprograficznej, z której dopłaty miały być w ich projekcie finansowane (swoją drogą kluczową dla tej opłaty listę czystych nośników poszerzyła dopiero niedawno właśnie ministra Cienkowska).

Lata mijają, a pogoda artystom sprzyja coraz mniej – rozhuśtał się streaming, rozwija sztuczna inteligencja. – *Sektor kreatywny w Polsce stanowi potężny zasób naszej gospodarki, generując rocznie blisko 4 proc. PKB, podczas gdy ludzie, którzy ten przychód wypracowują, wciąż pozbawieni są podstawowego zabezpieczenia* – mówi Cienkowska. – *Wychodzi na to, że to oni swoją pracą zrzucają się dziś na pokrycie kosztów działalności politycznych awanturników.*

Dopłaty dla artystów mają kosztować budżet ok. 320–380 mln zł rocznie, do tego trzeba doliczyć 5 mln zł dla ZUS. Dla porównania: 800 plus to ok. 60 mld.

Rozmaite dane na ten temat zebrał w social mediach Radek Kobiałko, szef festiwalu Best Stream Awards, reżyser, scenarzysta, autor podkastu „Radek Kobiałko nadaje". Podaje m.in., że ulgi podatkowe dla biznesu wyniosły w Polsce ok. 18,7 mld zł (z uwzględnieniem tarcz covidowych i wakacji składkowych)

eprasa.pl 3c38c03389

– to równowartość 57 lat pomocy składkowej dla artystów. Na rolniczy KRUS w 2025 r. państwo przewidziało wydać 30,25 mld, Fundusz Kościelny to kolejne 275 mln. Itd. itp. – *Chodziło mi o danie artystom i ich organizacjom narzędzi do obrony przed hejtem, demagogią i kłamstwami* – wyjaśnia Kobiałko. – *Zostali z tym sami. A moje infografiki pokazały, że argumentów nie brakuje.* I dodaje: – *Jeśli jeden wpis Mentzena potrafi ustawić całą narrację przeciwko projektowi, nad którym pracuje sztab ludzi w rządzie i ministerstwie, to coś jest bardzo nie tak.*

Szczuć jak PZPR

„Status społeczny artysty jest dość skomplikowany, bo z jednej strony artyści są zaliczani do elity intelektualnej, więc w hierarchii społecznej są dość wysoko, a z drugiej ich status ekonomiczny jest żenująco niski" – mówiła w wywiadzie dla Dwutygodnika (2015 r.) Katarzyna Górna, która próbowała żyć ze sztuki, aż w końcu wyłączyli jej prąd.

Sytuacja artystów jest zatem paradoksalna. Zalicza się ich w Polsce do elit, a elitami z zasady pogardzamy. Jednak są nieudaczni, jeśli nie umieją żyć ze swojej pracy – słabszymi też na ogół pogardzamy (tu artyści idą drogą nauczycieli walczących o podwyżki). „W Polsce za sprawą podstawówkowo-licealnej edukacji pokutuje, zwłaszcza u roczników peerelowskich, mit artysty jako eterycznej istoty wyzbytej potrzeb materialnych", pisze Łukasz Najder. Z drugiej strony – znów – strasznie się wywyższają i „gardzą ludem".

– *To mieszanina kompleksów i narracji odziedziczonej jeszcze po PRL* – potwierdza Radek Kobiałko. – *Wbrew temu, co prawica lubi o sobie opowiadać, byli działacze PZPR, z Leszkiem Millerem na czele, są dla niej dziś ważnym wsparciem ideologicznym i intelektualnym. A to właśnie PZPR szczuła na artystów, przedstawiając ich jako nikomu niepotrzebne „niebieskie ptaki", przeciwstawiane „konkretnej pracy" murarza czy górnika. Dla górników tworzono sklepy za firankami, artystami gardzono i nastawiano przeciwko nim społeczeństwo. Dziś dzieje się dokładnie to samo, tylko w nowych dekoracjach i z pomocą mediów społecznościowych.*

Wpisów w rodzaju „Nie jestem fanem Konfederacji, ale tu mają rację" pojawia się mnóstwo. „Po co pisać książki, których nikt nie chce czytać, tworzyć dzieła, których nikt nie rozumie?". W ten sposób łatwo podważyć sens artystycznej pracy i pominąć całą jej specyfikę. Do sztuki przykłada się suchą kapitalistyczną miarę, ma być użytkowa i użyteczna. – *Ale ci wszyscy niewidoczni artyści są niezbędni, żeby ten system funkcjonował* – mówi Mikołaj Iwański. – *Potrzebni są ludzie, którzy eksperymentują, prowadzą pracę edukacyjną i tworzą projekty, nawet nieudane – tak się tworzy masę krytyczną, z której widoczni artyści już mogą korzystać. To jest jeden ekosystem.*

Czy sprawa z ustawą jest zatem przegrana? – *Oczywiście ta awantura nas nie zatrzyma i nie zepchnie ustawy na dalszy plan* – zapewnia ministra Cienkowska. – *Projekt jest priorytetem rządu, jest popierany przez koalicję, ma przychylność marszałka Czarzastego, a na końcu tej drogi prezydenta, który dobrze zna tę problematykę. Liczę na jego polityczną odwagę.*

Środowisko na tę odwagę chyba nie liczy.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

REKLAMA

eprasa.pl 3c38c03389

Wyścig zbrojeń

Takich trzech dni nie było jeszcze nigdy w historii polskich zbrojeń. Od 28 do 30 maja MON podpisał 62 umowy wartości ponad 120 mld zł. Było dużo, szybko, naraz. Czy trafnie?

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Ta gigantyczna operacja była możliwa dzięki uruchomieniu unijnego programu SAFE, w którym Polska otrzymała do dyspozycji niemal 44 mld euro na zakupy zbrojeniowe planowane od ubiegłego roku. Nie ma co ukrywać, że rządowi chodziło o „efekt WOW", który przykryłby komunikacyjną nieporadność towarzyszącą walce o ustawę, zablokowaną ostatecznie przez Karola Nawrockiego.

Po szoku, jakim było weto w sprawach bezpieczeństwa, rząd wdrożył plan B i uzbroił się w jasny przekaz, że SAFE jest dla polskich, a nie niemieckich firm, że skorzystają na nim fabryki w całej Polsce, i że najważniejszym beneficjentem będzie Wojsko Polskie, które za kilka lat otrzyma sprzęt i uzbrojenie, na jakie bez dodatkowych unijnych funduszy musiałoby czekać dłużej. Żeby zrobić jeszcze większe wrażenie i by zadziałała magia liczb, podpisywanie umów zostało skomasowane w ostatnich trzech dobach przed upływem terminu na zamówienia jednostronne.

W branży obronnej nie brakowało obaw, czy MON zdąży przed 30 maja, bo po podpisaniu umowy pożyczki z Komisją Europejską 8 maja długo nic w temacie SAFE się nie działo, mimo zapowiedzi, że lawina umów ruszy natychmiast. Przesunięcie wszystkiego na finisz wynikało częściowo z komplikacji proceduralnych (bo nie jest tak łatwo przełożyć pożyczane miliardy na konta w BGK), a także z trudności kalendarzowych. Na inauguracji programu chciał być premier Donald Tusk, podczas gdy minister obrony był w zagranicznych rozjazdach, a całą sekwencję zdarzeń chciano zaplanować tak, by odbyć zbrojeniowe tournée po Polsce. Tak się ostatecznie stało – symboliczne uroczystości połączone z konferencjami polityków i wojskowych organizowano od Legionowa, przez Ożarów Mazowiecki, Gdynię, Bydgoszcz, po Stalową Wolę, gdzie MON przywiózł największy pakiet zamówień, wart 60 mld zł.

Było to dla rządu zwycięskie okrążenie, bo wbrew krytyce PiS, Konfederacji i prezydenta Karola Nawrockiego pokazał, że dotrzymuje słowa, jeśli chodzi o inwestycje w polski przemysł zbrojeniowy. Wydane w ciągu trzech dni ponad 120 mld zł to według rządowych wyliczeń więcej, niż PiS przeznaczył na krajowe zamówienia w ośmiu latach swoich rządów. „Mówią do mnie »będziesz siedział«! Ale dzisiaj w oślej ławce siedzą prezydent Nawrocki, PiS i Konfederacja, bo nie chcieli silnej i bezpiecznej Polski" – ugodowy zwykle Władysław Kosiniak-Kamysz pozwolił sobie na kilka ostrych komentarzy również pod adresem prezydenta, z którym przez miniony rok usiłował się dogadać.

Tymczasem mimo przeszkód wykreowanych przez Nawrockiego i zajadłej opozycyjnej krytyki okazało się, że SAFE jest pozytywnie odbierany przez większość Polaków, a z wiszącej w powietrzu porażki rząd uczynił sukces. „Córeczko, nie wybaczę tym, przez których boisz się, czy mama nie pójdzie do więzienia. Do żadnego więzienia nie idę, buduję bezpieczną i silną Polskę" – nieco drżącym głosem, ale profesjonalnie wprost do kamery wyznawała rządowa pełnomocniczka ds. SAFE Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, przepraszając córkę, że przez pracę nie było jej w domu w Dniu Matki. Ale sukces kwitowano też żartobliwie. Przez internet przetoczyła się fala grafik pokazujących polskie Borsuki, Kraby i Raki z czarnymi krzyżami Bundeswehry – by wykpić wciąż maglowane przez PiS zarzuty, że SAFE to niemiecka chwilówka obciążająca pokolenia i „niemiecki but" na polskim karku.

Polskie rekordy zostały zauważone w Europie, bo po otrzymaniu największej alokacji, złożeniu najdłuższej listy projektów, podpisaniu jako pierwszy kraj umowy pożyczkowej z komisją, Polska pierwsza przystąpiła do realizacji finansowanych z SAFE kontraktów, i to na skalę, której nikt nie dorówna.

Spośród wszystkich umów SAFE, których nie sposób tu wyliczyć, największy pakiet objął sprzęt dla wojsk zmechanizowanych i artylerii. To tradycyjny symbol polskiej wojskowej siły, a przy okazji ten segment zbrojeń, w którym polski

eprasa.pl 3c38c03389

przemysł czuje się najpewniej i ma do zaoferowania nowoczesne, w części sprawdzone bojowo produkty. Huta Stalowa Wola dostała dzięki SAFE zamówienie na drugą transzę 146 bojowych wozów piechoty Borsuk, która po pierwszym zleceniu na 111 sztuk zapewni rozhulanie produkcji pojazdów, których wojsko chce mieć w linii aż 1,4 tys. Huta ma ambicję produkować ponad 100 Borsuków rocznie, ale potrzebuje do tego pewności zamówień i finansowania. SAFE przyniósł zakładowi prawdziwe żniwa, bo oprócz Borsuków także cztery dywizjony armatohaubic Krab (każdy po 24 działa z dziesiątkami innych pojazdów), osiem modułów kompanijnych samobieżnych moździerzy Rak (każdy po osiem wozów z pojazdami towarzyszącymi) i 140 wozów dowodzenia artylerii na pojazdach terenowych Waran.

Ale największe zamówienie złożone w HSW to pojazdy, które uzupełnią kupione z Korei Południowej wyrzutnie rakiet K239 i armatohaubice K9 – w sumie grubo ponad tysiąc wozów za ponad 25 mld zł. Szef MON nie omieszkał wytknąć Mariuszowi Błaszczakowi, który wciąż chwali się swoimi wielkimi zakupami, że wymagają one ciągle uzupełniania, bo okazuje się, że nakupował z importu dużo sprzętu, tyle że bez odpowiedniego wsparcia i zabezpieczenia. A same wyrzutnie rakiet czy działa nie dadzą sobie rady w terenie bez wozów amunicyjnych, ewakuacyjnych, pomocy technicznej, rozpoznania artyleryjskiego i pojazdów dowodzenia na różnym szczeblu.

Pod względem liczby zamówionego sprzętu i jego wartości Huta Stalowa Wola bezapelacyjnie zwyciężyła w krajowym rozdaniu, ale kilkaset pojazdów dostarczy też dolnośląski Jelcz (w tym specjalistyczne podwozia do wyrzutni i pojazdów towarzyszących systemów obrony powietrznej), Rosomak z Siemianowic Śląskich (w tym wozy dowodzenia i ewakuacji medycznej), AMZ z Kutna (transportery rozpoznawcze Kleszcz), a także prywatni dostawcy 160 niskopodwoziowych zestawów do transportu czołgów Traszka.

Jeśli opozycja będzie się czepiać, gdy zauważy, że na przedzie każdego zestawu jest ciągnik siodłowy Mercedes Benz Zetros, to MON może przypomnieć, że pierwszy taki zakup „od Niemca" miał miejsce w 2021 r., za rządów PiS. To, że niemieckie silniki napędzają Kraby i Borsuki, też jakoś wtedy nikomu nie przeszkadzało, bo są to sprawdzone komponenty, powszechnie montowane nie tylko przez Polskę. Mało tego, napędy MTU tkwią w każdej z zamawianych od lat tysiącami ciężarówek Jelcz, bo przez kilka dekad Polska nie stworzyła własnych silników wysokoprężnych.

Na wszelki wypadek premier podał jednak, że „do Niemca" pójdzie zaledwie 0,37 proc. polskich wydatków z SAFE. Znacznie więcej trafi do Norwegów poprzez znaczący udział firmy Kongsberg we flagowym projekcie systemu antydronowego San za 15 mld zł, całkiem sporo pójdzie także do Szwedów na systemy rozpoznania elektronicznego, za pół miliarda. Nie licząc nawet, ile „do Jankesa" na przekładnie Allison czy armaty Bushmaster w Borsukach i Rosomakach. Jak każdy zaawansowany przemysł, zbrojeniówka też w dużej mierze składa swoje wyroby z podzespołów, komponentów i części pochodzących od różnych dostawców. Ustalona w SAFE zawartość wkładu obcego nie może przekroczyć 35 proc. wartości zamówienia, co sprawiło, że już na poziomie wniosku inwestycyjnego dmuchano na zimne, bo np. polski Krab też jest składakiem, który mógłby nie zdać testu. Dlatego MON zamawia z SAFE nie same Kraby, a całe dywizjonowe moduły ogniowe Regina, w których procentowy udział komponentów czysto polskiego pochodzenia jest dużo wyższy.

Ujawniona wreszcie lista zakupów SAFE (wcześniej nie wiadomo, dlaczego tajna) pokazuje, jak różne i jak zaawansowane wyroby produkuje polski przemysł obronny. To nie tylko świetnie znane od lat drony rozpoznawcze FlyEye, amunicja krążąca Warmate, ale też np. systemy inteligentnych min Jarzębina i Tulipan, okręty wsparcia bojowych sił morskich, terminale łączności satelitarnej i same satelity, nie licząc drobnicy, takiej jak kevlarowe hełmy, kamizelki kuloodporne czy również szeroko znane karabinki Grot (o których rzekomy brak w SAFE próbowano nakręcać aferę).

Ponieważ zamówione produkty muszą być dostarczone do 2030 r. i muszą istnieć w takiej postaci, by ocenić, czy się kwalifikują do finansowania z SAFE, nie ma raczej mowy o nowych wynalazkach. Kupuje się to, co jest dostępne, jeśli nie z półki, to z produkcji bieżącej i rozwijanej w krótkim terminie, tak ▶

© KPR. SŁAWOMIR KOZIOŁ/COMBAT CAMERA POLAND

eprasa.pl 3c38c03389

▶ by zrealizować zamówienia w niecałe pięć lat. Ponieważ jednym z polskich zamiarów było refinansowanie wcześniej zawartych umów tymi z SAFE w celu obniżenia kosztów zadłużenia, MON zawarł w maju 11 aneksów, w tym na głośne zamówienia z ostatnich lat i miesięcy – radarowe satelity rozpoznawcze, wydłużone Rosomaki z wieżą ZSSW-30, pojazdy minowania narzutowego Baobab-K, okręt ratowniczy Ratownik, a także setki tysięcy sztuk amunicji, tej najcenniejszej, do dział kalibru 155 mm.

Nie oznacza to, że MON w ramach SAFE nie kupuje produktów nowatorskich. Koniec końców sam wóz bojowy Borsuk to światowa nowość produkowana seryjnie zaledwie od ubiegłego roku, istniejąca dziś w kilkunastu egzemplarzach. W gigantycznym pakiecie zamówień dronowych z prywatnej Grupy WB, która chwali się, że jest największym producentem bezzałogowców w Europie, znalazł się pierwszy tego typu odrzutowy dron uderzeniowy dalekiego zasięgu Gladius-2. Jego opracowanie resort obrony zlecił cztery lata temu w ramach utajnionej pracy rozwojowej, na którą przeznaczył 50 mln zł. Przy prezentacji gigantycznego pakietu umów SAFE producent opublikował grafikę, która sugeruje, że dron został zaprojektowany jako trudno wykrywalne latające skrzydło, podobne do prac tajnych amerykańskich biur konstrukcyjnych Skunk Works, Scaled Composites czy Phantom Works. Gladius-2 wejść ma na wyposażenie jednostek artylerii, zwiększając zasięg istniejącego systemu rozpoznawczo-uderzeniowego do kilkuset kilometrów.

Będzie to pierwsza wyprodukowana w Polsce broń o takim zasięgu i może stać się istotnym elementem odstraszania. Posiadana na własność technologia umożliwia swobodne skalowanie produkcji, by wytworzyć coś, co wojskowi nazywają masą precyzji przy ułamku kosztów, jakie trzeba by ponieść na tradycyjne systemy uderzeniowe: rakiety i pociski manewrujące.

Supernowoczesne są też kupowane z SAFE systemy z obszernego pakietu cyfrowego, zamawianego na rzecz Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni. Znalazł się w nich postkwantowy szyfrator, pierwsze ujawnione zastosowanie komputerów kwantowych w Wojsku Polskim. Na tej liście jest też najwięcej sztucznej inteligencji, która od ponad roku wchodzi do sił zbrojnych na różnych poziomach i staje się nieodzownym wsparciem analizy danych, obiegu informacji i zarządzania logistyką. Dzięki SAFE centra danych wykorzystujące AI trafią na mobilne platformy i będą mogły dosłownie pojawić się na polu walki. Umowy podpisane w Legionowie (kwaterze głównej cyberwojsk) świetnie pokazują, co w praktyce znaczy *dual-use* i jak wojskowe zamówienia służą też cywilom. Cyberwojska zleciły firmie Orange dostarczenie komponentów sieci 5G, dzięki którym zasięgiem komórkowym wypełnią się puste miejsca na wschodniej granicy. Z szerokopasmowej sieci korzystać musi wojsko, ale przecież dostępna będzie dla wszystkich, którzy na co dzień zmagają się z brakiem zasięgu.

Zestawienie wcześniejszych zapowiedzi MON i wojska z tym, czego w pierwszej fazie realizacji SAFE nie ma, wskazuje, co znajdzie się w fazie drugiej. Pójdzie ona w dwóch kierunkach – zakupów sprzętu od producentów europejskich (wraz z krajami partnerskimi programu, w tym Ukrainą) oraz wspólnego z europejskimi klientami powiększania zamówień w polskim przemyśle. Plany importowe dotyczą głównie lotnictwa. Polska od lat przymierzała się do samolotów transportowo-tankujących, zablokowanych przez Antoniego Macierewicza w 2016 r., a niezbędnych, by w pełni wykorzystać zdolności rosnącego lotnictwa bojowego. Dlatego razem z Hiszpanią zamówi z fabryki Airbusa w Sewilli dwa samoloty A330 MRTT. To przerobione na stacje paliw pasażerskie liniowce o globalnym zasięgu, z zapasem 111 ton paliwa do podzielenia się z myśliwcami i z całym pokładem transportowo-pasażerskim do zagospodarowania (bo jest on w zasadzie pusty).

Innym wspólnym zakupem europejskim mają być świetnie sprzedające się w NATO średnie śmigłowce szkolno-bojowe H145M z Airbus Helicopters lub AW109 z Leonardo, wraz z systemem szkolenia. Polska potrzebuje tych platform i tych systemów, by masowo szkolić setki pilotów i operatorów uzbrojenia niezbędnych do obsadzenia niemal stu Apaczy i dziesiątek innych śmigłowców, które wymagają minimum dwuosobowej załogi. To też uzupełnianie pozbawionych logistyki zamówień z poprzednich lat, choć akurat umowę na amerykańskie śmigłowce uderzeniowe podpisał już obecny rząd.

Ale są na tej liście niespodzianki, głównie w zakresie systemów morskich. Polskie stocznie miały być „zaorane przez Niemców", a jak się okazuje, mogą produkować komponenty dla Brytyjczyków i całe okręty dla Szwedów. Po tym, jak przed uruchomieniem SAFE Szwecja zamówiła u nas okręt rozpoznawczy, teraz ma kupić wyspecjalizowane w zadaniach podwodnych Ratowniki i niszczyciele min Kormorany. Grecja zainteresowana jest satelitami od polsko-fińskiego ICEYE, a praktycznie wszyscy w Europie patrzą na polskie pociski przeciwlotnicze Piorun, będące obecnie najlepszą na natowskim rynku ofertą przenośnych rakiet przeciwlotniczych. Kupiło je już 10 krajów z Europy i Ameryki, a instrument SAFE da okazję do zakupów kolejnym.

Nawet Kanada, po ostatniej wizycie delegacji MON i PGZ, jest zainteresowana polskimi wyrobami obronnymi. Nie ma co ukrywać, że bez zielonego światła od rządów masowych czy istotnych zleceń od resortów obrony nie będzie. Rosnące wątpliwości dotyczące dostaw z USA i jawna niechęć Donalda Trumpa wobec sojuszników umacniają pozycję nietradycyjnych dostawców, a takim dla zachodnich krajów jest Polska. To niesamowita szansa dla eksportu, o ile tylko uda się podnieść zdolności produkcyjne do poziomu odpowiadającego zainteresowaniu.

Ale SAFE to nie same zbrojenia. To w efekcie też inwestycje i gwarancje finansowania dla rozbudowy fabryk będących z reguły największymi pracodawcami w swoich miejscowościach, powiatach i regionach. Wpływ połączonego budżetu MON oraz SAFE dla polskiej gospodarki liczony globalnie (zwłaszcza że to zakupy zwolnione z VAT) może nie być wielki, ale konkretne zamówienia w konkretnych miejscach na mapie to już lokalnie duża sprawa. Ktoś będzie musiał ten sprzęt wyprodukować, ktoś inny dostarczyć materiały do jego produkcji, a koniec końców nakarmić pracowników, dolać im paliwa do pojazdów, zapewnić usługi ich rodzinom.

Na razie nie ma opracowań pokazujących ogólny wpływ SAFE na polskie PKB i poziom życia, ale przy założeniu udanej realizacji całości programu trudno będzie nie odczuć w statystykach (i pensjach ludzi) wydania niemal ponad 180 mld zł w kilka lat, przynajmniej w regionach, gdzie ulokowana jest polska zbrojeniówka. Tak się składa, że nie są to regiony statystycznie najbogatsze i politycznie zorientowane na obecnie rządzących. SAFE to więc nie przypadek.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

eprasa.pl 3c38c03389

Dla wielozadaniowców
Monitory interaktywne

SMART®

www.irs.com.pl

tel . + 48 602 336 341

eprasa.pl 3c38c03389

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

RAFAŁ KALUKIN

Orzeł w sporze

Wezwania do odebrania prezydentowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego zaostrzyły i tak już niedobre nastroje wokół Ukrainy. Czy to tylko kolejny incydent, który zostanie załagodzony, czy jednak początek większej reorientacji polskiej polityki, i to ponad podziałami?

Jako jeden z pierwszych zareagował tradycyjnie czujny w ukraińskich sprawach Leszek Miller. W środę 27 maja poinformował na swoim kanale społecznościowym o decyzji Wołodymyra Zełenskiego, który nadał jednej z formacji wojskowych imię Bohaterów UPA. Oburzony do żywego były premier z SLD już wtedy zaapelował do prezydenta Karola Nawrockiego o odebranie ukraińskiemu przywódcy Orderu Orła Białego.

Nazajutrz „bohaterami UPA" żył już cały internet, a pomysł Millera podchwycił i poniósł dalej szef klubu Konfederacji Grzegorz Płaczek. Występujący już nie tylko w imieniu własnym, lecz „obywateli RP, którzy z bólem, niepokojem i sprzeciwem przyjęli fakt publicznego honorowania formacji odpowiedzialnej za ludobójstwo na Polakach". W tej sytuacji prezydent Karol Nawrocki już nie miał innego wyjścia, jak „bardzo poważnie odnieść się do apelu narodu polskiego i pana posła Płaczka".

Nie szczędząc ostrych połajanek swojemu ukraińskiemu odpowiednikowi oraz naszej dyplomacji, Nawrocki zapowiedział na 8 czerwca zwołanie posiedzenia Kapituły Orła Białego celem

eprasa.pl 3c38c03389

skonsultowania ewentualnej decyzji o odebraniu Zełenskiemu najwyższego polskiego odznaczenia.

„(...) narodem polskim można najłatwiej rządzić, jeśli się wszystko potępia, za żadną rzeczywistość nie bierze odpowiedzialności, zawsze się apeluje do uczuć niezadowolenia, krytyki bezwzględnego potępienia. (...) Nasze życie publiczne to ciągła premia za całkowite poczucie nieodpowiedzialności" – pisał ponad pół wieku temu nieoceniony w diagnozowaniu narodowych cech Stanisław Cat-Mackiewicz. Gdyby dożył naszych czasów, z pewnością nie byłby zaskoczony polską reakcją na „bohaterów UPA".

Nie dajmy sobą poniewierać!

Jak podliczył Europejski Kolektyw Analityczny Res Futura, w szczytowym okresie temat niemal zmonopolizował dyskusje w sieci, przykuwając ponad 90 proc. uwagi aktywnych komentatorów. Jeszcze w przededniu wejścia Nawrockiego nastąpił ich wysyp w niebagatelnej liczbie 20 mln, a nazajutrz poziom zwiększył się aż siedmiokrotnie. Przy czym udział botów był raptem pięcioprocentowy, co dowodzi autentyczności rozbudzonej emocji. Okazała się ona zarazem zadziwiająco zgodna, gdyż 95 proc. komentarzy mieściło się w schemacie narracji o „napluciu Polakom w twarz", z kolei orderowa inicjatywa Nawrockiego miała akceptację na poziomie trzech czwartych.

Modelowym przykładem polskiej reakcji były przesycone krzykliwą emfazą pogadanki Roberta Mazurka w Kanale Zero, które publikowane dzień po dniu zdobywały niemal półmilionową widownię. „Nie wierzę własnym oczom, jakie to historyczne tradycje chcą kultywować Ukraińcy! Tradycje mordowania Polaków i Żydów? Tak, bo tym zasłużyła się Ukraińska Powstańcza Armia" – emocjonował się już na wstępie dziennikarz, wyrażający później nadzieję, że dzięki Nawrockiemu być może „po raz pierwszy pozwolimy nie pluć sobie w twarz". Komentator Kanału Zero nie ukrywał, że kierują nim wyłącznie emocje. Ba, próbował się nawet z tego tłumaczyć. Ale kiedy zorientował się, że taki jest ogólny nastrój, wątpliwości zniknęły. Odtąd najważniejsze było już tylko to, żeby „polskie państwo nie dało się poniewierać". O tym, że politycy w swoich decyzjach powinni jednak kierować się przede wszystkim rozumem i starać się przewidywać również długofalowe skutki, Mazurek nie raczył wspomnieć już ani słowem.

Kwestia odebrania Zełenskiemu Orderu Orła Białego symbolicznie jest istotna. Przyznany przez Andrzeja Dudę ponad trzy lata temu, kiedy ukraiński prezydent cieszył się powszechną sympatią, a Polacy w większości byli dumni z roli europejskiego prymusa w pomaganiu Ukrainie. Decyzja nie wywołała zatem większych kontrowersji, przynajmniej w głównym nurcie.

Jako przywódca obcego państwa Zełenski mógł zostać odznaczony wyłącznie najwyższym odznaczeniem. Ale nie on pierwszy i nie on ostatni. Order Orła Białego na przestrzeni ostatnich trzech wieków już wiele razy trafiał do rąk zagranicznych mężów stanu, których zasługi okazywały się później dla Polski wątpliwe, albo gorzej. To choćby przypadek Fryderyka II Wielkiego oraz Katarzyny II Wielkiej, czyli obojga głównych inicjatorów rozbiorów. W okresie międzywojennym uhonorowano w podobny sposób Benito Mussoliniego oraz Miklosa Horthyego, którzy w czasie drugiej wojny światowej byli z kolei sojusznikami hitlerowskich Niemiec. W obecnym stuleciu wyróżniony z kolei został były niemiecki kanclerz Gerhard Schröder, dziś zdeklarowany zwolennik Putina.

Jakoś nie było jednak dotąd chętnych do orderowej rewizji, co świadczyło o rozsądnym podejściu, gdyż wcześniej czy później musiałoby się to skończyć również bardziej jątrzącymi remanentami w krajowym panteonie bohaterów. I takie sugestie już się zresztą na prawicy pojawiły, bo jeżeli mamy odbierać order Zełenskiemu, to może warto przy okazji zająć się Adamem Michnikiem, Władysławem Frasyniukiem i paroma innymi rzekomo niesłusznie w niedawnej przeszłości odznaczonymi. Ale to w dalszej kolejności, bo dzisiaj uwaga skupia się mimo wszystko na „honorującym ludobójców" Zełenskim, którego zasługi w powstrzymaniu rosyjskiej agresji nagle przestały mieć znaczenie.

Chociaż to nie perspektywa odesłania do Warszawy orderu realnie zaniepokoiła ukraińskie kierownictwo. Kijów przede wszystkim zwrócił uwagę na drugą część wypowiedzi Karola Nawrockiego, który z przekonaniem stwierdził, że „Ukraina pod względem mentalnym, gloryfikowania bandytów i morderców z UPA nie jest gotowa, aby być częścią rodziny europejskiej". I nic w tym dziwnego, bo Nawrocki już nie pierwszy raz zamanifestował swój wrogi stosunek do starań Ukrainy o członkostwo w UE. I po raz pierwszy zrobił to tak dobitnie.

Ocenianie zdolności narodów na podstawie historycznych patronatów jest dosyć karkołomne, ale w polskiej debacie jakoś nikt się temu nie dziwi. W relacjach z Ukrainą już od dłuższego czasu najważniejszy jest Wołyń, a z Niemcami – reparacje za ostatnią wojnę. Przypadek Nawrockiego jest zresztą szczególny. W kampanii prezydenckiej często chwalił się, że jako prezes IPN uprawiał „dyplomację historyczną" i już wtedy można było odnieść wrażenie, iż utożsamia ją z dyplomacją jako taką. Ten rodzaj zawodowego skrzywienia dał o sobie znać już po objęciu najwyższego urzędu, szczególnie w stosunku do Ukrainy. Najpewniej zresztą czekał na sprzyjającą okazję, żeby postawić sprawę na ostrzu noża, sięgając po europejski szantaż. I teraz właśnie ją dostał.

I tak we wspólnocie oburzenia rozpadł się jeden z najstarszych aksjomatów polskiej polityki, który nakazywał wspierać prozachodnią orientację Ukrainy. Bez względu na wszystko, gdyż istnienie oddzielającego nas od Rosji bufora leżało w polskim interesie. Te szkołę myślenia, zapoczątkowaną przez Piłsudskiego i rozwijaną później na łamach paryskiej „Kultury", wcielały po 1989 r. w życie wszystkie kolejne rządy oraz prezydenci III RP. Na czele z Lechem Kaczyńskim, którego legenda na prawicy wzięła się przecież głównie z wierności zasadom polityki jagiellońskiej. O dziedzictwie nieżyjącego prezydenta nikt już jednak ostatnio nie wspominał, przynajmniej w jego macierzystym obozie.

Nie ma dobrego ruchu

W jakimś sensie był to akt politycznego wyzwolenia Nawrockiego spod patronatu i tradycji, którym zawdzięcza prezydenturę. Już wcześniej dawało się wyczuć, że jego zdawkowe nawiązania do pamięci po Lechu Kaczyńskim są elementem rytuału. Nie ukrywał, że wschodniego sąsiada nie szanuje i chyba też ideowo bliżej mu do antyukraińskiej linii Dmowskiego niż federalistycznych koncepcji Piłsudskiego. Chociaż jego obecne wzmożenia oczywiście mają źródła polityczne. Ta zadyma się Nawrockiemu opłaca.

Po pierwsze, zasłużył sobie na aplauz w obozie Konfederacji, której liderom zdarzało się w ostatnich miesiącach parę razy ostrzej prezydenta skrytykować za zbyt bliskie związki z PiS. Tymczasem Nawrockiemu wyraźnie marzy się odegranie za rok roli akuszera nowej prawicowej koalicji, co wymaga zdolności stanięcia ponad rywalizującymi po prawej stronie nurtami.

Po drugie, postawił w kłopotliwym położeniu rządzącą koalicję. Premier Donald Tusk ewidentnie nie chciał się angażować ▶

eprasa.pl 3c38c03389

▶ w dyplomatyczną awanturę. Początkowo schował się za tonującym oświadczeniem polskiej ambasady w Kijowie, która trafnie zwróciła uwagę na odmienność historycznych perspektyw po obu stronach. Tyle że na realistyczne podejście wtedy nie było już popytu, w krajowej dyspucie zostało uznane za przejaw kapitulanctwa. Tusk delikatnie skrytykował więc stronę ukraińską, wzywając zarazem prawicę, by zachowała umiar w eskalowaniu szkodliwego dla polskiej racji stanu konfliktu. W końcu stwierdził, że reakcja prezydenta Nawrockiego była „zupełnie zrozumiała".

Premier nie ma jednak dobrego ruchu, gdyż logika godnościowa dosięgła też sporą część jego zwolenników. Tym bardziej że relacja z ukraińskim przywódcą jest dosyć napięta, o czym można przeczytać w wydanej właśnie książce Zbigniewa Parafianowicza „Kłopot z Zełenskim". Z zamieszczonych tam wypowiedzi anonimowych polityków koalicji wynika, że w sprawach ukraińskich Tusk w pełni świadomie kontynuuje politykę swojego poprzednika, unikając jedynie charakterystycznego dla prawicy konfrontacyjnego języka. Nie zamierza jednak odpuszczać w kwestii barier handlowych dla ukraińskiej żywności i nie jest również entuzjastą szybkiej akcesji, gdyż zbliży to moment, w którym Polska stanie się płatnikiem netto do europejskiego budżetu.

Pragmatyk Zełenski

A Kijów świetnie to widzi i tym bardziej spada tam skłonność, żeby orientować się na Polskę. Rozmówcy Parafianowicza opisują Zełenskiego jako skrajnego pragmatyka, który zabiega wyłącznie o względy państw oferujących Ukrainie konkretne korzyści tu i teraz. Coraz bardziej wycofana i kunktatorska Warszawa przestała być partnerem zasługującym na specjalne względy, a jej apele o okazywanie wdzięczności mogą Zełenskiego dodatkowo drażnić.

W Kijowie zauważone zostały zresztą antyukraińskie ekscesy z ubiegłorocznej kampanii prezydenckiej, a w styczniowym badaniu CBOS jedynie 29 proc. badanych deklarowało sympatię dla Ukraińców przy nieufności na poziomie 43 proc. W pierwszym roku wojny było to odpowiednio 51 do 17 proc. Gdyby badanie ponowić, byłoby pewnie jeszcze gorzej, bo przecież mamy za sobą groteskową awanturę o głosowania na konkursie Eurowizji, no i obecny huragan o „bohaterów UPA". Niżej w rankingu nielubianych przez nas narodowości znajdują się już tylko Żydzi, Palestyńczycy, Romowie, Białorusini i Rosjanie. Przy okazji sukcesywnie spada poparcie dla pomocy Ukrainie oraz przyjmowania uchodźców. Dla większości Polaków najpilniejsze jest dzisiaj zakończenie wojny, choćby kosztem terytorialnych ustępstw ze strony Ukrainy. Poczucie emocjonalnego zmęczenia przedłużającym się konfliktem wypiera więc trzeźwą refleksję o możliwych konsekwencjach.

Nasza klasa polityczna niewiele jednak robi, żeby takim nastrojom przeciwdziałać, przeważnie na nich dodatkowo żerując. I dotyczy to nie tylko Nawrockiego, ale również Tuska, który w bezpieczniejszych granicach też lubi sobie czasem populistycznie pofolgować. Osobiste zaangażowanie premiera w wyrzucanie z Polski ukraińskiego influencera, który zrobił sobie samochodową wycieczkę do Morskiego Oka, co najwyżej może pogłębić resentymenty, stając się paliwem dla zawodowych ukrainożerców.

Zełenski ma więc pewne przesłanki, aby nie brać specjalnie do serca naszej wrażliwości historycznej. W piątym roku wojny Ukraina przecież trwa i pomimo tylu przeciwności wręcz zdaje się poprawiać swoją sytuację na froncie i tym samym pozycję negocjacyjną przed rokowaniami z Rosją. Niezależnie od ostatecznych rozstrzygnięć Ukraina z jej militarnym potencjałem pozostanie krajem ważnym, bez którego nie uda się zbudować nowej architektury bezpieczeństwa w regionie. Z punktu widzenia ukraińskiego prezydenta polski paternalizm nie ma więc większego uzasadnienia.

Sami się marginalizujemy

Zawsze było go zresztą wiele, szczególnie w odniesieniu do historii. Teraz dał o sobie znać kolejny raz przy okazji kłótni o „bohaterów UPA". Czy Ukraina ma prawo do samodzielnego kształtowania własnej pamięci, jak stwierdziła w oświadczeniu polska ambasada w Kijowie? „Jest w tym odrobina prawdy" – wspaniałomyślnie oświadczył prezydent Nawrocki, ilustrując wymownym gestem palców, jak bardzo niewielka jest to drobinka. Bo Kijów powinien przede wszystkim uważnie słuchać, co ma do powiedzenia o jego historycznych wzorcach kulturowo wyżej stojący sąsiad.

Polskie elity właściwie nigdy nie były jednak w stanie osadzić polityki historycznej w szerszej perspektywie. Pozbawiona ciągłości, co parę lat jest odkręcana o 180 stopni. Traktowana bardziej w kategoriach moralnej powinności bądź jako sposób odreagowania narodowych kompleksów, w istocie powinna przede wszystkim służyć rozwijaniu naszego *soft power*. To jednak wymagałoby myślenia systemowego, zwłaszcza zbudowania sieci instytucji realnie oddziałujących na świadomość innych społeczeństw poprzez cierpliwe pokazywanie naszej perspektywy i dostarczanie pozytywnych wzorców.

Owe deficyty szczególnie dawały o sobie znać właśnie w relacjach polsko-ukraińskich. Nasza polityka historyczna na tym obszarze od początku grzeszyła brakiem skuteczności. Najbardziej jak dotąd spektakularna próba pojednania miała miejsce w maju 2006 r. w Pawłokomie, gdzie prezydenci Lech Kaczyński i Wiktor Juszczenko odsłonili pomnik ukraińskich cywilów zamordowanych w 1945 r. przez polskie podziemie. I chociaż w trakcie uroczystości padły ważne słowa o odpuszczeniu win i przebaczeniu, które miały zamknąć rachunek krzywd, nic takiego się nie stało. Zainteresowanie okazało się niewielkie, na co być może miała wpływ ogólna gładkość deklaracji, brak nawiązania do realnej treści i kryjących się za nimi emocji. Ale tak samo nie mamy sukcesów w kwestii ekshumacji pomordowanych na Wołyniu, co jest dzisiaj kamieniem oskarżenia pod adresem konsekwentnie opierającego się Kijowa, chociaż coś się w tej sprawie zaczęło dziać.

Na tym tle ukraińska polityka historyczna okazuje się dużo bardziej konsekwentna, lepiej podporządkowana państwowym celom i po prostu dużo skuteczniejsza. Nawet jeśli w znacznej mierze powiela ona wzorce z czasów sowieckich, kiedy historycy dobrowolnie przyjmowali perspektywę służenia w pracy badawczej interesom państwa. Stąd ich dzisiejsze jednostronne oceny dziejów ukraińskiego nacjonalizmu, skupione na wątkach antyrosyjskich i konsekwentnie ignorujące polską wrażliwość. Należałoby się jednak oswoić z myślą, że tak już po prostu będzie, gdyż nacjonalizm pozostanie istotną składową tożsamości państwa, które nawet wychodząc obronną ręką z obecnej wojny, pozostanie egzystencjalnie zagrożone.

I warto znaleźć na to sensowną odpowiedź. Polska dzisiaj obnosząca się ze swoją wyższością bez pokrycia, bujająca się pomiędzy skrajnymi nastrojami, przyznająca i odbierająca ordery, okazuje się państwem mało skutecznym i mało poważnym. Trochę sama prosi się o to, żeby ją pomijać i lekceważyć.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 3c38c03389

13-letnie Iga Świątek i Maja Chwalińska na Mistrzostwach Polski Młodzików w Warszawie

© STACH ANTKOWIAK/REPORTER

Maja waleczna

Chociaż Maja Chwalińska ostatecznie nie wygrała turnieju Rolanda Garrosa, to podbiła serca kibiców i zasiała zamęt w tenisowym świecie. „Bo przecież tak się już nie gra”.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Sport lubi takie opowieści: kwalifikantka, na którą nikt nie stawiał, dociera do finału wielkiego turnieju i ociera się o tytuł. W przypadku French Open poprzednią najniżej notowaną zawodniczką, która biła się o puchar, była Iga Świątek. Zajmowała 54. miejsce w rankingu WTA, gdy pierwszy raz została mistrzynią Rolanda Garrosa w 2020 r.

Maja Chwalińska mogła ten sukces powtórzyć, ale 19-letnia Mirra Andriejewa wysoko zawiesiła poprzeczkę. Rosjanka jest wyższa, silniejsza, ma te same tenisowe atuty, a w bonusie mocny serwis, szybką piłkę i więcej doświadczenia w grze o wielką stawkę. Wicemistrzyni Rolanda Garrosa przepraszała za swój finałowy występ podczas ceremonii wręczenia trofeów, ale kibice nie przyjęli tego do wiadomości. Na korcie Philippe'a Chatriera poniosło się głośne „Dziękujemy, dziękujemy!”. Na Stadionie Śląskim w Chorzowie „Sto lat” odśpiewali Mai uczestnicy koncertu Dawida Podsiadły, bagatela, 90 tys. osób. Mecze z jej udziałem miały w Polsce rekordową oglądalność – sam półfinał obejrzało 1,65 mln widzów, a finał był w wielu miejscach oglądany w plenerze.

– *Trybuny były zdecydowanie po stronie Mai* – opowiada Łukasz, który zabukował bilety na finał, spodziewając się tu Igi. – *Kibice z innych krajów też jej kibicowali. Koło mnie siedzieli Czesi i Francuzi, zachwyceni jej stylem. Ktoś nawet stwierdził, że uratowała turniej swoją zróżnicowaną grą.* Na Instagramie Mai lawinowo przybywa fanów, już jest ich prawie pół miliona i nie są to wyłącznie rodacy. ▶

eprasa.pl 3c38c03389

▶ Marzycielka

Maja Chwalińska, w środowisku nazywana Majsonem, urodziła się w Miechowie, wychowała w Dąbrowie Górniczej (zresztą tak jak Podsiadło) i związała z Bielsko-Białą. Nie pochodzi z tenisowej rodziny: mama Marcela jest recepcjonistką w Centrum Sportu i Rekreacji, tata Tomasz był elektrykiem w kopalni, dziś na emeryturze. Oboje wspierali ją z boksu w Paryżu i nie grzebali jej marzeń w czasach, gdy sukcesy nie były tak oszałamiające. Chwalińska gra od siódmego roku życia, trener Paweł Kałuża docenił jej zdolności podczas Talentiady Tenisowej organizowanej przez Polski Związek Tenisowy. Uprawiała karate, grała w siatkówkę, ale tenis pokochała i „polecała każdemu". Krążą w sieci archiwalne nagrania: 10-letnia Maja wyznaje, że chce grać zawodowo, a jeśli się nie powiedzie, to zostanie trenerką albo komentatorką sportową. Wymarzony turniej? Roland Garros.

Tenis zawsze był planem A. Jako nastolatka Maja odnosiła sukcesy w parze z Igą Świątek. Znają się od 10. roku życia. Razem trenowały, reprezentowały kraj w mistrzostwach kontynentu i świata (nadal to robią w rozgrywkach Billie Jean King Cup i United Cup, choć Mai zdarzało się grzać ławkę rezerwowych), wreszcie dobrnęły do finału juniorskiego Australian Open w 2017 r. Namawiały się po dziecinnemu, że wygrają wszystkie Wielkie Szlemy: Iga w Paryżu i Nowym Jorku, Maja w Melbourne i Londynie. Kariera Igi Świątek wystrzeliła prędko – w 2018 r. wygrała juniorski Wimbledon, w etap seniorski wchodziła już jako błyszczący talent. Z Mają było inaczej, szła swoim tempem, 15 lat pracy procentuje dopiero teraz. W jej boksie spotykają się dziś polska i czeska szkoła tenisa: jest podopieczną Czecha Jaroslava Machowskiego.

Jako zawodniczka siódmej setki rankingu WTA grywała przed laty głównie w pomniejszych turniejach ITF, żeby ciułać punkty i rzecz jasna dorobić. W teorii rozgrywki ITF (challengery u mężczyzn) to etap przejściowy między ścieżką juniorską i seniorską. W praktyce zawsze można się tu cofnąć, żeby odbudować formę i ranking potrzebne, by grać o wyższą stawkę. Maja nadal tu wraca, na poziom challengerów zszedł też w tym roku Hubert Hurkacz, kiedyś szósty zawodnik świata, dziś balansujący na krawędzi setki. To naprawdę cierpliwe ciułanie: za przebrnięcie pierwszej rundy kwalifikacji w turnieju ITF do rankingu jest dopisywany oszałamiający 1 pkt. Za paryski finał przysługuje 1300. Do tej pory największym osiągnięciem Mai w Wielkim Szlemie była druga runda Wimbledonu w 2022 r.

Kopciuszek

Trudno wyżyć z premii za turnieje ITF (zwykle do 30 tys. dol. za zwycięstwo) i rozgrywki niższej rangi WTA, bo nie wszystko zostaje w kieszeni, trzeba odliczyć podatek, opłacić sztab, podróże, hotele, sprzęt. Wkład własny jest horrendalnie wysoki. Maja przez całą karierę zarobiła mniej (ok. 864 tys. dol.) niż przez trzy tygodnie w Paryżu (1,4 mln euro). W tenisie wielkie pieniądze i kontrakty są zarezerwowane dla czołówki. Dlatego podczas tegorocznej edycji French Open o wyższe premie upominały się topowe zawodniczki, skracając w proteście konferencje prasowe po meczach. Historia Chwalińskiej wpasowała się w tę narrację niechcący i w sam raz.

Realia poza pierwszą rankingową setką najweselsze nie są, łatwo zwątpić w sens takiej pracy i wyrzeczeń. Maja zwątpiła, ogłosiła przerwę w 2021 r., regularnie doskwierały jej kontuzje (kolana, nadgarstka, łokcia). „Od końca 2019 roku choruję na depresję. Pojawiające się nieustannie kontuzje na pewno nie pomagały mi poradzić sobie z tą chorobą. Próbowałam trenować i rywalizować, ale czułam, jak to wszystko coraz bardziej mnie wykańcza i przytłacza. Doszłam do takiego punktu, w którym nie jestem już w stanie zmusić się do trenowania", napisała w social mediach. Radość z gry uleciała, na szczęście wróciła, choć to raczej falowanie i proces niż stan gwarantowany na zawsze. Maję wspiera dziś psycholożka Alicja Nowicka. Od ponad roku udziela jej doraźnej pomocy, dołączyła też do sztabu w Paryżu (pierwszy raz towarzyszyła Polce w turnieju).

Zachodnie media piszą, że to „Cinderella story", historia Kopciuszka. „Nikt mnie tu nie zna", mówiła w jednym z wywiadów. A świat uczył się odczytywać jej nazwisko. Ujmuje skromnością i autentycznością. Pytana, dlaczego nosi na meczach różne stroje, odparła bezceremonialnie, że nie ma sponsora technicznego i ubiera się w co bądź. Gdy wchodziła w drugi tydzień rozgrywek, wprost przyznała, że nie wie, czy znajdzie hotel.

Poniosły się w sieci słowa menedżera Mai Piotra Szczypki, właściciela klubu BKT Advantage z Bielska-Białej, z którym Polka jest związana od 18. roku życia. „Nie mam słów, bo tyle razy byłem na skraju załamania nerwowego – mówił w wywiadzie dla Eurosportu. – Chciałem tylko rundę, dwie, żeby po prostu żyć normalnie. Chyba pójdę do Częstochowy na kolanach, nie wiem, co powiedzieć". Dawniej Szczypce zdarzało się szukać noclegu „po znajomych" przez social media.

Pisze też o tym Katarzyna Kawa, 143. zawodniczka świata. „Dlaczego w polskim sporcie wciąż mamy kopciuszki? Tak utalentowane, tak zdeterminowane osoby, z ogromnym potencjałem. (...) Ilu przyszłych mistrzów/finalistów nie poznamy, bo zabraknie im wsparcia, zanim zdążą odnieść sukces?".

Dziś Maja nie może się opędzić od ofert współpracy, paru sponsorów objawiło się już podczas turnieju, logotypy były dopinane naprędce do stroju. To zupełnie nowa rzeczywistość. – *O samą Maję jestem spokojny, ale w jakimś stopniu ta fala popularności dotyczy wszystkich, którzy ją otaczają* – mówi Krzysztof Matlak, komentator sportowy, bloger POLITYKI. – *To jest przeskok z realiów walki o byt w małych imprezach do dużych pieniędzy w największych turniejach. Ciśnienie będzie duże. Mogą pojawić się różne pokusy, np. związane z kontraktami sponsorskimi. Maja musi się stać szefową biznesu, który właśnie zaczął świetnie prosperować.*

Szachistka

Ze 114. miejsca przeskoczyła na 21. Pytanie, czy się tu utrzyma. Do paryskiego turnieju nigdy nie pokonała zawodniczki z czołowej pięćdziesiątki rankingu, a historia zna przypadki szokujących karier, które szybko zgasły. Dyżurny przykład: Brytyjka Emma Raducanu była pierwszą kwalifikantką, która wygrała US Open (2021), ale nie doskoczyła już do podobnego poziomu. Kanadyjka Leylah Fernandez, wówczas jej rywalka, radzi sobie lepiej, jest w rankingu dwa miejsca za Mają. Francuzka Lois Boisson przed rokiem dotarła do półfinału French Open jeszcze bardziej widowiskowo niż Polka, bo z czwartej setki rankingu. Dziś jest 155. Mamy też swojski przykład Magdy Linette, półfinalistki Australian Open w 2023 r., dziś 60. rakiety świata.

Wielkie Szlemy to rankingowa katapulta, jak to ujął komentator Karol Stopa, ale rok później trzeba tych punktów bronić, a w międzyczasie jakiś poziom utrzymać. Leworęcznej niewysokiej Chwalińskiej łatwo nie było i nie będzie, dlatego gra

© DAN ISTITENE/GETTY IMAGES, MATTHEW STOCKMAN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3c38c03389

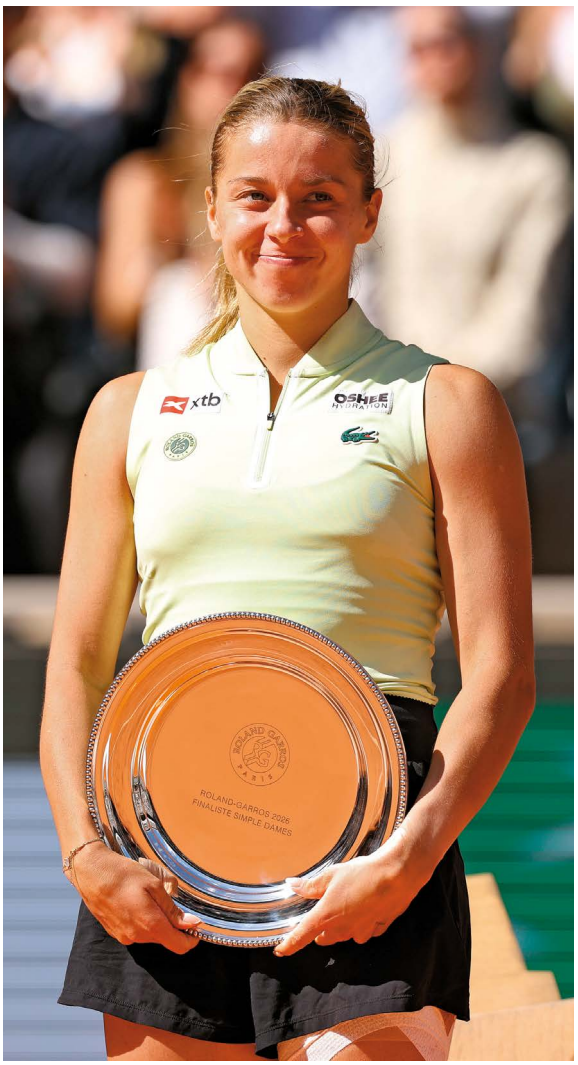

Niski wzrost Maja Chwalińska kompensuje sobie pełnym wachlarzem zagrań, jej top spiny, slajsy, woleje, loby, kapitalne skróty i nonszalanckie passing shoty są dla rywalek dezorientujące. Z prawej: **Maja z pamiątkową paterą, na turnieju Rolanda Garrosa przez trzy tygodnie zarobiła 1,4 mln euro.**

nieszablonowo, choć trzeba odnotować, że ok. 30 proc. finalistów Wielkiego Szlema też grało lewą ręką (z Rafą Nadalem na czele). Jedni określają jej styl „antytenisem", inni mówią, że uprawia tenisowe szachy i odwraca trend. Bo od paru lat – i u kobiet, i u mężczyzn – premiowany na korcie jest głównie atletyzm.

Tenis zrobił się siłowy, serwis coraz szybszy. Zawodnicy strzelają jak z armaty, grają płasko, przyklejeni do linii końcowej. Tenis Chwalińskiej – jak to określił magazyn „The Atlethic" – „opiera się na samoakceptacji". Jeśli warunki nie sprzyjają takiej grze, to trzeba się maksymalnie dostosować. Brak centymetrów Maja kompensuje sobie pełnym wachlarzem zagrań, jej top spiny, slajsy, woleje, loby, kapitalne skróty i nonszalanckie passing shoty są dla rywalek dezorientujące. Polka miała w Paryżu jeden z najwyższych wskaźników gry w defensywie, ale umie przejść z obrony do ataku. Ma też ważną właściwość: antycypuje, dobrze czyta grę. Przed laty po podobny repertuar zagrań sięgały Ashleigh Barty (1,66 cm wzrostu, 2 cm więcej niż Polka), Tunezyjka Ons Jabeur czy choćby Agnieszka Radwańska. Może i dziś nastał czas na urozmaicenie – skoro wszyscy biją mocno, to trzeba się czymś wyróżnić. Maja mogłaby uczyć dropshotów całą czołówkę rankingu.

Na razie punktów za styl w tenisie nie ma. Chwalińska nie przypadkiem wystrzeliła teraz, po miesiącach współpracy – co ciekawe, głównie zdalnej – z Maciejem Ryszczukiem, jednym z najlepszych w Polsce trenerów przygotowania fizycznego, stałym współpracownikiem Igi. Żeby się wspiąć, trzeba było przełamać bariery mentalne, ale i wzmocnić się fizycznie. Teraz to zaczyna się zgrywać. – *Wierzę, że nie skończy się na paryskim wyskoku* – mówi Krzysztof Matlak. – *Tak jak rywalki poznały Chwalińską, tak i ona już wie, że nawet z najlepszymi może sobie poradzić. Pytanie: jak często? Bo może być tak, że pomknie jeszcze na szczyty, czyli np. do dziesiątki, albo raczej na dłużej zadomowi się w okolicach 20.–40. miejsca w rankingu. Inna sprawa, że nawet ten gorszy scenariusz wydawał się nierealny kilka tygodni temu.*

Są jeszcze dwie ważne zmienne: ciężar nagłej popularności i kibice, którzy celebrują sukcesy, ale źle znoszą porażki. Najlepsza polska tenisistka coś o tym wie.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

eprasa.pl 3c38c03389

Alarm na telefon

KATARZYNA KACZOROWSKA

W zeszłym roku aż jedna trzecia zgłoszeń na telefon 112 nie miała uzasadnienia, a operatorzy przyznają, że to, czy alarm jest prawdziwy, można ocenić dopiero, kiedy służby dotrą pod wskazany adres.

Łukasz Ciałowicz wciąż pamięta tamten dzień. Pod alarmowy nr 112 zadzwonił roztrzęsiony mężczyzna. Szykował jedzenie dla dwuletniego synka, kiedy mały niepostrzeżenie wspiął się na parapet do uchylonego okna. Wypadł z pierwszego piętra. Upadek był śmiertelny.

– *A ja tego dnia gasiłem z moim dwuletnim synkiem dwie świeczki na urodzinowym torcie...* – mówi Ciałowicz, operator w Krakowskim Centrum Powiadamiania Ratunkowego, pracujący tu od początku istnienia CPR, czyli od pilotażu wprowadzającego w Polsce obowiązujący w Unii Europejskiej zintegrowany system i alarmowy numer 112.

Zgłoszenie i formatka

Ciałowicz, z wykształcenia mechanik i historyk, od 12. roku życia uprawiający wyczynowo strzelectwo i łucznictwo, do CPR trafił, bo o ciekawej pracy powiedział mu kolega. Wcześniej

© AMA/SHUTTERSTOCK AI/WL

eprasa.pl 3c38c03389

pracował w firmach meblarskich i jako mechanik. Centrum dopiero powstawało, a on przeszedł pozytywnie rozmowę kwalifikacyjną, a potem szkolenia i dzisiaj tłumaczy, jak wygląda jego praca na co dzień.

Procedura jest jasna: kiedy operator w Centrum Powiadamiania Ratunkowego odbiera telefon, zadaje krótkie konkretne pytania. Po drugiej stronie słuchawki ma człowieka, który zgłasza wypadek, pożar, nagłe zasłabnięcie, ból nie do wytrzymania, awanturę domową. I jest zdenerwowany, plącze się, gubi w tym, co mówi, bo chce powiedzieć wszystko naraz, bo liczy się każda minuta. To dlatego operator może wydawać się oschły i nieempatyczny, bo musi taki być – musi od dzwoniącego uzyskać wszystkie informacje. Kiedy już je ma, wypełnia specjalną formatkę w SWD, czyli Systemie Wspomagania Dowodzenia. To systemy służb ratunkowych – policji, Państwowej Straży Pożarnej i Państwowego Ratownictwa Medycznego, do których operatorzy numerów alarmowych wysyłają wypełnioną w systemie CPR formatkę. Ta zawiera numer telefonu osoby zgłaszającej, jej dane, jak najbardziej dokładny opis i kategorię zdarzenia oraz adres. Automatycznie wysyłana jest ona tylko do tych trzech służb.

Ale są też takie, które w systemie CPR nazywane są podmiotami pomocniczymi. Jeśli sytuacja jest alarmowa, operator powiadamia je telefonicznie – ma dostęp w systemie do numerów tych służb z dokładnością do gminy. Nie wysyła się do nich formatki, ponieważ najczęściej nie mają swoich systemów teleinformatycznych. To lokalna straż miejska, pogotowie gazowe, wodociągowe, Straż Ochrony Kolei, Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad, TOPR, GOPR, WOPR. Kluczowe są tu specjalistyczne kompetencje, które posiadają podmioty pomocnicze, uzupełniające możliwości policji, PSP i PRM, np. TOPR w wysokich górach. Centrum nie jest w żaden sposób połączone z bazą PESEL, nikt nie sprawdza, kto pod jakim adresem mieszka czy jest zameldowany, co ma znaczenie w kontekście ostatnich zdarzeń.

Wybryk czy prowokacja

Od połowy maja tego roku przez media przetacza się jednak dyskusja dotycząca skuteczności systemu – wszystko z powodu fałszywych wezwań pod numerem 112 dotyczących sytuacji zagrożenia życia. Zgłoszenia miały dotyczyć osób w kryzysie psychicznym czy dzieci zagrożonych przemocą. Tymczasem 18 telefonów pokierowało służby ratownicze pod adresy dziennikarzy i polityków związanych z opozycją: na posesji Jarosława Kaczyńskiego miał się znajdować ładunek wybuchowy, w mieszkaniu, w którym przebywali redaktor naczelny TV Republika Tomasz Sakiewicz i jego asystentka, miało być dziecko w stanie zagrożenia życia. W sobotę 23 maja służby sforsowały drzwi mieszkania matki prezydenta Karola Nawrockiego – tam też miało przebywać dziecko i też w stanie zagrożenia życia. Mieszkanie było puste.

Wybuchł skandal. Opozycja zaczęła oskarżać służby o celowe zastraszanie (do mieszkania byłego szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomira Cenckiewicza strażacy weszli przez balkon). Po tygodniu oskarżeń i tłumaczeń minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński ogłosił, że w sprawie tych alarmów zatrzymano pięć osób. Cztery zostały tymczasowo aresztowane, ale w prawicowych mediach nie brakuje opinii, że zatrzymano pionki, a nie osoby rzeczywiście stojące za fałszywymi wezwaniami.

Jeden z przebywających w areszcie to Wiktor P., używający pseudonimów Batman i Batmanik. Z informacji podanych przez portal wp.pl wynika, że w lutym rok temu wspólnie z innymi osobami i korzystając z sieci TOR, która miała mu gwarantować bezkarność, miał przesłać do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego fałszywe zgłoszenie o planowanym zamachu, kupnie broni i materiałów wybuchowych oraz podłożeniu ładunków w budynku mieszkalnym. Kilka dni później usłyszał zarzuty, ale zastosowano wobec niego dozór policyjny i zakaz kontaktu ze świadkami. Do aresztu Wiktor P. trafił, bo nadal wysyłał fałszywe groźby zamachów.

W kwietniu tego roku sąd miał zdecydować, czy areszt przedłużać po raz kolejny. Nie przedłużył, uznając, że prokuratura ma pełny materiał dowodowy, ryzyko surowej kary „nie ma charakteru realnego", aresztowany ma zaledwie 19 lat. Odwołanie prokuratora nic nie dało. Sąd drugiej instancji uznał, że ryzyko popełnienia kolejnych przestępstw „nie odbiega od poziomu występującego w większości spraw o podobnym charakterze", groźby „miały w dużej mierze charakter fantazyjny i były oderwane od rzeczywistości", a podejrzany „nie posiadał realnych możliwości ich realizacji". Sankcja: dozór policyjny i zakaz korzystania z wybranych usług internetowych.

Kary? Surowe

Tylko w 2025 r. 34,55 proc. zgłoszeń na numer alarmowy 112 nie miało uzasadnienia. W 2023 r. było to blisko 39,5 proc. wszystkich zgłoszeń. Jak informowała w swoim raporcie NIK, mimo to aż cztery z 10 skontrolowanych centrów powiadamiania ratunkowego w żadnym z takich przypadków nie kierowały zawiadomień do organów ścigania, a pozostałe wyłącznie w ograniczonym zakresie.

Jak pisze na swojej stronie internetowej adwokat Małgorzata Durlej-Piotrowska, polski Kodeks karny za fałszywe zgłoszenia przewiduje surowe kary – zgodnie z art. 224 do 2022 r. kara pozbawienia wolności wynosiła od 6 miesięcy do 8 lat. W styczniu 4 lata temu przepisy zaostrzono i górny wymiar kary podniesiono do lat 12. Sprawca fałszywego alarmu bombowego może trafić do więzienia nawet na 15 lat. Ale bezpodstawne zgłoszenia mogą też być kwalifikowane na podstawie Kodeksu wykroczeń – i np. za złośliwe blokowanie nr. 112 możliwa jest grzywna do 1,5 tys. zł. To, co jednak naprawdę może być dotkliwą karą, to zwrot kosztów dojazdu i pracy wszystkich jednostek ratowniczych i ewakuacji ludzi, jeśli taka została przeprowadzona. A te idą już w tysiące.

Łukasz Ciałowicz w sprawie fałszywych wezwań w sądzie zeznawał tylko raz. Sprawca, który zgłaszał pożary i zawsze pojawiał się na miejscu zgłoszenia, by obserwować nadjeżdżające wozy strażackie, okazał się niepoczytalny. – *Ale pamiętam sytuację, kiedy zadzwoniło dziecko. Podało nazwę ulicy, piętro budynku i powiedziało, że widzi ogień w oknach. Zawiadomiliśmy strażaków. Pojechali. Pożaru nie było. Byliśmy pewni, że to fałszywy alarm, ale okazało się, że jednak nie. Chłopiec błędnie odczytał drogowskaz, paliło się, ale na sąsiedniej ulicy. Gdyby strażacy skręcili w lewo, od razu podjechaliby na miejsce zagrożenia. A tak konieczne było drugie zgłoszenie* – opowiada Ciałowicz, dodając, że choćby ta sytuacja jasno pokazuje, że nie można zlekceważyć żadnego sygnału. Bo nigdy nie wiadomo, który jest prawdziwy, a który nie, dopóki odpowiednie służby nie dotrą na miejsce zdarzenia.

W 2012 r. we Wrocławiu, jeszcze przed wprowadzeniem Centrum Powiadamiania Ratunkowego, zgłoszono podłożenie bomby w jednym ze szpitali. Dwa razy. Najpierw po południu, a drugi ▶

eprasa.pl 3c38c03389

▶ raz o północy. Za pierwszym razem pacjentów nie ewakuowano, bomby nie znaleziono. Za drugim razem chorych ewakuowano. I jeden z nich zmarł w czasie transportu. Sprawcę fałszywych alarmów zatrzymano. Odsiedział wyrok i jest na wolności

Na policję i pogotowie

W czerwcu 2025 r. Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport, w którym oceniła system działający od 11 lat – Polska wprowadziła go ustawą w 2013 r., przepisy miały umożliwić automatyczne przekierowywanie połączeń z numerów 997 (Policja), 998 (Państwowa Straż Pożarna) i 999 (Państwowe Ratownictwo Medyczne) na wspólny dla całej Unii Europejskiej jeden numer alarmowy 112, bez względu na to, czy dzwoniący potrzebuje pomocy medycznej, jest ofiarą napadu czy świadkiem pożaru. Ocena każdego zgłoszenia i przekierowanie go do odpowiedniej służby to zadanie operatorów dyżurujących w 17 Centrach Powiadamiania Ratunkowego zlokalizowanych w całym kraju. Dzisiaj – według danych Komisji Europejskiej – numer 112 obsługuje w Polsce 92 proc. połączeń z numerami alarmowymi. Najwięcej zgłoszeń skierowano do policji – ok. 49 proc., pogotowia ratunkowego – ok. 43–44 proc., a straży pożarnej ok. 6–7 proc. Najczęściej wzywano pomoc w przypadku bólu – ok. 19 proc. wszystkich interwencji, komunikacji drogowej – ok. 19 proc., złego samopoczucia – ok. 18 proc., zakłócenia porządku publicznego – ok. 14 proc. i interwencji domowych – niemal 12 proc.

Naczelnik Krajowego Centrum Monitorowania Systemu Ratunkowego w Departamencie Ochrony Ludności i Zarządzania Kryzysowego MSWiA Maria Skarzyńska, która ten system w Polsce wprowadzała, podkreśla, że numer 112 to dzisiaj standard, który znają już dzieci w szkole.

– *Moje ośmioletnie dziecko od przedszkola wie, że jeśli cokolwiek się wydarzy, ma dzwonić pod jeden numer i tam są ludzie, którzy wiedzą, co robić. Ja jestem z pokolenia, które musiało uczyć się trzech numerów na pamięć, i wiem, że w sytuacji zagrożenia naprawdę mogły się mylić* – naczelnik Skarzyńska od razu podaje przykład z własnego życia – ponad 20 lat temu była u koleżanki, kiedy w jej domu wybuchł pożar. Doszło do zwarcia, pojawił się ogień. I pamięta doskonale tamten stres i pierwsze pytania o numer do strażaków, bo ona miała zadzwonić po pomoc, a domownicy zajęci byli gaszeniem pożaru.

NIK: jest dobrze, ale...

Do końca 2023 r. wdrożono przekierowywanie połączeń z numerami 997 i 998 na numer 112, od 1 stycznia 2024 r. miało to dotyczyć także numeru 999. Wbrew obowiązującym wtedy przepisom ówczesny minister zdrowia zdecydował jednak, że połączenia z pogotowiem ratunkowym nie będą przekierowywane na nr 112. Argument: obawy o wydłużenie czasu obsługi zgłoszeń i ryzyko problemów w przypadku awarii systemu. Naczelnik Skarzyńska przyznaje, że operatorzy w centrach nie mogą zbierać wywiadu medycznego, choć mogą kierować osobą dzwoniącą, jak ma udzielić pierwszej pomocy. W marcu 2025 r. posłowie ostatecznie zdecydowali o wyłączeniu numeru 999 z systemu powiadamiania ratunkowego.

W swoim raporcie NIK uznała jednak, że system nie jest w pełni funkcjonalny – przez ponad dekadę kolejni ministrowie nie zapewnili bowiem możliwości odbierania esemesów wysyłanych pod nr 112 bez specjalnej aplikacji Alarm 112. W ocenie kontrolerów Izby to istotna bariera, zwłaszcza dla osób głuchych i niedosłyszących oraz dla tych, którzy w sytuacji zagrożenia nie są w stanie porozumiewać się głosowo, np. z obawy o swoje bezpieczeństwo.

– *Tylko że osoby głuche najchętniej korzystałyby z wideotłumacza online. Aplikacja Alarm 112, którą wdrożyliśmy w porozumieniu z Polskim Związkiem Głuchych, pozwala im zgłosić zdarzenie na numer alarmowy bez pisania czegokolwiek, bo ma piktogramy. Wybrany obrazek jest przerabiany na wiadomość tekstową, która trafia do naszego systemu. I uruchamia procedurę* – tłumaczy Maria Skarzyńska. I dodaje, że piktogramy dotyczą pożaru, wypadku samochodowego czy nagłego zatrzymania krążenia. I nawet jeśli nie uda się nawiązać komunikacji zwrotnej w formie pisemnej, operator zakłada, że zgłoszenie jest prawdziwe i przekazuje je do służb. Obecnie trwają prace nad zmianą technologii aplikacji na pakietową – podobną do WhatsAppa albo Messengera. To pozwoli w przyszłości na wdrożenie m.in. wideotłumacza online.

Inny zarzut ze strony NIK dotyczy tego, że Polska jako jedyny kraj w UE nie wdrożyła technologii AML (ang. Advanced Mobile Location), która na podstawie danych z GPS umożliwia precyzyjne określenie lokalizacji osoby wzywającej pomocy – do 5 m na zewnątrz i średnio 25 m w budynkach. W okresie objętym kontrolą Izby system lokalizacji osoby dzwoniącej pod numer alarmowy 112 opierał się na danych ze stacji bazowych telefonii komórkowej (tzw. BTS), jednak precyzyjność takiego pomiaru była ograniczona, a margines błędu mógł wynieść nawet kilka kilometrów. Trybunał Sprawiedliwości UE nałożył na Polskę za brak wdrożenia AML karę w wysokości 4 mln euro ryczałtu i 50 tys. euro dziennie do czasu usunięcia naruszeń. AML ma działać dopiero w 2027 r.

System będzie wdrażany w formie platformy lokalizacyjno-informacyjnej z centralną bazą danych, do której dostęp, oprócz Centrów Powiadamiania Ratunkowego, mają także służby ustawowo powołane do niesienia pomocy, w tym np. TOPR, GOPR i WOPR, które w pierwotnej wersji byłyby z tego dostępu wyłączone. Tyle tylko, że nie przewidziano, że prace nad tym wdrożeniem w Ministerstwie Cyfryzacji będą trwały tak długo.

Człowiek pod presją

W duńskim thrillerze „Winni" operator nr. 112, były policjant, odbiera kolejne połączenia. Dzwonią pijani imprezowicze, niedzielni kierowcy, blokujący numer żartownisie. Operator jest coraz bardziej zirytowany i odlicza czas do końca zmiany. Aż w pewnym momencie odbiera telefon od przerażonej kobiety. Została porwana, a samochód, w którym się znajduje, jedzie w nieznanym kierunku. Gdy połączenie zostanie gwałtownie przerwane, operator nr. 112 jest jedynym, który może jej pomóc.

Maria Skarzyńska nie kryje, że wiele z sytuacji, w jakich znajdują się pracownicy CPR, jest tak obciążających, że wymagają wsparcia psychologa. To wypadki, samobójstwa, tragiczne pożary, śmierć dziecka. Stąd też nieustanne szkolenia, analizowanie kolejnych zdarzeń. I obowiązkowe przechowywanie nagrań, które mogą być istotne w razie skargi czy śledztwa.

Łukasz Ciałowicz filmu „Winni" nie oglądał. Ale tak jak pamięta śmierć dwuletniego chłopczyka i rozpacz jego ojca, tak każdy telefon z wezwaniem pomocy dla osoby chorej, cierpiącej ból, jest dla niego osobistym przeżyciem. Jego żona zmagała się z chorobą nowotworową dziewięć lat. Zmarła rok temu. On walczył lat sześć. Żyje. I wie, co może czuć człowiek po drugiej stronie telefonu.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 3c38c03389

ZAMACH STANU CZY SANACJA?

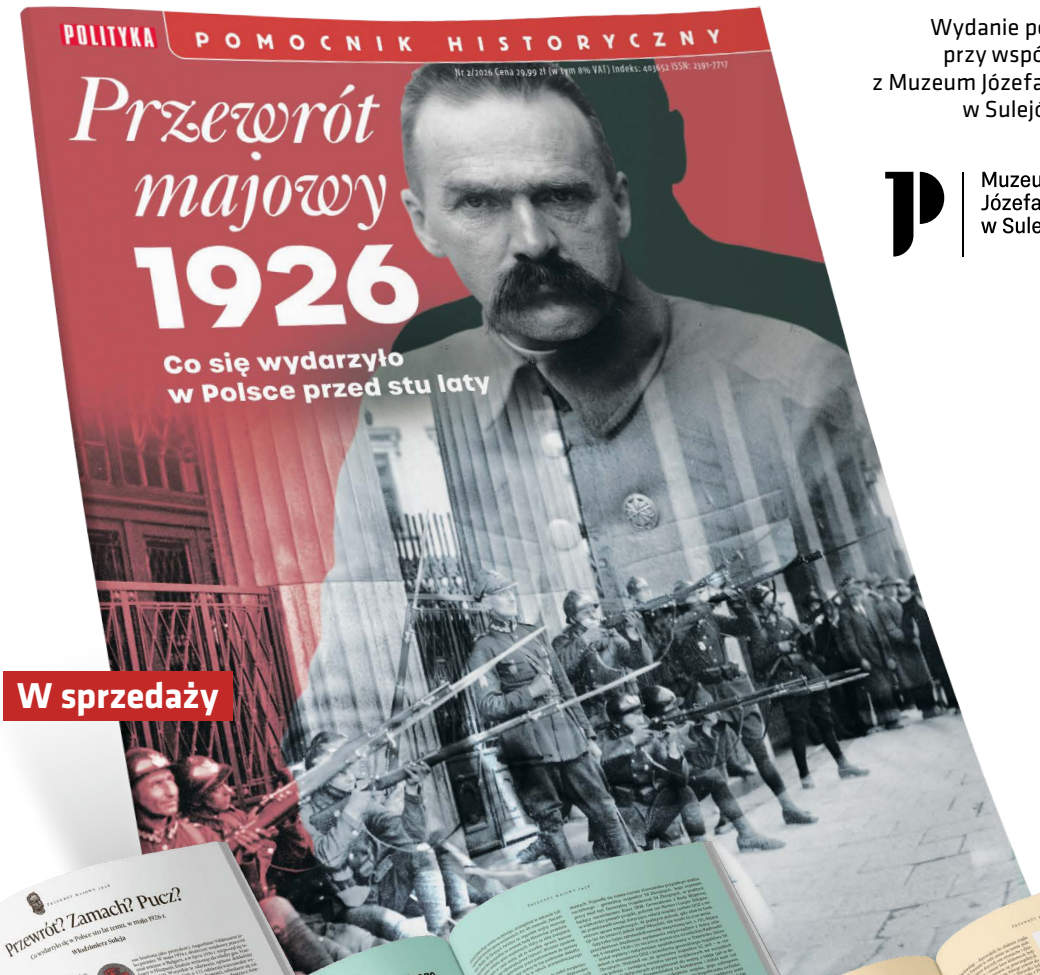

Wydanie powstało przy współpracy z Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

W sprzedaży

148 stron

KUP TERAZ

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 3c38c03389

Potworne powikłania

To historia o chorobie, która udawała obłęd. I o podróży do domu, od której zależało życie. I o tym, co czeka dalej Klaudię i jej rodzinę.

PAWEŁ WALEWSKI

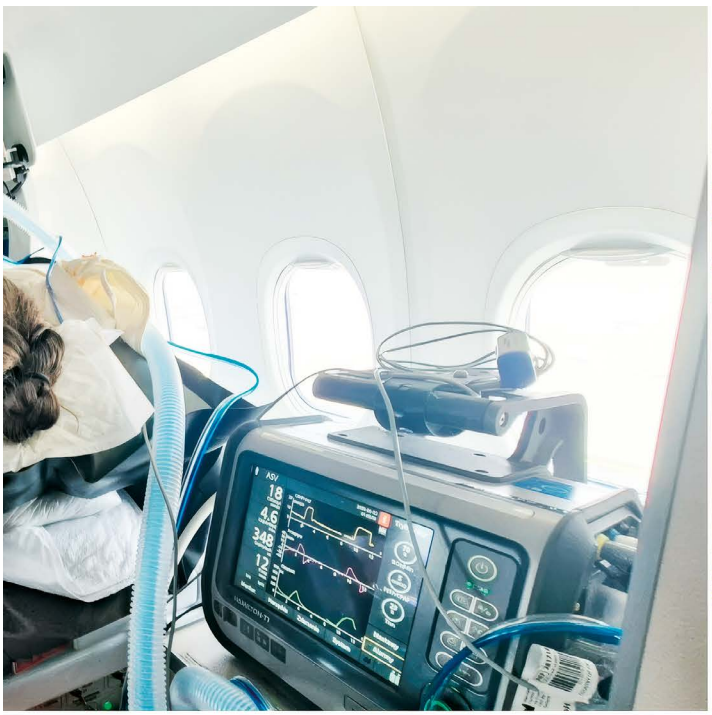

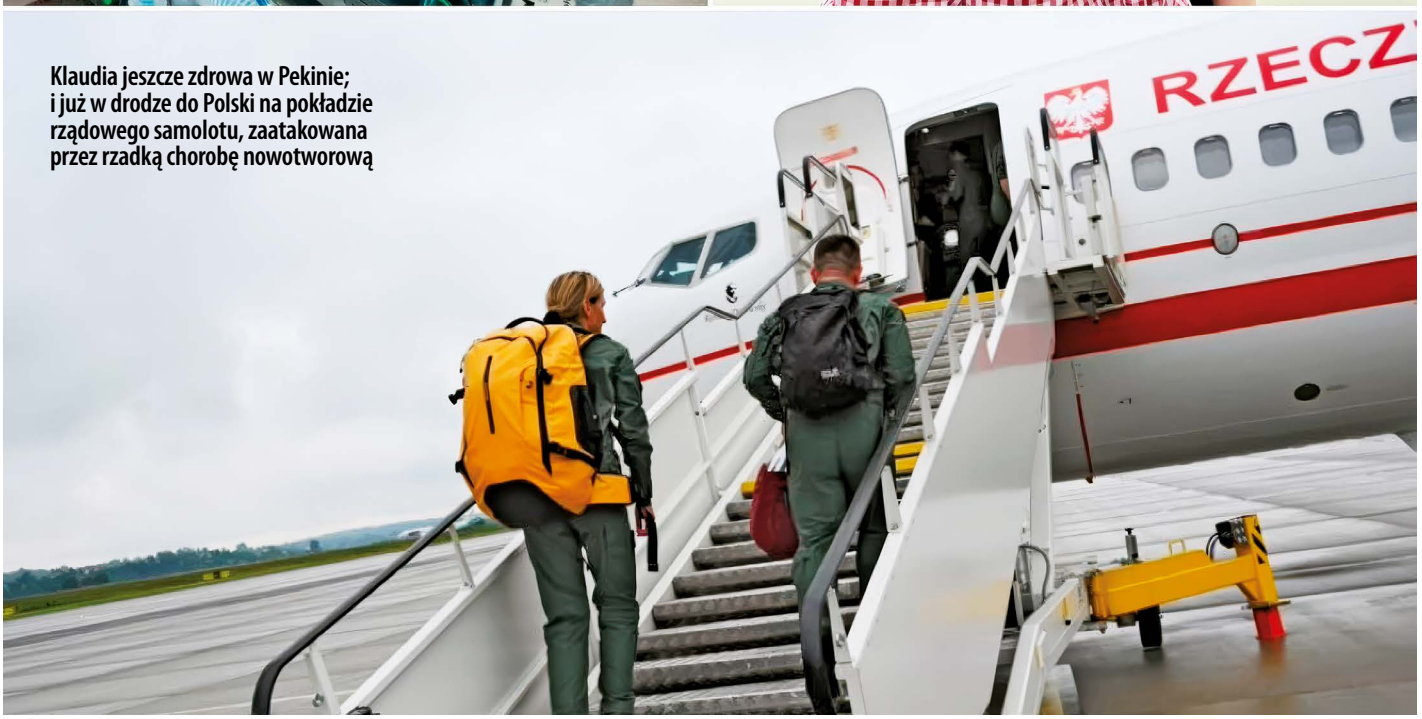

Klaudia jeszcze zdrowa w Pekinie; i już w drodze do Polski na pokładzie rządowego samolotu, zaatakowana przez rzadką chorobę nowotworową

© FACEBOOK

eprasa.pl 3c38c03389

Wczesnym popołudniem 3 czerwca na wojskowym lotnisku we Wrocławiu wylądował samolot, na którego przylot czekała cała Polska. Na pokładzie była Klaudia Uciechowska, 23-latka z Wałbrzycha, która jeszcze kilka tygodni wcześniej studiowała w Pekinie, a teraz wracała do kraju pod opieką Wojskowego Zespołu Ewakuacji Medycznej po serii dramatycznych powikłań wywołanych przez rzadki nowotwór. Jej historia żyła własnym życiem: przewijała się przez serwisy informacyjne, media społecznościowe i konferencje prasowe. Tysiące ludzi śledziły trasę rządowego samolotu lecącego z Chin.

Dla ojca Klaudii ten dzień nie miał jednak nic wspólnego z narodowym wydarzeniem. Kiedy maszyna schodziła do lądowania, Jacek Uciechowski wracał właśnie z pracy do domu w Wałbrzychu. Emerytowany strażak mówi, że po ostatnich tygodniach nauczył się jednego: w sytuacjach granicznych ktoś musi zachować zimną krew. Dlatego nie pojechał na lotnisko. Czekał na wiadomości od żony, która wracała z Pekinu tym samym samolotem. – *Wiedziałem od niej, że lot przebiega spokojnie. Klaudia przez większość czasu spała, od respiratora została odłączona na kilka godzin przed podróżą* – opowiada. Wcześniej chińscy lekarze wybudzili ją ze śpiączki. Oddychała już samodzielnie, ale nadal nie odzyskała świadomości.

W Wałbrzychu została jeszcze młodsza córka państwa Uciechowskich. 17-latka od wielu tygodni obserwuje, jak życie rodziny wyznaczają kolejne komunikaty ze szpitala oddalonego 8 tys. km od domu. Dlatego gdy pytamy ojca Klaudii, co czuł, kiedy dowiedział się, że Klaudia jest już we wrocławskim szpitalu wojskowym, nie mówi o szczęściu: – *Czuję przede wszystkim ulgę, bo jest bliżej nas, pod opieką polskich lekarzy.*

W jego głosie nie słychać triumfu. Raczej wdzięczność i ostrożność człowieka, który ma nadzieję, że historia zmierza ku szczęśliwemu zakończeniu. W takich opowieściach każda dobra wiadomość przynosi spokój tylko na chwilę.

Telefon z Pekinu

Jeszcze kilka miesięcy temu nic nie zapowiadało katastrofy. Klaudia wyjechała do Pekinu dwa lata temu. Po rozpoczęciu licencjatu z sinologii na Dolnym Śląsku postanowiła kontynuować naukę w Chinach. Dla młodej kobiety zakochanej w języku i kulturze Państwa Środka był to naturalny krok. Rodzice wspominają, że spełniała swoje marzenia. Daleko od domu, ale tam, gdzie chciała być.

W połowie kwietnia zaczęło się od objawów, które początkowo nie wyglądały na zapowiedź walki o życie. Osłabienie, gorączka, złe samopoczucie wskazywały raczej na klasyczną infekcję. Do rodziców zadzwonił opiekun zagranicznych studentów z internatu, w którym mieszkała Klaudia, kiedy z powodu pogorszenia stanu zdrowia musiał z nią jechać do szpitala. – *Dowiedzieliśmy się, że zemdlała i trafiła na izbę przyjęć* – wspomina Jacek Uciechowski. – *Potem zaczęły się rzeczy zupełnie nieprawdopodobne.*

Objawy psychotyczne, takie jak urojenia i halucynacje, pojawiły się nagle. Dziewczyna zaczęła zachowywać się nielogicznie, więc personel medyczny uznał, że może mieć do czynienia z ostrą psychozą, i skierował ją na oddział psychiatryczny. – *Natychmiast odebrano jej telefon. Straciliśmy z nią kontakt. Odcięto ją również od chłopaka, który mieszka w Pekinie* – opowiada ojciec.

Przez kolejne dni informacje docierały do rodziny fragmentarycznie, przez tłumaczy i aplikacje do automatycznych przekładów. Chińscy lekarze zażądali historii ewentualnych zaburzeń psychicznych pacjentki. Rodzice próbowali tłumaczyć, że takich problemów nie było. Dotarli nawet do psycholożki, z którą Klaudia miała kontakt jako nastolatka przed maturą. Specjalistka potwierdziła chińskim medykom, że nie widziała u niej symptomów wskazujących na chorobę psychiczną. Bez skutku. – *Cztery dni spędziła na psychiatrii* – mówi ojciec. – *A potem przestała samodzielnie oddychać.*

Dopiero wtedy rozpoczęła się gorączkowa diagnostyka. Lekarze odkryli guz jajnika – potworniaka; rzadki nowotwór, który u Klaudii wywołał wyjątkowo agresywną reakcję organizmu. Diagnozy zaczęły przyrastać jedna po drugiej: zapalenie mózgu, zapalenie płuc i otrzewnej, perforacja dwunastnicy, ropień w okolicach wątroby. To był moment na przełomie kwietnia i maja, w którym pan Jacek postanowił sprawdzić, co dzieje się z córką na miejscu: – *Poleciałem do Pekinu z jej przyjacielem. Nie mieliśmy praktycznie żadnych informacji. Wszystkiego dowiadywaliśmy się przez jej chłopaka. To on tłumaczył nam rozmowy z lekarzami, którzy nie mówili po angielsku.*

Pozwolono mu odwiedzać Klaudię trzy razy w tygodniu przez pół godziny. Resztę czasu zajmowało zdobywanie informacji, walka z procedurami i próby zrozumienia tego, co właściwie wydarzyło się w pierwszych dniach hospitalizacji. Do dziś nie zna odpowiedzi. – *Nie wiem, czy była w czterech różnych szpitalach, czy na czterech oddziałach jednego szpitala. Nikt mi tego nie wyjaśnił* – opowiada.

Za to chińscy lekarze bez mrugnięcia okiem zażądali natychmiastowego wyrównania rachunków. Klaudia została na uczelni objęta ubezpieczeniem studenckim – jej polisa opiewała na 400 tys. juanów, czyli nieco ponad 200 tys. zł, co przy rozległości leczenia i ciężkich powikłaniach szybko uległo wyczerpaniu. Wtedy rodzice postanowili jak najszybciej sprowadzić ją do Polski, by nie zwiększać kosztów. Do akcji wkroczyły media społecznościowe i portal, na którym ruszyła zbiórka pieniędzy. Joanna Uciechowska pisała w dramatycznych apelach: „Jako matka klękam dziś przed wami i proszę o pomoc. Błagam o szansę dla mojego dziecka". Wirtualna „Armia Klaudii" zmobilizowała się błyskawicznie – na koncie szybko zabezpieczono ponad 787 tys. zł, choć do pełnego pokrycia długów i przyszłej rehabilitacji brakowało drugie tyle.

Ale internetowy mechanizm współczucia zadziałał bezbłędnie – gdy historia trafiła do telewizyjnych newsów, sprawa przestała być prywatną tragedią rodziny z Wałbrzycha, a stała się testem dla rządu. W przewiezienie Klaudii do Polski zaangażowano Ministerstwo Obrony Narodowej, dyplomatów i wojskowych medyków, zdejmując z rodziny ciężar samodzielnego koordynowania całej operacji. A trzeba przyznać, że na taką odległość to nie jest rutynowa ewakuacja, lecz logistyczny tor przeszkód; zwłaszcza gdy chodzi o Chiny, gdzie obowiązują rygorystyczne procedury bezpieczeństwa, kontrole graniczne oraz restrykcyjne wymogi medyczne.

Niezwykłe objawy

Czy cała ta gehenna zaczęła się od medycznej pomyłki? Klaudia przez cztery dni leżała zamknięta na oddziale psychiatrycznym, a chińscy lekarze postawili diagnozę dopiero wtedy, gdy pacjentka zaczęła mieć problemy z oddychaniem. Przez pierwszy okres choroba rozwijała się bez właściwego leczenia, ponieważ nieswoiste objawy udawały najpierw osłabienie, a potem nagłe szaleństwo. ▶

eprasa.pl 3c38c03389

Prosto z wojskowego lotniska we Wrocławiu trafiła do tutejszego szpitala

▶Ale trudno szukać w tym pomyłki – bardziej braku intuicji wśród lekarzy, co w przypadku dość rzadkiej choroby równie dobrze może się przytrafić jej rówieśnikom w Polsce, gdyby z podobnymi objawami trafili na SOR. Bo podłożem okazał się guz, który niepostrzeżenie rozwinął się w jajniku (u chłopców może być w jądrach) – niewidoczny, zawierający w swoim wnętrzu tkanki pochodzące z innych części ciała. W tym przypadku była to tkanka nerwowa, z której zbudowany jest mózg, i stąd wynikły objawy, jakie mogą przypominać psychozę.

Nazywa się te guzy potworniakami. Łacińskie określenie *teratoma* brzmi jak wyciągnięte z mrocznych opowieści o średniowiecznych bestiach i w gruncie rzeczy tam należy szukać jego korzeni. Pochodzi od greckiego słowa *téras* (τέρας), oznaczającego potwora lub dziw natury oraz przyrostka *-oma*, rezerwowanego dla nowotworów. Gdy XIX-wieczni patolodzy po raz pierwszy rozcinali te guzy, ich oczom ukazywał się widok rodem z medycznego horroru: wewnątrz jajników znajdowali zbite kłęby ludzkich włosów, w pełni uformowane zęby, kawałki skóry, gruczoły łojowe wydzielające sebum, a nawet fragmenty tarczycy czy właśnie tkankę mózgową. Dr hab. Łukasz Koperski, doświadczony patomorfolog z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, wspominając swoje pierwsze zawodowe zetknięcie z tymi preparatami, przyznaje, że ich widok może wzbudzać zdumienie: *– To jest rzeczywiście monster, nieraz duży jak pięść postawnego mężczyzny, w dodatku wypełniony tkankami najróżniejszego pochodzenia.*

Współczesna biologia odarła potworniaka z mitycznej otoczki, choć nie pozbawiła go miana anomalii. Prof. Mariusz Bidziński, konsultant krajowy w dziedzinie ginekologii onkologicznej, uspokaja, że dojrzałe potworniaki to zmiany w ogromnej większości łagodne, stanowiące wybryk natury, na który pacjentki nie mają wpływu. *– Ze statystyki wynika, że na sto kobiet dwie mogą mieć tego typu guz. Zazwyczaj nie daje on wyraźnych objawów – ot, lekkie pobolewania w podbrzuszu – i bywa wykrywany przypadkowo podczas rutynowego USG.*

Podwójna demolka

Ale to, co lekarze w Pekinie uznali u Klaudii za nagłą chorobę psychiczną, było w rzeczywistości jeszcze bardziej rzadkim i agresywnym zespołem autoimmunologicznego zapalenia mózgu, które u nielicznych młodych kobiet ma związek z obecnością tkanki nerwowej w potworniaku. Szczegółowo opisał to schorzenie dopiero w 2007 r. hiszpański neurolog prof. Joseph Dalmau – według jego obserwacji, co potwierdza przypadek Klaudii, choroba zaczyna się od bólów głowy, gorączki lub nudności, które łatwo pomylić ze zwykłą infekcją. W ciągu kolejnych dni dochodzi jednak do dramatycznego zwrotu: pojawiają się zaburzenia zachowania, halucynacje, urojenia, a także charakterystyczne dyskinezy ustno-twarzowe (mimowolne ruchy mimiczne, przygryzanie języka). W kolejnej fazie dołączają napady padaczkowe, zaburzenia pamięci, zaburzenia rytmu serca i spowolnienie oddechu, zmuszające lekarzy do podłączenia pacjenta do aparatury podtrzymującej życie.

Mechanizm tej biologicznej dywersji jest fascynujący i przerażający zarazem, ponieważ guz rozwijający się w jajniku, jeśli zawiera tkankę nerwową, stanowi cel dla układu odpornościowego, który rozpoznaje ją jako obcą i zaczyna produkować przeciwciała. Nieszczęśliwie, idealnie pasują one do tzw. receptorów NMDA (N-metylo-D-asparaginianu) w ludzkim mózgu, które odpowiadają za plastyczność synaps, pamięć i kontrolę zachowania. Przeciwciała drastycznie zmniejszają gęstość tych receptorów, sprawiając, że mózg pacjentki zaczyna „płonąć" w procesie autoimmunologicznej autodestrukcji.

Diagnoza wymaga interdyscyplinarnego konsylium. Kluczowe jest zbadanie płynu mózgowo-rdzeniowego, gdzie przeciwciała anty-NMDA wykrywane są w 81 proc. przypadków, lub w surowicy krwi. Wtedy prawidłowa decyzja i klucz do ratunku to wykonanie USG lub tomografii komputerowej, które pozwalają zlokalizować ukrytego w jajniku potworniaka. Prof. Bidziński, analizując przypadek Klaudii, wskazuje na możliwy scenariusz dalszych wydarzeń, gdy udało się już wykryć guza: podczas operacji doszło do jego pęknięcia, co wywołało zapalenie otrzewnej. Co więcej, guz uciskający sąsiednie narządy mógł doprowadzić do przebicia jelita, czego konsekwencją stał się wykryty u dziewczyny ropień wątroby. Z kolei potężny ucisk na przeponę potrafi wywołać poważne zaburzenia oddechowe i wtórne zapalenie płuc. Potworniak Klaudii okazał się potworem podwójnym: najpierw „spalił" jej układ nerwowy za pomocą przeciwciał, a potem, poprzez powikłania chirurgiczne, zdemolował anatomię wewnętrzną.

Literatura fachowa pokazuje, że przypadek ten nie jest odosobniony, choć wciąż graniczy z medyczną rzadkością. Brytyjskie media opisywały historię 28-letniej Alice Simpson – młoda kobieta nagle zaczęła zdradzać objawy ciężkiej

eprasa.pl 3c38c03389

© FACEBOOK, KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA

psychozy, miała urojenia i ataki agresji, przez co błyskawicznie wylądowała na oddziale psychiatrycznym pod kluczem. Lekarze podejrzewali schizofrenię, podczas gdy Alice zapadła w śpiączkę na kilka miesięcy. Dopiero po badaniach neurologicznych odkryto u niej zapalenie mózgu wywołane przez potworniaka jajnika. Po wycięciu zmiany i wdrożeniu leczenia kobieta zaczęła powoli wracać do zdrowia.

Jeszcze bardziej makabryczny przypadek opisano na Dominikanie, gdzie 12-letnia Ruby-Mae trafiła do szpitala z potężnym bólem brzucha. Był tak wzdęty, że matka podejrzewała u niej nastoletnią ciążę. Skan przyniósł zupełnie inne rozwiązanie: dziecku usunięto potworniaka ważącego ponad 3,5 kg, będącego gęstą masą włosów, zębów i kości, który rósł w ciele prawdopodobnie od życia płodowego i doprowadził do pęknięcia wyrostka robaczkowego, bezpośrednio zagrażając życiu dziewczynki.

To nie horror, lecz biologia, która czasem idzie własną drogą – powiadają o takich przypadkach lekarze. Mogą się one zdarzyć w każdym zakątku świata. Globalizacja sprawiła, że miliony ludzi mieszkają tysiące kilometrów od domu i poszukiwanie pomocy medycznej może się każdemu przytrafić. Państwa nadal funkcjonują jednak według logiki granic. Ubezpieczenia mają limity, systemy zdrowotne mają budżety, rodziny mają skończone oszczędności – choroby nie respektują żadnej z tych rzeczy.

Kiedy studentka z Polski trafia do szpitala w Pekinie, pojawia się pytanie, kto jest za nią odpowiedzialny: chiński uniwersytet, ubezpieczyciel, rodzina, państwo polskie, internetowi darczyńcy? W praktyce odpowiedź brzmi: wszyscy po trochu.

Powrót to dopiero początek

I właśnie dlatego sprawa Klaudii tak poruszyła opinię publiczną. Bo wielu ludzi zobaczyło w niej własny lęk. Nie przed potworniakiem, bo te są rzadkie. Nie przed autoimmunologicznym zapaleniem mózgu, które też zdarza się stosunkowo nieczęsto. Największy niepokój budzi myśl, że człowiek może zachorować tysiące kilometrów od domu, a wtedy zaczyna się walka nie tylko z chorobą, ale również z procedurami, polisami, granicami i kosztami. – *A tego nie bierzemy zazwyczaj pod uwagę, choć udając się na drugi koniec świata, warto sprawdzić, ile kosztuje tam dzień pobytu na intensywnej terapii i transport medyczny do Polski, by porównać to z sumą wykupionej polisy* – mówi ekspert Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, wielokrotnie zaangażowany w sprowadzanie chorych Polaków z zagranicy.

Dla rodziców Klaudii najtrudniejsza część dopiero się zaczyna. Transport jest tylko epilogiem pierwszego aktu. Przed nimi miesiące leczenia, rehabilitacji i oczekiwania na odpowiedź, której dziś nie zna nikt: jaki będzie finał tej historii? Czy decyzję o zaangażowaniu całego państwowego aparatu podjęto dlatego, że sytuacja medyczna była wyjątkowa? Czy dlatego, że historia poruszyła opinię publiczną? Czy wreszcie, że chodziło o młodą studentkę, której dramat można było łatwo opowiedzieć w mediach społecznościowych? A może dlatego, że w świecie polityki współczucie bywa równie ważnym argumentem jak procedury?

To nie jest rzecz jasna żaden argument przeciwko Klaudii. To argument dotyczący państwa i gdy emocje opadną, ktoś będzie musiał określić kryteria takich decyzji. Nie po to, by odbierać komukolwiek pomoc. Przeciwnie – aby ustalić, komu i na jakich zasadach rząd powinien pomagać następnym razem. Jeżeli dziś wysyła samolot po studentkę w Pekinie, to jutro może pojawić się pytanie o budowlańca po udarze w Kuwejcie albo marynarza po wypadku w Chile. Według jakiego klucza politycy będą odróżniać jedne tragedie od drugich? To pytanie jest niewygodne właśnie dlatego, że nie ma na nie na razie dobrej odpowiedzi.

PAWEŁ WALEWSKI

REKLAMA

2023, 120 str., fr./pol./ang.

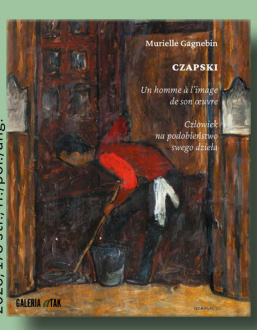

2026, 178 str., fr./pol./ang.

JÓZEF CZAPSKI
GALERIA aTAK
www.atak.art.pl

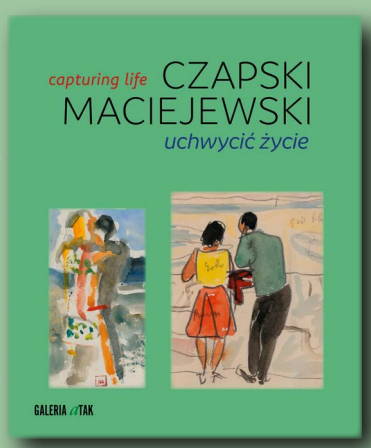

Katalog wystawy, 176 stron, pol./ang.

130. ROCZNICA URODZIN JÓZEFA CZAPSKIEGO
Galeria aTAK, Warszawa, ul. Mazowiecka 11, lok. 38,
tel.: 22 826 50 55

WYSTAWA →
Galeria aTAK, Warszawa
21 V – 26 IX 2026

eprasa.pl 3c38c03389

Bogowie naszych portfeli

Duchowość w narodzie nie ginie. Kto, jak i ile – często nieuczciwie – na tym zarabia, opowiada Monika Sobień-Górska, autorka książki „Rok, w którym szukałam sensu i ukojenia”.

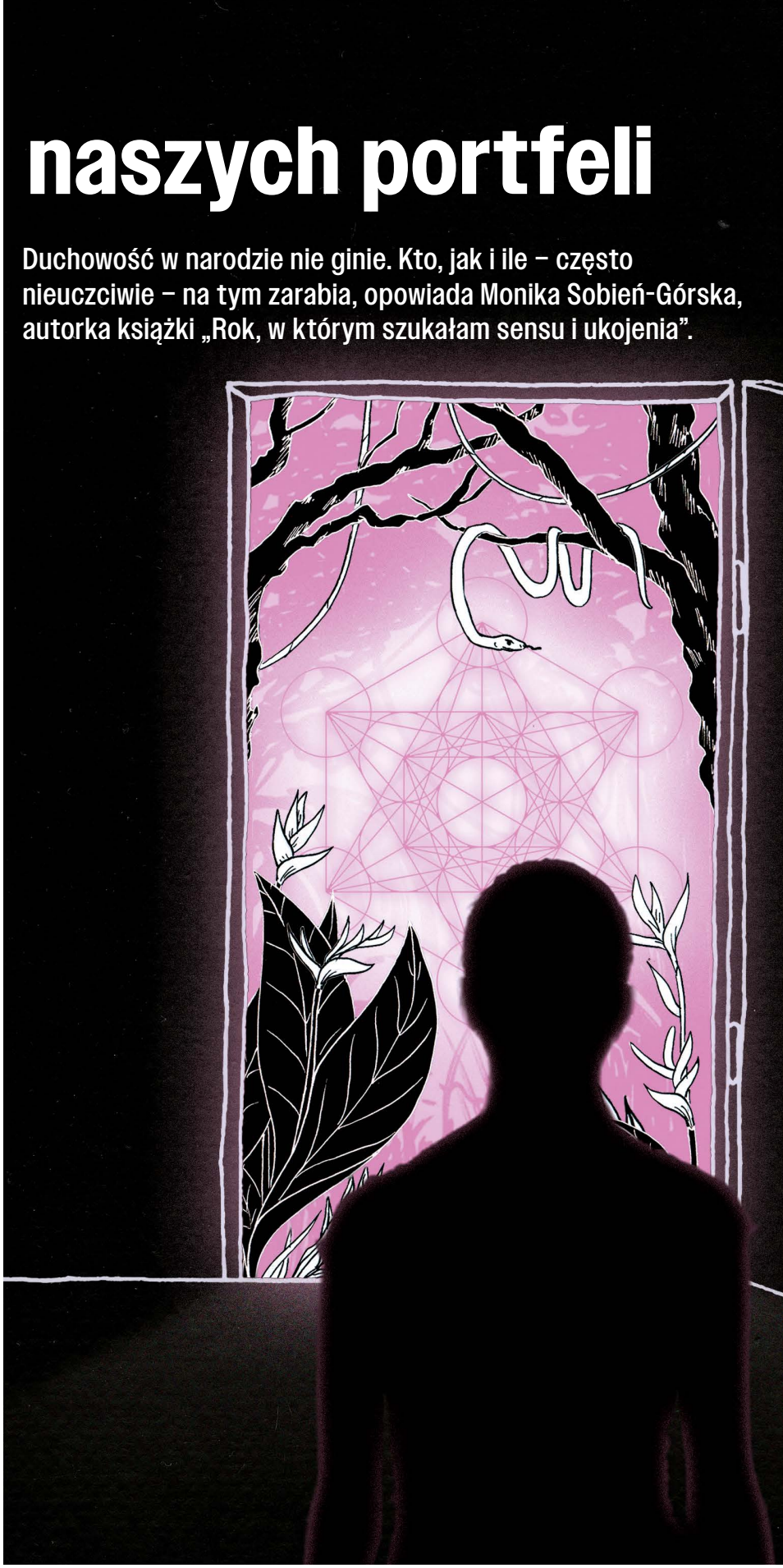

ILUSTRACJA **ADELA PODGÓRSKA**

ANNA DOBROWOLSKA: – **Wzięła pani udział w 53 ustawieniach hellingerowskich, licznych kursach duchowych, kręgach kobiet, warsztatach rozwojowych, co doprowadziło panią niemal na granicę szaleństwa. Dlaczego?**

MONIKA SOBIEŃ-GÓRSKA: – Bo poza nielicznymi przypadkami uczciwego podejścia do klienta, który przychodzi, by ulżyć sobie w cierpieniu albo – to mój przypadek – znaleźć przestrzeń do nawiązania jakiegoś kontaktu z transcendencją po odejściu z Kościoła, większość doświadcza klasycznego prania mózgu. Na jednym odosobnieniu medytacyjnym dowiedziałam się, że muszę za wszelką cenę kontrolować myśli, bo one stwarzają moją rzeczywistość. Na kolejnym – że moje życiowe porażki to wynik tego, że „za nisko wibruję”. Nie wolno mi czuć złości, zazdrości, bezradności, bo to sprowadzi na mnie nieszczęścia.

A jednak chętnych nie brakuje.

Byłam w szoku, ilu ludzi dziś korzysta z pozareligijnych praktyk duchowych, tylko się do tego nie przyznaje. Myślałam, że spotkam tam samych szaleńców, ludzi odklejonych od normalnego życia. A spotkałam wykładowców akademickich, psychologów, dziennikarzy, prezesów spółek, lekarzy, ludzi biznesu. Przedstawiając się na początku, zwykle ukrywali to, czym się zawodowo zajmują.

Wstydzili się?

Duchowość jest dziś w mainstreamie traktowana memicznie – jako coś niepoważnego, nieprzystającego do współczesnego człowieka, który powinien się kierować przede wszystkim rozumem i jakąś wykładnią naukową.

Z czym zmagają się ludzie, którzy tam trafiają?

Większość przyznaje, że cierpi na dojmującą samotność, są przebodźcowani, zmęczeni, wypaleni rodzicielstwem, stresującą pracą, straumatyzowani po trudnym dzieciństwie, nieudanych małżeństwach. To ludzie zazwyczaj po czterdziestce, już z pewnym bagażem doświadczeń. Próbują jakoś regulować sobie relacje ze starszymi już rodzicami, nie umiejąc im wybaczyć trudnych doświadczeń z przeszłości, kiedy byli ofiarami

eprasa.pl 3c38c03389

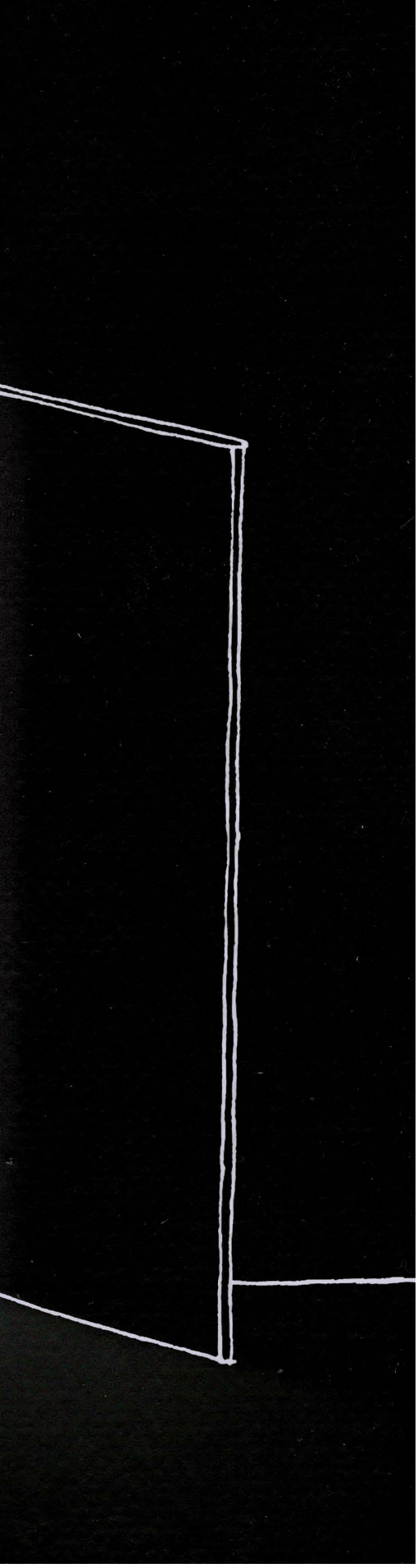

© WYDAWNICTWO ZNAK

Monika Sobień-Górska – pisarka, dziennikarka i scenarzystka filmowa. Absolwentka dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim i Szkoły Wajdy. Autorka siedmiu książek non-fiction, powieści sensacyjnej i scenariusza do filmu „Lęk" w reżyserii Sławomira Fabickiego. Stała felietonistka miesięcznika „Zwierciadło".

przemocy fizycznej i psychicznej. Wielu z nich to dorosłe dzieci alkoholików.

Na co liczą?

Na pozbycie się lęku, natrętnych myśli, problemów ze snem, znerwicowania. Na osiągnięcie tzw. stanu zen, ale też znalezienie sensu w codzienności, bo zupełnie jej nie czują. Nie wiedzą, po co żyją i co może dać im spełnienie. Druga obietnica jest równie, a może nawet bardziej, niebezpieczna, i przez nią wielu ludzi nierzadko traci majątki. To, cytuję, obietnica życia „życiem swoich marzeń". Wiąże się z poszukiwaniem sprawczości w życiu. Współczesny New Age mówi: nie jesteś grzeszny, upadły, marny. Jesteś idealny, jesteś „Bogiem swojej rzeczywistości" i możesz ją kreować według własnych potrzeb.

W Kościele na odwrót – pokora i pokuta. To dlatego ludzie szukają pocieszenia poza nim?

W pandemii Polacy odzwyczajali się od chodzenia do kościoła, a jednocześnie te potrzeby duchowo-religijne wciąż w nas są. Zaczęliśmy je więc realizować w inny sposób. W pandemii doszło do wysypu ogromnej liczby nowych coachów duchowych, którzy przy użyciu zwykłej kamery internetowej zaczęli tworzyć różnego rodzaju kursy. Część z nich poczuła, że można na tym zrobić niezły biznes. Postanowiłam dotrzeć do ludzi, którzy z mszy przeskoczyli na odosobnienia medytacyjne i pracę z czakrami. Sama jestem jedną z nich.

Zamieniła pani księdza na szamana.

Pochodzę z bardzo religijnej rodziny, więc siłą rzeczy moje potrzeby duchowe przez wiele lat realizował Kościół katolicki. I choć do samej instytucji miałam już negatywny stosunek od dawna, to kilka lat temu poczułam fałsz w głoszonych przez Kościół dogmatach. Mówiąc językiem nowej duchowości, zrozumiałam, że to już ze mną nie rezonuje.

Gdzie szukała pani alternatywy?

Oferta na rynku jest niezwykle bogata. W dużym mieście właściwie codziennie można z czegoś skorzystać – od kręgów kobiet, przez sesje medytacji, reiki, tańca intuicyjnego, warsztaty pracy z energią, kursy leczące przeróżne traumy, gwarantujące obfitość czy przepływ w życiodajnej energii, po ustawienia hellingerowskie. Można też zacząć korzystać, choć tego akurat nie robiłam, z tzw. medycyny roślin, czyli ayahuaski lub kambo, które są w Polsce nielegalne, ale łatwo dostępne.

Z pani książki wynika, że większość przekazów, jakie oferuje współczesna popduchowość, sprowadza się do „chcieć to móc".

Setki razy słyszałam: „Twoje możliwości są większe, niż podpowiada ci twój umysł, którego moc jest nieograniczona. Na każdym etapie swojego życia możesz lepiej zarabiać, zmienić pracę, otworzyć biznes, poznać idealnego mężczyznę czy kobietę, zmienić miejsce zamieszkania". I ja to rozumiem. Jesteśmy jako społeczeństwo kulturowo zmęczeni przekazem, że mamy się wyłącznie poświęcać, cierpieć, odmawiać sobie czegoś w imię Boga, ojczyzny czy innych wartości wyższych od nas samych. A na tych kursach dostajemy tyle pozytywnych wzmocnień, komplementów, po których czujemy, że to my sami jesteśmy tą najwyższą wartością i już nie musimy sobie niczego odmawiać.

Może te spotkania to dla wielu osób okazja, by się spotkać, wygadać?

Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu zrobił badanie, w którym 68 proc. ankietowanych przyznało, że cierpi na samotność, a 50 proc. – na chroniczną samotność. Dodajmy, że w Polsce sprzedaje się rocznie 20 mln opakowań leków na bezsenność, a prawie 2 mln Polaków przyjmuje regularnie psychotropy. Na kręgach kobiet dziewczyny bardzo często mówiły, że nie chcą terapii, tylko po prostu nie mają koleżanek, z którymi mogłyby omówić swoje codzienne problemy. Nawet jeśli zaczynają rozmowę na „głębsze" tematy, to słyszą: „Idź do psychoterapeuty. On ci to wszystko rozkmini. Będziesz miała profesjonalnie przeprowadzony proces. Mnie to jednak zbyt mocno obciąża". Poza tym psychoterapeuta może powiedzieć: „Proszę pani, to będzie rok pracy". A pseudocoach: „Ja ci to w jeden ▶

eprasa.pl 3c38c03389

▶ wieczór ogarnę". Obietnice szybkiej ulgi są bardzo kuszące.

Zamierzała pani pokazać w książce machinę głupoty i szarlatanerii. Przyjrzawszy się jednak temu z bliska, zobaczyła więcej szarości niż kontrastów.

Niektóre duchowe narzędzia okazały się w moim przypadku skuteczne. W książce dokładnie opisuję ten intymny proces, który się we mnie zadział przez rok dokumentacji.

Co zmieniło się w pani życiu dzięki tym praktykom?

Dzięki medytacji nauczyłam się dystansować do własnych myśli, przestałam się z nimi identyfikować, poczułam też coś w rodzaju jedności ze światem i z ludźmi. To sprawiło, że mam więcej cierpliwości, mniej krytykuję siebie i innych, zrzuciłam też sobie z pleców imperatyw kontroli wszystkiego. Zyskałam większy luz. Pomogła mi też praca z ciałem, z oddechem, a przede wszystkim – z negatywnymi przekonaniami na temat siebie i świata.

Czyli jednak stała się pani „boginią swego życia".

Dużo bardziej uwierzyłam w swoje możliwości, stałam się też bardziej sprawcza. Wcześniej wiele rzeczy wstydziłam się robić, a teraz nie boję się, próbuję i mam namacalne efekty tych działań.

Nie wolała pani skorzystać z psychoterapii?

Próbowałam. Moja psychoterapia w nurcie systemowym trwała prawie rok, prowadzona była przez certyfikowaną specjalistkę. Pomogła mi zauważyć i nazwać szkodliwe mechanizmy, które kierowały moimi relacjami z bliskimi. Tylko że to było trochę jak analiza projektu w korporacji. Rozumiałam, co robię i dlaczego, ale cały czas wypierałam emocje, które za tym stały. Dziwnie się z tym czuję, ale muszę przyznać, że medytacje i praca z ciałem mi pomogły. Uzdrawiające było dla mnie też samo pogodzenie się z tym, że mam potrzeby duchowe, bo wcześniej się ich wstydziłam. Myślałam o sobie jako o kimś oświeconym, wykształconym.

Skoro coś w tym pani znalazła, to skąd ten negatywny wizerunek „nowej duchowości"?

Bo bardzo trudno oddzielić ziarno od plew. Często zabierają się do tego ludzie bez choćby podstawowego przygotowania psychologicznego. Uczestniczyłam w kursach u kobiet, które wcześniej były kosmetyczkami, manikiurzystkami, handlowczyniami. Kilka dni temu miałam wywiad w radiu i prowadząca wspominała, jak dwa dni wcześniej taksówkarka jej powiedziała, że rzuca tę robotę, bo była na superkursie i teraz będzie uczyć kobiety aktywowania swojego potencjału poprzez pracę z energią. Zakupiła też dwa bębny i będzie trochę po szamańsku bębnić, chociaż o szamanizmie nie ma pojęcia.

Problemem nie są stracone pieniądze, lecz realne krzywdy, jakie tacy ludzie wyrządzają.

Nauczyciel zawsze stawia się wyżej od ucznia, bo to on posiada wiedzę. Moja rada jest taka: jeżeli ktoś mówi, że tylko u niego znajdziecie rozwiązanie swoich problemów, uciekajcie od razu. Albo gdy mówi, że ma rozwiązanie na każdy problem, czy to depresja, pieniądze, trądzik, czy relacje... Kolejna lampka ostrzegawcza to bełkot udający głębię. Jeżeli nie jesteśmy w stanie powtórzyć tego własnymi słowami i uchwycić sensu, polecam nie iść w to.

Bywają również przekroczenia fundamentalne.

Na ustawieniach można np. usłyszeć: „Jako roczne dziecko padłeś/padłaś ofiarą gwałtu". To jest rzucanie takich współczesnych klątw, bo nie ma żadnej możliwości weryfikacji. Zostajemy z informacją, która może nas straumatyzować, ale słyszymy, że to przyczyna naszych wszystkich życiowych problemów. I że można z takim duchowym nauczycielem popracować i on od tego uwolni.

Na kręgach kobiety często opowiadają o tematach niezwykle trudnych: przemocy, molestowaniu. Czy takie zdarzenia nie powinny zostać zgłoszone choćby na policję?

Tam działa całkowite prawo dyskrecji, więc niczego nie można wynosić na zewnątrz. Jeśli kobieta mówi, że mąż znęca się nad nią i nad jej dzieckiem, to nie można iść z tym na policję, bo złamie się zasady kręgu i więcej nie będzie można do niego przyjść. Więc wracamy do domu z takim obciążeniem: ktoś jest bity, ale nic nie możemy z tym zrobić.

W świetle statystyk rynek „nowej duchowości" to biznes przez wielkie B.

W raporcie Allied Market Research z 2021 r. podano, że wartość polskiego rynku ezoterycznego to 2,5 mld zł. Do tego dochodzi rynek medytacji i *mental wellness*, czyli dobrego samopoczucia. Nie ma na razie konkretnych danych z tego obszaru w Polsce. Myślę, że trudno to zbadać choćby z tego powodu, że wielu nauczycieli duchowych działa w szarej strefie. Za to w zeszłym roku firma Data Bridge Market Research oszacowała, że do 2032 r. rynek medytacji globalnie będzie wart 34 mld dol., teraz jest wart 10 mld dol. Według Global Wellness Institute światowy rynek ćwiczeń uważności to już 120 mld dol. i cały czas rośnie.

Bogacą się również ci, którzy te praktyki prowadzą. Aż trudno uwierzyć, że ludzie za to płacą...

Jedna z bohaterek mojej książki (występuje pod zmienionym imieniem, bo pełni wysoką funkcję publiczną i boi się wyśmiania i niezrozumienia) przez rok pracy z duchowymi coachami, Klaudią Pingot i Łukaszem Jakóbiakiem, wydała 24 tys. zł. Chwali sobie pracę z nimi, uważa, że pomogli jej wyjść z depresji. Ja przerobiłam kilka bestsellerowych kursów Klaudii Pingot, m.in., „Quantum Intencji" – naukę medytacji i realizacji celów poprzez ćwiczenie świadomych myśli. To kurs online, uczestniczyło w nim prawie 3 tys. osób. Kosztował niecałe 500 zł. Wychodzi z tego 1,5 mln zł przychodu. Z panią, która oferuje konsultacje z nurtu tzw. totalnej biologii, trudno się umówić nawet na telefoniczną konsultację. Bierze za nią 700 zł, a na kursie online zarobiła prawie milion. Kupiła za to mieszkanie w Warszawie.

Ale spotkała pani chyba jakichś uczciwych nauczycieli?

Tak, kilkoro, np. Sylwię Sikorską i Honoratę Lubiszewską z popularnego podkastu „Wysokie wibracje". Albo Natalię Rycko od praktyk szamańskich. Nie ma tu obiecywania gruszek na wierzbie ani gwarancji uzdrowienia. Robią warsztaty, podczas których człowiek może swobodnie mówić o swoich potrzebach duchowych i je spełniać, nie kompromitując rozumu.

Ostatnio modna jest biologia totalna. Kolejna kompromitacja rozumu?

To nurt odrzucany przez naukę, ale coraz popularniejszy w Polsce. Według niego choroby są wynikiem niewyrażonych emocji i wewnętrznych konfliktów, zwłaszcza rodowych. Jeśli np. dziecko wymiotuje, może oznaczać to jakiś problem między rodzicami na tle seksualnym. A nowotwór może być wywołany konfliktem emocjonalnym z matką. Polskich facebookowych grup poświęconych tej „metodzie" jest ponad 60 i gromadzą blisko 500 tys. uczestników. Jak widać, Polacy mają wielkie potrzeby duchowe, a prowadzący – niemniejsze potrzeby finansowe.

ROZMAWIAŁA ANNA DOBROWOLSKA

eprasa.pl 3c38c03389

© JAKUB OCIEPA/AGENCJA WYBORCZA.PL

Życie na gorąco

VIOLETTA KRASNOWSKA

Filmik z Adamem Gesslerem, który w eleganckim apartamencie z widokiem na Warszawę gotował dla Janusza Palikota borowiki na maśle, podniósł wielu ludziom ciśnienie. Ktoś napisał złośliwie: „Nie wiem który jest bardziej zadłużony, ale widać powodzi się". Jak to możliwe?

Adam Gessler spytany, dlaczego wziął udział w filmiku Palikota, który przypomniał przy okazji sprawę jego niezapłaconych długów, wzrusza ramionami. – *Poprosił mnie o to, a że jest moim sąsiadem, to się zgodziłem* – mówi.

Janusz Palikot (jak ustalił goniec.pl) mieszka obecnie w luksusowym apartamentowcu Cosmopolitan w centrum Warszawy, gdzie koszt wynajmu oscyluje między 20 a 30 tys. zł miesięcznie. Nagrywa tam filmiki do swojego nowo utworzonego kanału internetowego. Można go też spotkać przechadzającego się między stoiskami w pobliskiej Hali Mirowskiej. Za apartament ma płacić tajemniczy sponsor, bo Palikot – jak sam twierdzi – jest bezdomny. Gdzie zaś i na jakich zasadach mieszka Adam Gessler, nie wiadomo, bo też formalnie nic nie ma – żadnego majątku, który można by zająć na poczet długów. Jak podaje warszawski ratusz, jego zadłużenie wobec miasta wynosi obecnie ponad 29,6 mln zł. Z czego większość to same odsetki – ponad 21,5 mln zł z należności głównej, wynoszącej nieco ponad 8 mln zł. Dług jest przede wszystkim wynikiem niepłacenia czynszu za restaurację na Rynku Starego Miasta. Rósł przez 13 lat – od 1994 r., kiedy miasto wypowiedziało Gesslerowi umowę, do 2007 r., kiedy wreszcie skutecznie go stamtąd usunęło. W tej kwocie jest także 6 mln zł zasądzonych mu kosztów sądowych i procesów, które wytaczało mu miasto za nieopłacony czynsz.

Za minimalne wynagrodzenie

Jak można żyć z pukającymi do drzwi komornikami „na plecach"? – *Nie mam domu, więc mi nie pukają* – ucina. – *Miałem dom, to mi go zabrali i sprzedali* – dodaje z pretensją. No to, jak można żyć ▶

eprasa.pl 3c38c03389

▶ z komornikiem pukającym do drzwi restauracji? – *Ja nie mam restauracji* – ripostuje Gessler. A restauracja z jego nazwiskiem w nazwie „Gessler i Landa przy Próżnej"? Mieści się w centrum Warszawy, a Gessler codziennie promuje ją w mediach społecznościowych, zachwalając w swoim stylu dania dnia. – *No nie, właścicielem restauracji jest firma, dla której pracuję od rana do wieczora. Pensję, nadwyżkę ponad najniższą krajową, którą muszą mi zostawić, dostaje oczywiście komornik.*

Firma, która prowadzi tę restaurację, nazywa się Gessland sp. z o.o. i należy do Adama Gesslera oraz jego wspólnika Tadeusza Landy.

Jak wygląda ściąganie długu od Adama Gesslera, opisuje Anna Łobko, rzeczniczka dzielnicy Warszawa-Śródmieście (główny wierzyciel restauratora). W 2018 r. komornik sprzedał na licytacji dom po jego ojcu na Placu Słonecznym w Warszawie, uzyskując 4 mln zł – z czego tylko milion trafił do miasta; reszta do innych wierzycieli, których nie brakowało. Potem, w 2020 r., do dzielnicy wpłynęło prawie 41 tys. zł jako część egzekucji skarbówki dotyczącej VAT-u. I na tym się w sumie skończyło.

– *Komornik nie ustalił majątku dłużnika w restauracji „Wódka Gessler na Widelcu", którą prowadził przy Placu Trzech Krzyży, ani w sklepie Deli2 przy Wilczej, gdzie sprzedawał m.in. produkty ze swojej kuchni. Bezskuteczne okazało się też zajęcie wynagrodzenia za pracę w jednym z lokali, ponieważ Gessler był tam zatrudniony w niepełnym wymiarze czasu pracy z wynagrodzeniem minimalnym* – wymienia Anna Łobko. Podaje też, że komornik zajął wierzytelności z tytułu pełnienia przez Gesslera funkcji prezesa w licznych spółkach, ale nie wpływają z tego żadne kwoty; nie ma w nich już ani majątku, ani dochodów.

Na wstępie areszt

Przedsięwzięcia Adama Gesslera od samego początku mają ten sam rys: brawura, bezpardonowe łamanie prawa w biały dzień, na oczach bezradnego wobec niego państwa. W Warszawie, Krakowie i innych miastach.

Trudno uwierzyć, ale ten kucharz celebryta ze znanej rodziny restauratorów (ze słynną w branży jego szwagierką Magdą Gessler) zaczynał jako handlarz silnikami Diesla. Oglądał to z bliska Adam Grzeszak, dziennikarz POLITYKI.

– *Był 1984 lub 1985 rok. W „Życiu Warszawy" pojawiły się ogłoszenia o możliwości zakupu silnika Diesla, który można będzie montować w naszych krajowych autach. Wtedy na benzynę obowiązywały kartki, a jak ktoś miał Diesla, był królem, bo mógł jeździć bez ograniczeń. Chętnych było bardzo dużo* – wspomina Grzeszak. Poszedł do pokoju w hotelu Polonia, gdzie mieściło się biuro firmy. Tam poznał Gesslera. – *Miał rzeczywiście niezwykłe zdolności, był bardzo sugestywny, gestykulował w ten swój charakterystyczny sposób, wpatrywał się w rozmówcę przeszywającym wzrokiem, wręcz na granicy hipnozy* – opowiada nasz redakcyjny kolega. Sprawa skończyła się w prokuraturze, bo ludzie nie dostali tego, za co zapłacili, a Adam Gessler trafił na dwa miesiące do aresztu. Miał go z niego ponoć wyciągnąć ojciec, cukiernik, ale też działacz Stronnictwa Demokratycznego i poseł na Sejm PRL (w latach 1985–89).

– *Ponownie się objawił na początku lat 90., już jako mistrz kuchni. W telewizji zobaczyłem go w programie „Jak zostać milionerem" w nowych warunkach kapitalistycznych. Mówił, że to łatwa droga, po prostu trzeba kupić parę kilo kiełbasy, grill i ustawić się przy trasie Warszawa–Katowice. Po jakimś czasie zarobi się tyle, że można kupić jeszcze więcej kiełbasy, wynająć ludzi i tak dalej* – dodaje Grzeszak.

Sam Gessler wybrał znacznie krótszą drogę. I nie oglądając się na nic, bez pardonu usuwał każdą przeszkodę na swojej drodze do biznesowego celu.

Znikające obrazy

Stanął do miejskiego przetargu na lokal przy Rynku Starego Miasta i go wygrał. W umowie zapisano, że na parterze ma pozostać galeria Katarzyny Napiórkowskiej, którą prowadziła tu od 1988 r. Potem powstał aneks, bardziej ogólnikowy, że w tym miejscu powinna być prowadzona działalność promująca sztukę. Gdy rankiem 2 grudnia 1991 r. marszandka przyszła do swojej galerii, zastała wyłamane kłódki; w środku nie było ani dzieł, ani dokumentów.

– *Ludzie na Rynku mamie powiedzieli, że Adam Gessler zabrał wszystkie obrazy, rzeźby, wszystkie sprzęty, wszystko zabrał i wyniósł gdzieś. Nie chcemy nawet występować obok nazwiska Gessler* – mówi córka Katarzyny Napiórkowskiej i nagle ucina temat, bo dla rodziny ta historia i to co było z nią dalej to do dziś zbyt duża trauma. Nie chcą do tego wracać.

Adam Gessler prowadził wtedy lokal na piętrze. Wkrótce sam to potwierdził. Przyniósł nawet na komisariat przy Jezuickiej wideo z całej operacji, na której widać, jak pod jego komendą w nocy piłowano kłódki i zabierano z galerii obrazy, biżuterię (w sumie ponad 300 obiektów), a z biurka dokumenty. Wartość zrabowanego mienia Napiórkowska wyceniła na ówczesne 30 mld zł, czyli obecne 3 mln zł. Było tam m.in. osiem obrazów Antoniego Fałata, płótna prof. Tadeusza Dominika, prof. ASP Eugeniusza Markowskiego, a także Hanny Bakuły i wielu innych artystów.

Sąd dość szybko wydał nakaz zwrócenia wszystkich rzeczy i zawieszenia zdjętego szyldu galerii. Ale przez obstrukcję, którą uprawiał Gessler, trwało to latami. W tym czasie w miejscu galerii prowadził restaurację, serwując jadłospis „mazowieckiej szlachty, robotników z Pragi i Mokotowa, żydowskich kupców oraz polskiej arystokracji". Ostatecznie Napiórkowska została do swojej dawnej galerii wprowadzona na żądanie sądu przy pomocy komornika w 2001 r. Komornik spytał obecnego przy tej czynności pełnomocnika Gesslera o zbiory galerii. Zapisano jego oświadczenie: „Zostały przez Adama Gesslera zabezpieczone i zdeponowane w należyty sposób". Komornik zanotował, że pełnomocnik nie wyjawił mu, pod jakim adresem Gessler te rzeczy przetrzymuje. Nie chciał jednak zająć się szukaniem obrazów; napisał do sądu, że to nie jego praca i nie ma pełnego opisu zaginionych dzieł.

Po obrazach, które wyniósł Gessler, słuch zaginął. Napiórkowska złożyła zawiadomienie o przestępstwie, domagając się ścigania sprawcy. Ale prokuratura najpierw umorzyła śledztwo z powodu niezaistnienia przestępstwa. Bo żeby doszło do przywłaszczenia – argumentowała – musi być chęć zatrzymania rzeczy dla siebie, żeby powiększyć własny majątek. Tymczasem Gessler dał ogłoszenie w gazecie, żeby przychodzić do jego restauracji po odbiór dzieł. Tyle że, gdy ktoś z artystów przychodził, by odzyskać swoje prace, to albo nie było kluczy do magazynku przy restauracji, albo nikogo, kto by drzwi owego magazynku otworzył. Raz jeden artysta się tam dostał. Widział stojące pod ścianą niezabezpieczone obrazy i poniszczone grafiki. Napiórkowska zaskarżyła umorzenie, a sąd stwierdził, że to nie żadne przywłaszczenie, tylko zwykła kradzież. I nakazał przeprowadzić śledztwo.

Pierwsza żona Gesslera podczas przesłuchania zeznała, że obrazy wyjechały

eprasa.pl 3c38c03389

Filmik Janusza Palikota z Adamem Gesslerem wywołał oburzenie w sieci

z Polski. Pracownicy restauracji ani odwiedzający dom Gesslera nigdy ich nie widzieli. Ale też – jak ustalono – nigdy nie pojawiły się w obrocie. Sam Adam Gessler najpierw odmówił zeznań, a przesłuchany ponownie po latach, w 2020 r. – znowu z nakazu sądu – odparł, że to działo się tak dawno, że nic z tamtych zdarzeń nie pamięta. „Nie mam pojęcia, co się stało z tymi obrazami i gdzie one się znajdują. Gdy się wyprowadzaliśmy, wszystkie rzeczy zostały przewiezione do różnych magazynów. Ja się tymi rzeczami nie interesowałem" – mówił. Prokuratura ponownie umorzyła śledztwo, tym razem z powodu przedawnienia karalności czynu. Sąd nakazał jednak je prowadzić i szukać obrazów. Ostatecznie w 2023 r. prokuratura definitywnie umorzyła śledztwo, argumentując, że wykorzystano wszystkie środki, by dzieła odnaleźć, i podtrzymując, że doszło do przedawnienia.

Zbijanie gotyku

Z restauracją Gesslera przy Rynku Starego Miasta wiąże się też inna kryminalno-artystyczna afera. I nawet nie chodzi tu o pianino wypożyczone z Filharmonii Narodowej w Bydgoszczy dla umilenia pobytu gości, za które nie chciał płacić. Bo w końcu, już w trakcie procesu, zapłacił. Adam Gessler, by rozbudować lokal, wykorzystując także piwnice, naruszył konstrukcję kamienicy, wpisaną wraz z całym Zespołem Staromiejskim do rejestru zabytków oraz na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Gdy w 1994 r. weszli tam urzędnicy wraz ze służbami konserwatorskimi i strażą miejską, zobaczyli robotników z młotami pneumatycznymi, wyburzających ściany, nakłuwających tynk, demontujących fragmenty budynku. Zburzono część ścian działowych i wykuto w nich otwory na instalację grzewczą i elektryczną. Zdjęto posadzkę kamienną i drewnianą, a nową ułożono częściowo z kamienia polnego – Gessler chciał, by miejsce kojarzyło się z wiejską karczmą. Kontrola stwierdziła również, że części opaski okalającej otwór wejściowy zostały zdemontowane, skuto tynki w jej otoczeniu. Konserwator uznał to za naruszenie tzw. substancji zabytkowej. Potwierdzili to biegli, a za nimi sąd. Kamienica Rynek Starego Miasta nr 21 posiada autentyczne gotyckie piwnice. Gotyckie elementy elewacji frontowej, w tym opaska i portal, także są autentyczne.

Adam Gessler przyznał, że miał świadomość, iż na jakiekolwiek działania w tym budynku potrzebna jest zgoda konserwatora, ale tłumaczył, że uzyskanie jej trwałoby zbyt długo. Wszystko nazwał „drobnymi pracami scenariuszowo-aranżacyjnymi". Mimo nakazu przerwania prac kontynuował je. W sądzie nie przyznał się do zarzucanych mu czynów i odmówił składania wyjaśnień. Biegli powołani przez sąd stwierdzili, że działania Gesslera doprowadziły do zniszczenia i uszkodzenia zabytkowych piwnic.

Do tej sprawy dołożono jeszcze zarzut niepłacenia podatków w latach 1991–93 przez Gessler sp. z o.o., która prowadziła wówczas restaurację, a Adam Gessler był prezesem jej zarządu. Nie odprowadzał nawet podatków od wynagrodzeń, co spowodowało uszczuplenie dochodów Skarbu Państwa o 1,5 mln zł. Nie odprowadzał, bo spółka nie miała środków – odpowiadał. Mówił, że inwestował w rozwój restauracji, choć miał świadomość konieczności zapłaty.

W wyroku z 2005 r. sąd uznał go za winnego tego, że wiedząc o zabytkowym charakterze budynku, jego historycznej i artystycznej wartości oraz o zakazie dokonywania wszelkich zmian konstrukcyjnych i budowlanych, podjął takowe, powodując uszkodzenie obiektu wpisanego na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Sąd stwierdził też, że: „Adam Gessler wykazał daleko lekceważący stosunek do otoczenia i obowiązującego porządku prawnego. Jego zachowanie cechuje brak poszanowania dla ogólnie przyjętych norm postępowania, konsekwencja i upór w dążeniu do celu". Z drugiej strony zauważył, że Gessler nie był karany, prowadził ustabilizowany tryb życia, pracował zawodowo, wychowywał dzieci. Orzekł więc rok pozbawienia wolności jako karę adekwatną do stopnia winy, społecznej szkodliwości, odpowiadającą poczuciu sprawiedliwości i spełniającą cele wychowawcze. Jej wykonanie zawiesił na trzy lata próby.

Adam Gessler miał do zapłacenia grzywnę w wysokości 8 tys. zł na Muzeum Narodowe oraz koszty sądowe (25 tys. zł). Wystąpił o zmniejszenie tej kwoty, tłumacząc się pogorszeniem sytuacji finansowej. „Obecnie – pisał w 2015 r. – moim jedynym dochodem jest wynagrodzenie z umowy o pracę w minimalnej wysokości, tj. 1350 zł". Sąd zmniejszył koszty do 14 tys. – płatne po tysiąc złotych miesięcznie.

Gessler i tego nie płacił. W aktach pojawiają się adnotacje: „Wezwać przez Policję do zapłaty zaległej raty w terminie 3 dni". Komornik wysłany przez sąd stwierdził: „Wierzyciel nie wskazał mienia, z którego może być prowadzona egzekucja. Prowadzone postępowanie nie doprowadziło do wyjawienia majątku, wszelka korespondencja kierowana na adres wskazany we wniosku powraca nieodebrana. Nie zdołano ustalić aktualnego pobytu dłużnika". Komornik pisał, że dłużnik nie posiada pojazdów, nie figuruje w bazie jako właściciel czy użytkownik wieczysty nieruchomości, Urząd Skarbowy nie odnotował powiązań z działalnością gospodarczą, nie było śladu nabytych praw majątkowych, nie odnotowano rachunków bankowych, a udziały w domu przy Placu Słonecznym nie stanowią już własności dłużnika. Egzekucja okazała się bezskuteczna.

Dopiero gdy sąd wspomniał o możliwości wykonania zawieszonej kary pozbawienia wolności, jeśli skazany uchyla się od uiszczenia grzywny – należność została spłacona. Z wpłat wynika, że Gesslerowi pomogli inni ludzie. Tak jak bezdomnemu Palikotowi.

VIOLETTA KRASNOWSKA

© YOUTUBE

eprasa.pl 3c38c03389

Nadlatują Husarze

Już w piątek Polska oficjalnie powita swoją najpotężniejszą broń F-35. To nie tyle samolot, ile uskrzydlony i uzbrojony superkomputer. I całkiem niedrogi – 80 mln dol. za sztukę.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Pierwsze F-35 są już w Polsce. Na razie ledwie trzy z 32 zamówionych w 2020 r., ale i tak symbolizują najgłębszą od dekad modernizację lotnictwa. Tak jak ponad 20 lat temu myśliwce F-16 wciągnęły Polskę do wojskowego Zachodu, tak teraz F-35 mają nas poprowadzić ku przyszłości pola walki.

Choć ten samolot w pierwotnym zamyśle miał uderzać, jego najważniejszą bronią wcale nie są bomby, pociski i rakiety, a informacja – zbierana, przekazywana i obrabiana w trakcie powietrznej misji. Dlatego politycy mówią o F-35 jak o „latającym centrum dowodzenia" czy „powietrznym komputerze.

Dzięki nazwie Husarz, wybranej w internetowym konkursie Sztabu Generalnego, legendarna polska husaria zyska nowe skrzydła, a samoloty F-35 prawdopodobnie zakorzenią się w polskiej tradycji wojskowej głębiej niż F-16, czyli Jastrzębie, nazwane tak przez pierwszą damę Marię Kaczyńską w 2006 r. Jeśli udział małżonki prezydenta w przyjmowaniu nowych samolotów bojowych miałby stać się tradycją, to uroczystych „chrzcin" przez Martę Nawrocką należy oczekiwać 12 czerwca na planowanym oficjalnym powitaniu państwowym.

Odległe marzenia

Na początku Husarz był Harpią. Pod takim kodem Polska niespiesznie rozglądała się nie tyle za następcami F-16, ile za uzupełnieniem posiadanej floty bojowej. Marzeniem polskich lotników jest 10 eskadr samolotów wielozadaniowych, czyli w sumie 160 maszyn. Mamy dziś tych eskadr cztery i pół: trzy na F-16, jedną na wychodzących z użycia MiG-29, i jedną niepełną na samolotach FA-50, które wielozadaniowe nie są. Ubiegłoroczna katastrofa F-16 w Radomiu uszczupliła liczbę F-16 do 47 maszyn, więc mamy w służbie 73 samoloty, o ile wszystkie są sprawne. Do spełnienia marzeń brakuje więc drugie tyle.

Pierwsze trzy F-35 są już w kraju. Do końca roku pojawi się ich kilkanaście, a więc w sumie kolejna niepełna eskadra. To i tak duże tempo dostaw – dziś na F-35 trzeba byłoby czekać dłużej, bo światowa kolejka się wydłużyła. A nieuchronne wycofanie MiG-ów mogłoby tworzyć ryzyko, że zanim lotnictwo stanie się większe i nowocześniejsze, przez chwilę będzie nieco słabsze.

Plan jest taki, by pierwsze F-35 osiągnęły wstępną gotowość bojową za nieco ponad rok, jesienią 2027 r. – *Chcielibyśmy w pierwszej kolejności certyfikować je do misji powietrze–powietrze i jak najszybciej wprowadzić do dyżurów bojowych. Pełna gotowość będzie musiała poczekać jakieś dwa lata na wyszkolenie wszystkich pilotów, przyjęcie wszystkich maszyn i pozyskanie pełnego uzbrojenia* – mówi gen. dyw. pil. Ireneusz Nowak, do niedawna inspektor sił powietrznych, a od 2 czerwca dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych.

To w tej roli Nowak będzie wysyłał myśliwce z zadaniem przechwycenia zbliżających się do granic Polski rosyjskich samolotów lub dronów. – *Trzeba jak najszybciej odciążyć system, bo w tej chwili dyżury bojowe pełnią praktycznie wszystkie bazy* – tłumaczy gen. Nowak, który pod koniec maja sprowadził F-35 do macierzystej bazy

eprasa.pl 3c38c03389

w Łasku. Wcześniej Nowak brał udział w sprowadzeniu do Polski koreańskich FA-50, a także zaplanował modernizację już 20-letnich F-16.

Dużo widzi, dużo myśli

Gdy F-35 wejdą na dobre do służby, Polska uzyska narzędzie obronne i ofensywne, jakiego do tej pory nie miała. F-35 to dziś najnowocześniejszy samolot po natowskiej stronie lotniczych zbrojeń. Maszyna oferująca zweryfikowane bojowo, unikatowe możliwości. Chodzi głównie o zdolność do skrytej ingerencji w terytorium przeciwnika, którą zawdzięcza swojej specyficznej budowie, zaawansowanym czujnikom na pokładzie oraz wpięciu każdego samolotu w sieć wymiany danych – od satelitów na orbicie, przez drony i śmigłowce w powietrzu, po czołgi i zwiadowców na lądzie.

F-35 nie ustanawia wcale rekordów dynamicznych – mimo że ma najmocniejszy silnik w historii myśliwców, nie lata ani szybciej, ani wyżej od F-16. Dużo więcej jednak „widzi" i dużo szybciej „myśli". A jego pilot dużo mniej zajmuje się „lataniem", za to bardziej może się skupić na zarządzaniu misją. Otwarcie komór uzbrojenia i spuszczenie precyzyjnej bomby to jednak ostateczność.

Najważniejsze jest przeniknięcie nad ugrupowanie lub terytorium nieprzyjaciela, rozpoznanie celów i przekazanie dalej informacji o nich. Niszczeniem zająć się mogą inni – piloci F-16 wypuszczający z dystansu pociski manewrujące, artylerzyści odpalający z wyrzutni swoje rakiety czy operatorzy dronów dalekiego zasięgu. Husarze nie będą szarżować bez potrzeby, choć jedno zadanie będzie im przypisane na sto procent.

– *Gdy w komorach F-35 znajdą się precyzyjne miniaturowe bomby szybujące SDB i superszybkie pociski antyradarowe AARGM, ich celem stanie się przełamanie obrony powietrznej* – wyjaśnia gen. Nowak. Dodaje jednak, że jako wielozadaniowa maszyna F-35 będzie też walczyć o przewagę w powietrzu – czyli z samolotami przeciwnika.

Saga kłopotów

Ten nowy w Polsce samolot ma długą historię. Jego koncepcja narodziła się w pierwszej połowie lat 90., gdy Amerykanie – pokazawszy światu przewagę technologiczną w wojnie z Irakiem – już szukali następców niepokonanych maszyn czwartej generacji, takich jak wielozadaniowe F-16 i F-15 czy uderzeniowe F-111.

Najnowszym wówczas osiągnięciem było „stealth", czyli zastosowanie takiej konstrukcji i materiałów, które obniżały radarowy ślad maszyny. Pierwszy wprowadzony do służby samolot F-117 był kanciasty i latał wolno, ale drugi, myśliwiec przewagi powietrznej F-22 Raptor, na dekady wyznaczył konstrukcyjne trendy: motylkowe usterzenie, zamknięte komory uzbrojenia i osłonięte silniki, by jak najmniej „świeciły" termicznie. Tyle że ten powietrzny dominator okazał się tak drogi w produkcji i utrzymaniu, że w czasach pokoju skreślili go księgowi, którzy zaczęli mieć w Pentagonie więcej do powiedzenia niż generałowie.

Ameryka potrzebowała czegoś równie dobrego, ale tańszego i masowego. Od początku w nowy projekt włączeni byli sojusznicy, a przyszłego samolotu miały używać: lotnictwo, marynarka wojenna i piechota morska. Stąd był to Joint Strike Fighter, „wspólna" maszyna myśliwsko-uderzeniowa. Okazało się jednak, że rozbieżne wymagania doprowadziły do opóźnień w projektowaniu, a powstałe ostatecznie trzy wersje F-35 to zewnętrznie podobne, choć różne samoloty.

W efekcie F-35 wszedł do służby dopiero w 2015 r. i wciąż ma problemy z osiągnięciem takiego rozwoju, jaki obiecano w kontraktach. Saga kłopotów F-35 liczy już wiele tomów i jeszcze o nich usłyszymy. Na przykład o tym, że nieprędko w Polsce pojawi się zamówiona wersja Block 4, której oprogramowania od lat nie udaje się w pełni zainstalować i przetestować. Głośno będzie o przeliczeniu „na godzinę lotu" kosztów utrzymania i obsługi – wciąż nie w pełni znanych, ale na pewno przekraczających wszelkie wcześniejsze szacunki użytkowników.

Na pewno pojawią się też spekulacje, do kogo tak naprawdę trafiają dane ze skomputeryzowanego systemu logistycznego i czy ktoś w Pentagonie ma ▶

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 3038603389

▶ magiczny guzik do „wyłączania" samolotu, gdyby komuś wyżej nie spodobała się perspektywa jego użycia. F-35 obrósł wieloma legendami i mitami, ale jednocześnie to prawdopodobnie najskrupulatniej prześwietlony i poddany najobszerniejszej krytyce wielki program zbrojeniowy USA. Tyle że jest „za duży, by upaść", więc nikt o tym nie myśli.

Politycy jak lotnicy

Polska w styczniu 2020 r. zakupiła F-35A w wersji Block 4, czyli najnowszej (jeszcze wówczas de facto nieistniejącej), przeznaczonej dla sił powietrznych działających z normalnych lotnisk lądowych. Możliwości skróconego startu i pionowego lądowania ma wersja B, dla mniejszych lotniskowców. Jest jeszcze wersja pokładowa C, dla dużych lotniskowców, o większych, ale składanych skrzydłach, wzmocnionym podwoziu i większym zapasie paliwa. Od pozostałych różni się też F-35I, czyli izraelski Adir, na którego pokładzie za zgodą USA zainstalowano znane tylko izraelskim inżynierom modyfikacje i systemy. To jedyny odbiorca, któremu pozwala się na takie ingerencje i tej wersji oczywiście nie można kupić.

Wersji Block 4 nadal nie ma, bo – skracając długą historię – wymagania systemów informatycznych tej maszyny przekroczyły technologiczne możliwości samolotu, takie jak zasilanie czy chłodzenie systemów komputerowych. Siły Powietrzne USA rozważały nawet wymianę silników w całej flocie, ale to okazało się zbyt drogie i teraz głowią się nad dostarczeniem obiecanych sobie i sojusznikom zdolności.

Dostarczona Polsce wersja TR-3 nie wypełnia więc całkiem wymogów umowy, ale i tak jest najnowocześniejszą z dostępnych. Żadnych kar za opóźnienie dla dostawcy oczywiście nie będzie, bo amerykański system sprzedaży ich po prostu nie przewiduje. Zresztą, kto by się u nas ośmielił.

Dlaczego Polska postawiła na F-35? Wybór był w dużej mierze kontynuacją tradycji zapoczątkowanej przez system F-16, ale też wynikał z kierunku rozwoju sił powietrznych – w stronę samolotów bojowych piątej generacji. Nie bez znaczenia były wpływy amerykańskiego przemysłu obronnego w Polsce i fascynacja amerykańskim sprzętem, tak u wojskowych, jak i – nieraz jeszcze większa – u polityków.

Co ciekawe, w programie Harpia początkowo F-35 w ogóle nie było. A jego producent, firma Lockheed Martin, oferowała Polsce „zaledwie" najnowszą wersję F-16. Ale nasi generałowie nie chcieli zostać w tyle, widząc, jak znane w NATO od dekad „szesnastki" są zastępowane przez F-35 w takich krajach jak Dania, Belgia czy Holandia. Jeszcze lepiej miały Włochy i Wielka Brytania, jako kluczowi dostawcy i producenci ważnych komponentów nowego „samolotu koalicyjnego NATO". Mało kto wie, że spora partia F-35 dla Polski pochodzić będzie z linii montażowej we Włoszech, a nie ze słynnej fabryki Fort Worth w Teksasie, gdzie od lat pielgrzymują polscy politycy.

Właśnie oni rozstrzygnęli losy konkursu w programie Harpia, po tym jak w 2019 r. wysłali do USA pilotów F-16 na wstępne zapoznanie z F-35. Grupę oficerów posadzono z amerykańskimi instruktorami w symulatorach, bo F-35 nie ma tradycyjnej szkolnej wersji dwumiejscowej, i zaprezentowano im okrojoną z niejawnych szczegółów wersję demo. – *Wychodziliśmy w szoku. Taka była różnica możliwości w porównaniu z F-16* – wspomina jeden z uczestników tego pokazu.

Za radą lotników szybko potem nastąpiło wskazanie F-35, wpisujące się w proamerykańską politykę rządu PiS w pierwszej kadencji prezydenckiej Donalda Trumpa. Umowę podpisano w styczniu 2020 r. w Dęblinie na tle włoskiego samolotu. Polska nie negocjowała żadnego offsetu ani udziału przemysłu w produkcji, choć kraje zamawiające F-35 później, takie jak Finlandia, Niemcy, Szwajcaria (ta dziś się waha, czy z zakupu nie zrezygnować), a nawet Czechy, zdołały namówić Amerykanów do współpracy. Ale koniec końców polskie F-35 nie okazały się drogie w zakupie – średnio niecałe 80 mln dol. za samolot. F-16 w najnowszej wersji są droższe.

Szara nowoczesność

Polska jest pierwszym właścicielem F-35 na wschodniej flance NATO i samo to stanowi istotny element rozgrywki z Rosją. Na planszach i ekranach gier wojennych każdy taki samolot znaczy więcej niż jakakolwiek maszyna rosyjska, ze względu na swoje cechy, jak i zdolność współdziałania. – *NATO będzie nas w pierwszej kolejności bronić wielonarodową koalicją F-35, w której sami będziemy uczestniczyć* – uważa gen. Nowak.

Polska już się przekonała, że w planach Sojuszu najłatwiej jest alarmowo przemieścić niewielkie grupy samolotów. To właśnie holenderski F-35 pierwszy strzelał do rosyjskich dronów we wrześniu 2025 r., a kilkadziesiąt godzin po tym ataku pod Warszawą wylądowały francuskie myśliwce Rafale.

Do końca dekady w europejskich krajach NATO ma być ok. 600 F-35, a sporo z nich znajdzie się u granic Rosji. W Finlandii aż 64, w Polsce 32, w Niemczech 35 lub więcej, w Danii nawet 43. Daje to ponad 150 tych maszyn wokół Bałtyku. Nieco dalej na Zachód latają na nich Holendrzy, Norwegowie i Brytyjczycy, a nieco później dostaną je również Czesi i Rumuni.

Amatorzy pokazów narzekają, że w powietrzu niedługo zrobi się nudno i szaro, bo pokrytych antyradarową powłoką F-35 nie da się pomalować w okazjonalne barwy, a maszyny z poszczególnych krajów będzie można odróżnić głównie po jasnoszarych oznaczeniach na ciemnoszarych kadłubach. Nowoczesność nie będzie kolorowa, za to może się rozmnożyć.

Po kilku latach rozwoju prototypów wraz z F-35 wejdą do służby ich bezzałogowi pomocnicy, zwani czasem „lojalnymi skrzydłowymi". Chodzi o drony specjalnie zaprojektowane do wsparcia myśliwców i maszyn uderzeniowych, określane skrótem CCA – bojowych samolotów towarzyszących.

Gdy w Polsce kupowane były F-35, MON wspominał – choć później przestał o tym głośno mówić – o programie Harpii Szpon, który miałby być polskim CCA. Po sześciu latach jako pierwsza takich dronów wraz ze swoimi F-35 zaczyna używać Australia, a US Air Force jest na finiszu testów dwóch innych konstrukcji, które amerykańskie firmy oferują na eksport w Europie. Można założyć, że nie od razu, ale raczej na pewno Polska sięgnie po tego rodzaju uzupełnienie floty powietrznej, jeśli chce pozostać w głównym nurcie rozwoju technologii.

Ta rewolucja nastąpi szybciej niż poprzednia – pewnie na początku przyszłej dekady, gdy autonomizacja platform bojowych, niewymagających stałego nadzoru człowieka, stanie się oczywistością dzięki rozwojowi sztucznej inteligencji. Wtedy tradycyjne cechy pojedynczego samolotu, takie jak udźwig, zasięg, pułap czy prędkość, jeszcze bardziej stracą na znaczeniu. Liczyć się będzie liczebność i inteligencja całego powietrznego roju.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

eprasa.pl 3c38c03389

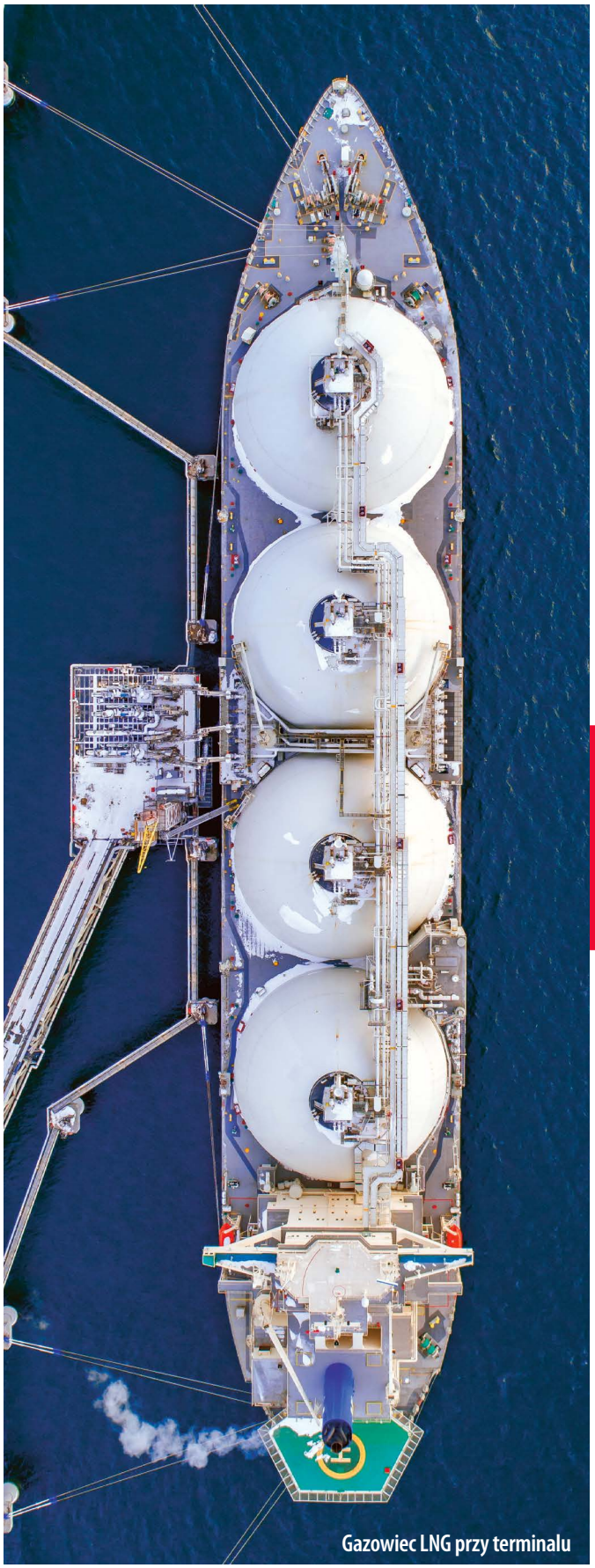

© EVGENII BAKHCHEV/SHUTTERSTOCK

Gazowiec LNG przy terminalu

Pali się lampka rezerwy

Świat balansuje na krawędzi największego w historii kryzysu energetycznego. Nikt nie wie, kiedy i jak to się skończy, ale wszyscy wiedzą, że rynek energii nie będzie już taki sam. Ale jaki będzie?

ADAM GRZESZAK

W maju w południowokoreańskiej stoczni HD Hyundai Heavy Industries uroczyście zwodowano pierwszą polską pływającą jednostkę regazyfikacji i magazynowania (FSRU). Ten wielki pływający gazoport LNG, po przycumowaniu do budowanego nabrzeża w Zatoce Gdańskiej, będzie odbierał z przypływających statków skroplony gaz, magazynował go w swoich zbiornikach, regazyfikował, a następnie tłoczył do sieci Gaz-Systemu. W ciągu roku ponad 6 mld m sześc.

A to nie jest nasze ostatnie słowo. Trwają przymiarki do budowy kolejnego takiego giganta (blisko 300 m długości), a więc podwojenia zdolności Gdańska do importu gazu LNG. Jeśli do tego dodamy 8,3 mld m sześc. LNG przepływające przez świnoujski gazoport i plany dojścia tam do 10 mld m sześc., to Polska wyrasta na wielkiego importera gazu skroplonego.

Na krawędzi

Pytanie tylko: skąd go brać? Dziś światowy rynek LNG przeżywa sądne dni. Wszystko za sprawą amerykańsko-irańskiego konfliktu i blokady cieśniny Ormuz. W Zatoce Perskiej, w ogniu wojny, odcięci od rynków eksportowych znaleźli się dwaj kluczowi producenci – Katar i Zjednoczone Emiraty Arabskie (ZEA) – zapewniający światu ok. 20 proc. LNG. Wprawdzie ostatnio udaje się wymykać przez cieśninę pojedynczym gazowcom, ale to kropla w morzu potrzeb i hazardowa praktyka świadcząca o desperacji eksporterów i importerów gotowych na ryzyko utraty statków.

Gazu LNG nie da się transportować na dalsze odległości inaczej niż specjalnymi statkami, bo stan skroplenia wymaga ▶

eprasa.pl 3c38c03389

▶ temperatury ok. -160 st. C i kriogenicznych zbiorników. Nie można go tłoczyć rurociągami poza cieśninę Ormuz, tak jak się to dzieje z częścią ropy naftowej z Zatoki. Wymagałoby to budowy nowych instalacji skraplających i specjalistycznych portów w Zatoce Omańskiej albo na Morzu Czerwonym. Być może takie z czasem powstaną, bo eksporterzy LNG będą musieli radzić sobie z długoterminowym ryzykiem, jakim okazały się cieśnina i kontrolujący ją Iran.

Pod koniec marca Katar poinformował, że jego zdolność eksportowa LNG może nie powrócić do poziomu sprzed wojny nawet przez pięć lat z powodu uszkodzeń spowodowanych irańskimi atakami rakietowymi na kompleks Ras Laffan, największy na świecie obiekt skraplający. Polska ma długoterminową umowę na dostawy katarskiego gazu z QatarEnergy, ale producent ogłosił stan „siły wyższej", więc ostatnia dostawa dotarła na początku marca. W podobnej sytuacji znaleźli się odbiorcy we Włoszech, w Belgii, Korei Płd. i Chinach.

Mimo to Polska nie rewiduje swoich planów wielkiej gazyfikacji elektroenergetyki, bo gaz ziemny jest paliwem, które ma uzupełniać bilans w okresach, gdy energetyka wiatrowa i słoneczna nie zapewniają wystarczającej ilości prądu. Gaz ma wiele innych zastosowań, a dla przemysłu nawozowego jest nie tylko paliwem, ale także surowcem, z którego powstają nawozy azotowe. W przypadku Grupy Azoty cena gazu stanowi kilkadziesiąt procent kosztów produkcji, dlatego spółka w marcu wstrzymywała produkcję. Dziś zapewnia, że stara się łagodzić wzrost cen. Mimo to nawozy na przednówku zdrożały o kilkanaście procent, a najbardziej gazochłonny mocznik – o blisko 30 proc.

Z deszczu pod rynnę

Gaz ziemny skroplony i zwykły tłoczony rurociągami zdrożał na światowych rynkach, a Polska tradycyjnie należy do krajów o najwyższych cenach hurtowych gazu. To efekt polityki „bezpieczeństwa energetycznego" – gigantyczne inwestycje gazowe, a także rygorystyczne regulacje nie są za darmo, ktoś musi za nie zapłacić. Płacą konsumenci gazu. Odbiorcy domowi chronieni są taryfą, ale ci w gospodarce mocno się zastanawiają, czy będzie ich stać na używanie gazu. W efekcie mimo kryzysu i surowej ostatniej zimy mamy magazyny gazu zapełnione w połowie, a większość krajów europejskich w swoich dochodzi do dna.

Orlen, który dziś jest faktycznym monopolistą gazowym na krajowym rynku, zapewnia, że gazu nam nie zabraknie. Przed wojną w Zatoce tylko 10 proc. LNG sprowadzaliśmy z Kataru, więc braki możemy uzupełnić gazem z USA. Amerykanie na tej wojnie nieźle zarabiają, bo dziś zapewniają Europie 60 proc. LNG, a Polsce aż 75 proc. Tyle że wpadamy z deszczu pod rynnę, uzależniając się od dostawcy, z którym – jak się okazało – także wiąże się pewne ryzyko.

Wszyscy szukają alternatywnych dostawców i sposobów ograniczenia zapotrzebowania na gaz. „Kraje Azji i Europy przyspieszają obecnie plany dywersyfikacji źródeł dostaw, budowania rezerw strategicznych i rozwoju krajowych mocy wytwórczych w każdej dostępnej technologii. Celem jest izolacja od wstrząsów, jakie wywołała ta wojna, a ta zmiana priorytetów przetrwa sam konflikt, ponieważ pamięć o tej słabości nie zniknie szybko" – przekonuje Cyril Widdershoven, analityk firmy doradztwa strategicznego Blue Water Strategy.

Nie wiadomo, ile jeszcze potrwa amerykańsko-irańska wojna, która weszła w fazę przewlekłą. Mimo rozejmu i toczących się od tygodni negocjacji obie strony co chwila sięgają po broń, prowadzą wzajemną blokadę, wydają sprzeczne i niejasne komunikaty. W ich rytmie falują ceny ropy naftowej, bo rynki chwytają się każdej nadziei, że przecież to się musi wreszcie skończyć. Niemożliwe, by cały świat popadł w recesję za sprawą jednej wąskiej morskiej cieśniny i kaprysów władcy światowego mocarstwa, marzącego o Pokojowej Nagrodzie Nobla.

To nie przypomina już kryzysów naftowych z lat 70. ubiegłego wieku, bo wtedy chodziło o ropę, a dziś gra idzie o wiele produktów, które państwa Zatoki eksportują drogą morską. Obok surowej ropy i skroplonego gazu są to także gotowe paliwa z arabskich rafinerii, w tym deficytowe dziś paliwa lotnicze. Ale także petrochemikalia i nawozy sztuczne, bo producenci z Zatoki Perskiej są głównymi eksporterami mocznika, amoniaku, siarki i nawozów fosforanowych. Bardzo ucierpiał też światowy rynek aluminium, bo ataki rakietowe sparaliżowały kilka zakładów hutniczych w ZEA i Bahrajnie. A dotyczy to jednej piątej amerykańskiego i europejskiego importu aluminium.

Amortyzatory

„Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, czy się skończyły. Naprawdę mi to obojętne" – tak prezydent Donald Trump skomentował przerwane amerykańsko-irańskie negocjacje pokojowe. Cena ropy brent, będąca wskaźnikiem dla całego rynku naftowego, natychmiast skoczyła o 7 proc. I tak jest co chwila. Każda wypowiedź albo wpis prezydenta Trumpa na jego serwisie społecznościowym Truth Social wywołują skoki lub spadki notowań surowca. Ale wciąż nie spełniają się czarne proroctwa z początku konfliktu mówiące, że cena ropy dojdzie do 150, a może nawet 200 dol. za baryłkę, co popchnie w świat w stronę gospodarczej katastrofy. Co prawda cena wzrosła od stycznia z 61 do ok. 105 dol., ale teraz utrzymuje się lekko poniżej 100 dol., a jedynie w kryzysowych momentach przekracza tę barierę.

Jak to możliwe? Przecież świat do normalnego funkcjonowania potrzebuje każdego dnia ponad 100 mln baryłek, a producenci z Zatoki Perskiej przed wojną zapewniali mu 20 mln baryłek. Amortyzatorem okazały się spore zapasy, jakie świat zgromadził w ubiegłym roku, kiedy rynek ropy cierpiał na nadprodukcję. Teraz rządy bogatych krajów uwolniły część zgromadzonych rezerw ropy i gazu, w tym rząd USA dysponujący strategicznymi magazynami pojemności 700 mln baryłek ropy naftowej i rezerwami ponad 400 mln. Także Chiny zgromadziły pokaźny zasób ropy, które Międzynarodowa Agencja Energetyczna (IEA) szacowała na 1,4 mld baryłek. Sama IEA przeprowadziła też największą w historii skoordynowaną akcję uwolnienia zapasów, aby ustabilizować ceny. Na rynek trafiło 400 mln baryłek ropy.

© CEZARY ASZKIEŁOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 3c38c03389

Gazoport w Świnoujściu

Ulgę przyniosły też rurociągi naftowe na Półwyspie Arabskim pozwalające ominąć Ormuz, zwłaszcza saudyjski ropociąg Wschód–Zachód do portu Janbu nad Morzem Czerwonym. Intensywnie pracują pozostałe rurociągi tłoczące ropę do portów Morza Śródziemnego i Zatoki Omańskiej. Dzięki temu udało się deficyt naftowy zredukować do 10 mln baryłek dziennie.

Ominąć cieśninę

Także polski Orlen, mający kontrakt na dostawy saudyjskiej ropy, dzięki ropociągom Wschód–Zachód i Suesko-Śródziemnomorskiemu może odbierać surowiec z portu w Aleksandrii bez pokonywania cieśniny Ormuz, a potem cieśniny Bab al-Mandab (zagrożonej atakami proirańskich Huti) i Kanału Sueskiego. To dość ważny element układanki, bo dziś transport morski surowców energetycznych bardzo zdrożał. Wzrosły koszty ubezpieczenia, wydłużyły się morskie szlaki, są problemy z dostępnością czystych i brudnych tankowców (brudne transportują surową ropę, czyste – gotowe paliwa). A Iran odkrył, że może zarabiać, pobierając myto od statków przepływających przez Ormuz, czego wcześniej nie robił. Więc w przyszłości dojdą dodatkowe koszty.

Dlatego rodzą się kolejne projekty rurociągowe, byle tylko uniknąć pechowej cieśniny. Nawet Katar wrócił do pomysłu budowy gazociągu przez Arabię Saudyjską, Jordanię, Syrię do Turcji, by tam wpiąć się do systemu zaopatrującego Europę. Projekt śmiały technicznie, ale bardziej politycznie. Podobnie jak wskrzeszony projekt z czasów osmańskich budowy linii kolejowej z Turcji przez Syrię do Arabii Saudyjskiej i Omanu. Jednak wszystkie kraje Bliskiego Wschodu zdają sobie sprawę, że muszą dywersyfikować drogi dostaw ropy i gazu, bo konkurencja nie śpi.

Wysokie ceny ropy i gazu zmieniają optykę krajów produkujących surowiec. Pozyskanie finansowania na poszukiwanie i wydobycie staje się łatwiejsze. Kto może, zwiększa wydobycie, licząc, że zwiąże ze sobą kontraktami nowych odbiorców, odbierając ich producentom z Zatoki. Rośnie wydobycie ropy i gazu w USA, które za sprawą złóż niekonwencjonalnych stały się największym światowym producentem. Także Kanada zwiększa eksport, dołącza także południowa Ameryka – Brazylia, Gujana, a nawet Argentyna. Wenezuela zaś, kraj mający największe złoża, po latach wykluczenia wraca na światowy rynek. Czasowo zniesiono też sankcje USA na rosyjską ropę, choć Rosja najmniej korzysta na tej koniunkturze, bo Ukraińcy skutecznie niszczą jej potencjał naftowy.

Europa ma śladowe zasoby ropy i gazu, z wyjątkiem Norwegii, która konsekwentnie eksploatuje swój szelf Morza Północnego i udostępnia go innym. Korzysta na tym także Polska, bo Orlen prowadzi wydobycie z norweskich złóż. Norwegowie na tym nieźle zarabiają, a dziś mają ochotę na więcej, więc naciskają na Unię Europejską, by ta zniosła wprowadzone w 2021 r. moratorium na wydobycie w Arktyce. „Nie ma argumentów klimatycznych przemawiających za tym, aby traktować ropę naftową i gaz wydobywane na północ i południe od pewnej linii w odmienny sposób" – przekonywał szef norweskiego MSZ Espen Barth Eide w rozmowie z Bloombergiem. Norwegowie oceniają, że jest szansa na dodatkowe 550–590 mld m sześc. gazu ziemnego. Dla Unii to szatański dylemat, bo z jednej strony Zielony Ład wymaga odchodzenia od paliw kopalnych, a z drugiej bez ropy i gazu trudno się obejść. Po wprowadzeniu sankcji na rosyjski surowiec Norwegia pozostaje dla Europy jedynym bliskim i pewnym źródłem zaopatrzenia.

Polak lubi tanie paliwo

Kraje bogatej Północy myślą, jak ochronić własnych obywateli i gospodarkę przed skutkami kryzysu energetycznego. Ubogie Południe takich możliwości nie ma, więc musi zaciskać pasa: zastępując gaz LNG węglem, ograniczając ruch samochodowy, nakazując pracę zdalną, podnosząc temperaturę uprawniającą do stosowania klimatyzacji itd. W krajach najbiedniejszych kryzys energetyczny przekłada się też na utratę wartości walut, inflację, reglamentację nawozów i głód. Żywność stanowi średnio 44 proc. wydatków gospodarstw domowych w krajach o niskich dochodach, w porównaniu z 16 proc. w gospodarkach rozwiniętych. Eksperci ostrzegają, że to wszystko w najbiedniejszych krajach będzie prowadziło do niepokojów społecznych, których niektóre rządy nie przetrwają.

Tymczasem Polacy pytani przez GUS o nastroje konsumenckie deklarują dziś, że kryzys energetyczny im niestraszny i nie obawiają się wzrostu inflacji. A Orlen wręcz zachęca do kupowania paliw, organizując przez lato weekendowe promocje. To efekt metody zastosowanej przez rząd, czyli pakietu CPN, który dzięki dotacjom budżetowym sprawił, że ceny paliw wzrosły nieproporcjonalnie mniej niż w innych krajach. Dlatego pakiet CPN będzie zapewne przedłużany, bo mamy już kampanię wyborczą, a nic tak nie wpływa na nastroje wyborców jak cena benzyny.

Problem jest tylko taki, że wszystkie rezerwy, z których korzystała światowa gospodarka już się kończą, więc jeśli irańsko-amerykańska wojna się nie skończy, zderzymy się z twardymi realiami. Prezes Chevronu Mike Wirth ostrzegł, że ceny ropy naftowej prawdopodobnie wzrosną w ciągu najbliższych dwóch miesięcy, bo światowe zapasy zbliżają się do „niespotykanego" minimum. Modele pokazują, że do lipca cena ropy brent może wzrosnąć do 150–160 dol. Jorge León, szef analiz geopolitycznych w Rystad Energy, obstawia w sierpniu cenę 180 dol. To może pchnąć gospodarkę światową w recesję. I nawet rychłe zawarcie jakiegoś porozumienia amerykańsko-irańskiego – co trudno sobie dziś wyobrazić – nie przyniesie natychmiastowej ulgi. Zdaniem szefa Chevronu rynek mógłby powrócić do stanu przedwojennego między pierwszym a drugim kwartałem 2027 r.

Kryzys energetyczny lat 70. ubiegłego wieku stanowił potężny wstrząs, który zaowocował narodzinami samochodów małolitrażowych. Producenci zaczęli się ścigać, kto wyprodukuje auto zużywające mniej paliwa. Zaczęła się rewolucja technologiczna, której motoryzacja wiele zawdzięcza. Dziś będzie zapewne podobnie, bo obecny kryzys energetyczny przyspiesza rozwój wszystkiego, co obywa się bez ropy i gazu: pojazdów elektrycznych, magazynów energii, odnawialnych źródeł, a także przyniesie renesans energetyki jądrowej.

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl 3c38c03389

Stan terminalny

Kolejki i ścisk – nasze lotniska padły ofiarą własnego sukcesu. Terminale powiększają się dużo wolniej, niż rośnie liczba pasażerów. A dodatkowe kłopoty tego lata będą mieć podróżujący poza strefę Schengen.

CEZARY KOWANDA

Terminal wspierający – to tymczasowe rozwiązanie ma ułatwić życie tego lata pasażerom na dwóch najbardziej zapchanych lotniskach w Polsce. Kilka tygodni temu taka przestrzeń pojawiła się w Krakowie. Tamtejszy terminal miał obsługiwać ok. 8 mln pasażerów rocznie. A w 2025 r. było ich ponad 13 mln, w tym roku zaś przez drugie najpopularniejsze lotnisko w Polsce przewinie się zapewne ok. 15 mln podróżnych. Aby choć trochę rozładować tłok, krakowski port postanowił wykorzystać stary terminal towarowy. Stosunkowo niewielkim kosztem (niespełna 30 mln zł) udało się przygotować go do obsługi podróżnych. Pojawiło się sześć kolejnych wyjść do samolotów poza strefę Schengen (obejmuje ona państwa Unii Europejskiej z wyjątkiem Irlandii i Cypru oraz Norwegię, Islandię i Szwajcarię).

Jak podkreślają władze lotniska, dzięki temu może ono obsłużyć przez godzinę 2,7 tys. odlatujących osób, czyli aż o połowę więcej niż dotychczas. Na rozbudowę terminala z prawdziwego zdarzenia trzeba będzie poczekać przynajmniej do 2029 r. Wówczas lotnisko będzie gotowe ponoć do obsługi 19 mln podróżnych. Jeśli jednak ruch będzie rósł w dotychczasowym tempie, tylu pasażerów może być w Krakowie już w chwili ukończenia inwestycji. Wówczas trzeba będzie planować kolejne powiększenie lotniska.

W podwarszawskim Modlinie przy nowym terminalu jeszcze trwają ostatnie prace. Po zawarciu wieloletnich umów z liniami Ryanair i Wizz Air port ma w tym roku rekordową liczbę połączeń i... ogromny tłok w niewielkim terminalu. Początkowo mówiło się o tymczasowym namiocie, potem zyskał on miano terminalu powłokowego, ale ostatnio nazwano go – jak w Krakowie – wspierającym. – *Będą cztery dodatkowe wyjścia do samolotów, czyli dwa razy więcej niż dotychczas, wygodna strefa oczekiwania na odlot, a także sklepy i punkty gastronomiczne. To obiekt całoroczny, ogrzewany lub chłodzony w miarę potrzeb* – obiecuje Jacek Kowalski, prezes lotniska Warszawa-Modlin. Rozbudowy z prawdziwego zdarzenia należy się spodziewać dopiero w 2028 r. – wówczas lotnisko ma być w stanie obsłużyć w przyzwoitych warunkach ok. 8 mln podróżnych.

Kto woli główne stołeczne lotnisko Chopina, ten również powinien się przygotować na przepełnienie. Największy polski port obsłużył w 2025 r. ponad 24 mln pasażerów, chociaż terminal zaplanowano dla maksymalnie 16 mln podróżnych. W tym roku przez największe polskie lotnisko może się przewinąć nawet 26 mln osób. Zarządzająca obiektem państwowa spółka PPL przygotowuje niewielką rozbudowę, bo nowy Port Polska (w nomenklaturze PiS znany jako CPK) ma ruszyć najwcześniej w 2032 r. Do 2029 r. powierzchnia terminala lotniska Chopina powinna się powiększyć o 15 proc. Mimo że efekty będą odczuwalne krótko (w chwili otwarcia Portu Polska Chopin zostanie zamknięty dla połączeń pasażerskich, aby nie konkurować z nowym lotniskiem), uda się nieco rozładować tłok.

Teoretycznie główne warszawskie lotnisko jest już kompletnie zapchane, jednak linie lotnicze wciąż są w stanie uruchamiać z niego nowe połączenia (zwłaszcza w mniej atrakcyjnych porach), co pokazuje przykład Ryanaira. Irlandczycy w najbliższym sezonie zimowym znacznie powiększą swoją ofertę z Chopina, choć równocześnie zbazują kolejne samoloty w Modlinie.

Rozwój wielu naszych lotnisk nie nadąża za wzrostem liczby połączeń i podróżnych. W 2019 r., czyli ostatnim przed pandemią, polskie porty obsłużyły łącznie 49 mln pasażerów. Potem przyszło załamanie, jak na całym świecie, ale już w 2023 r. łączna liczba podróżnych była

© JAKUB KAMIŃSKI/PAP, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 3c38c03389

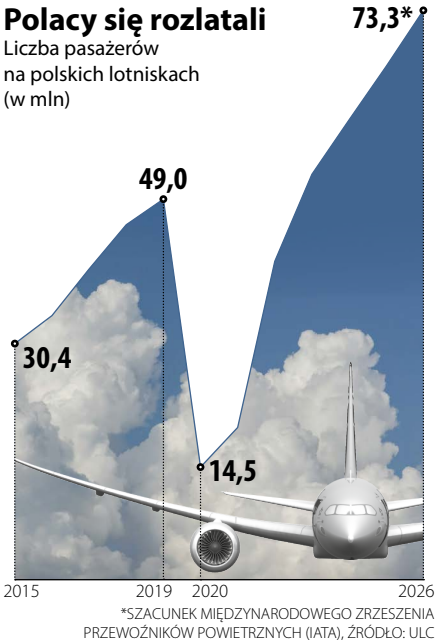

na poziomie powyżej 2019 r. Kolejne lata to dynamiczne wzrosty – w 2025 r. liczba odlatujących i przylatujących sięgnęła 66 mln, a w tym roku zapewne przekroczy 73 mln. Nie tylko Kraków, Warszawa i Modlin nie radzą sobie z kolejnymi rekordami. Tam sytuacja jest najgorsza, ale ciasno robi się też we Wrocławiu czy w Poznaniu.

Stolica Dolnego Śląska zanotowała w 2025 r. – mimo ponadmiesięcznego zamknięcia z powodu remontu drogi startowej – niemal 5 mln pasażerów. A terminal był zaprojektowany na nieco ponad 4 mln podróżnych rocznie. W planach jest znaczna rozbudowa, ale zakończy się dopiero ok. 2030 r. Do tego czasu liczba podróżnych może dojść do 7–8 mln. Także port w Poznaniu dopiero przygotowuje powiększenie terminalu. Zaprojektowany dla ok. 3 mln pasażerów już w 2025 r. obsłużył ich ponad 4 mln. Stosunkowo najlepiej jest w Gdańsku, który ma terminal dla ok. 10 mln podróżnych. Jednak już w 2025 r. zanotowano prawie 7,5 mln pasażerów, w tym roku będzie z pewnością ponad 8 mln.

Najgorzej sytuacja wygląda na Mazowszu. To przede wszystkim skutek absurdalnych politycznych decyzji podczas ośmioletnich rządów PiS. Politycy tej partii zablokowali rozbudowę zarówno portu Chopina, jak i lotniska w Modlinie. Główne warszawskie lotnisko miało być zamknięte już w 2027 lub 2028 r., bo PiS obiecywał, że w tym czasie ruszy CPK. A w Modlinie rząd Mateusza Morawieckiego toczył walkę z mazowieckim samorządem, kontrolowanym przez KO i PSL. Z powodu blokady w gronie udziałowców nie można było przeprowadzać większych inwestycji. Jeśli Modlin chce rosnąć, musi rozpocząć budowę nowego terminala przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi. W razie powrotu prawicy do władzy znowu dojdzie do pata w gronie właścicieli.

PiS na Mazowszu inwestował, ale nie tam gdzie trzeba. W Radomiu powstał nowoczesny terminal gotowy nawet na 3 mln pasażerów rocznie. W 2025 r. było ich niespełna 100 tys., w tym roku będzie podobnie. Lotnisko naprawdę działa tylko w sezonie letnim dzięki czarterom. Ostatniej zimy samoloty odlatywały zaledwie dwa razy w tygodniu – do cypryjskiej Larnaki.

Większość polskich lotnisk ma kłopoty z tłokiem. Trzy największe działające u nas linie – Ryanair, Wizz Air i państwowy Lot – dokładają połączeń i bazują w Polsce kolejne maszyny. – *Bogacimy się i chcemy podróżować coraz więcej. Na razie Polacy latają średnio nieco ponad półtora raza w roku, a w Europie Zachodniej ten wskaźnik jest przeciętnie dwa razy wyższy. U nas może być w przyszłości jeszcze większy niż we Francji czy Niemczech, bo Polska jest położona w Unii peryferyjnie. Do Włoch, Hiszpanii czy Wielkiej Brytanii jest na tyle daleko, że samolot praktycznie nie ma konkurencji. Poza tym jesteśmy konkurencyjni, jeśli chodzi o koszty ponoszone przez przewoźników. Nie ma u nas np. podatku lotniczego, a opłaty pasażerskie pozostają umiarkowane* – wyjaśnia Michał Kaczmarzyk, prezes linii Buzz i szef polskich struktur w grupie Ryanair.

Loty z Polski są zdecydowanie tańsze niż z Niemiec, Francji czy Wielkiej Brytanii, ale eldorado może się szybko skończyć, gdybyśmy chcieli podnieść opłaty. Na początku tego roku w rządzie pojawił się pomysł reformy Urzędu Lotnictwa Cywilnego, będącego dziś na utrzymaniu budżetu państwa, czyli wszystkich podatników. Resort infrastruktury chciał to zmienić – ULC albo jego następcę mieliby finansować sami przewoźnicy. Chodziłoby o kwotę ok. 100 mln zł rocznie. Niby niewiele przy naszej liczbie pasażerów, ale linie lotnicze ostro zaprotestowały. Projekt na razie nie będzie realizowany.

Paliwo lotnicze jest obecnie niemal dwa razy droższe niż rok temu i wciąż nie wiadomo, czy nie zabraknie go w szczycie sezonu. Jednak najważniejsi przewoźnicy uspokajają, że kłopotów nie będzie. Aby zachęcić klientów do rezerwacji, nie podnoszą cen, zwłaszcza na połączeniach europejskich. W dużej mierze są zabezpieczeni przed podwyżkami cen paliwa dzięki kontraktom hedgingowym. Kto znajdzie tani bilet, tego nie przeraża nawet konieczność mało wygodnego oczekiwania przy bramce wyjściowej. Jednak podróżujący poza strefę Schengen muszą liczyć się z jeszcze jednym problemem. Od kwietnia działa nowy system odprawy paszportowej, w ramach którego od osób niebędących obywatelami UE przy pierwszym przekroczeniu unijnej granicy pobierane są odciski palców.

Nowe procedury już doprowadziły do ogromnych kolejek przy stanowiskach odprawy granicznej w Portugalii, we Włoszech czy Francji. Zdarzało się, że samoloty odlatywały bez znacznej liczby pasażerów, bo nie mogły czekać. W Polsce na razie tak nie było, ale przewoźnicy ostrzegają przed problemami w szczycie sezonu. – *Obawiamy się, że obsada stanowisk paszportowych jest niewystarczająca. Nie możemy czekać z odlotem, bo destabilizowałoby to cały rozkład. Zachęcamy podróżnych, żeby zaraz po przyjeździe na lotnisko i przejściu kontroli bezpieczeństwa kierowali się do kontroli paszportowej. Warto również sprawdzić w aplikacji nasze rekomendacje dotyczące tego, ile czasu przed odlotem należy być na lotnisku. Zazwyczaj to dwie godziny, ale w przypadku najbardziej obciążonych portów i podróży poza strefę Schengen mogą to być nawet trzy godziny* – radzi Michał Kaczmarzyk.

Linie apelują, aby nowy system kontroli granicznej zawiesić na czas wakacji, przynajmniej dla obywateli niektórych państw. Tak zrobiła Grecja, zwalniając z dodatkowych procedur Brytyjczyków. Wydłużone kolejki do odprawy paszportowej to problem raczej przejściowy, chociaż na pewno oznaczający dodatkowe utrudnienia tego lata. Zapchane terminale stały się za to już stałym krajobrazem naszych lotnisk. Rosnąca szybko liczba połączeń to także dowód atrakcyjności Polski wśród zagranicznych turystów. Jednak wszystkie działające u nas lotniska są publiczne – zarządzane przez państwową spółkę PPL (podległą rządowi) albo spółki kontrolowane przez samorządy wojewódzkie. Polityków różnych szczebli ten lotniczy sukces Polski najwyraźniej zaskoczył. Za ich zaniechania płacimy wszyscy – czasem i nerwami. ■

eprasa.pl 3c38c03389

Mural w Guadalajarze, jednym z meksykańskich miast, w którym zostaną rozegrane mundialowe mecze

Trzy razy naj

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Upał, wojny, polityka, wielkie pieniądze – wokół rozpoczynającego się właśnie mundialu dzieje się tyle, że nie wiadomo, czy starczy miejsca na samą piłkę.

Niektóre bilety na finał, który odbędzie się 19 lipca na stadionie MetLife w stanie New Jersey, kosztowały tydzień temu ponad 35 tys. dol. (ok. 127 tys. zł) – i bynajmniej nie w lożach dla VIP-ów ani w sektorach superwidoczności. A gdy Stany Zjednoczone, Kanada i Meksyk zgłaszały potrójną kandydaturę do organizacji mundialu, maksymalna cena biletu na finał miała wynieść 1550 dol.

Nominalna cena miejsca na górnej trybunie – tzn. o kiepskiej widoczności – podczas inauguracyjnego meczu reprezentacji USA z Paragwajem wyniosła niemal 2 tys. dol. Cena za luksusową lożę na ten sam mecz osiągnęła podobno 112 tys. dol. (podaję tę informację za jedną z hiszpańskich gazet). Kilka dni temu na platformie odsprzedaży ceny biletów na mecz Holandia–Japonia wynosiły 800 dol. (najtańszy) i 7,5 tys. (najdroższy). Na platformie światowej federacji piłkarskiej FIFA za mecz Brazylia–Maroko trzeba zapłacić 6,4 tys. dol. za dwie ostatnie wejściówki, bo pojedynczej system nie pozwalał kupić.

Zaskakują nie tylko ceny, ale też system sprzedaży. FIFA wdrożyła model cen dynamicznych, które zmieniają się w czasie rzeczywistym w zależności od popytu (tak jak ceny biletów lotniczych). Prezes FIFA Gianni Infantino broni takiego rozwiązania, argumentując, że ze względu na potężny rynek odsprzedaży biletów w USA trzeba dostosowywać cenę początkową do wartości, jaką kibice i tak zapłaciliby na platformach wtórnej sprzedaży. Ale to nie koniec. Oficjalna platforma odsprzedaży biletów FIFA pobiera 15 proc. prowizji zarówno od kupującego, jak i od sprzedającego.

Dziennikarze BBC, którzy w kwietniu próbowali rozgryźć ten system, stwierdzili, że nie da się tego zrobić, bo często brakowało

eprasa.pl 3c38c03389

informacji o taryfach i liczbie miejsc dostępnych w każdej z kategorii biletowych. Trudno było też stwierdzić, czy wcześniej była dostępna większa liczba miejsc w tańszych kategoriach. Gdy FIFA ogłaszała sprzedaże *last minute*, nie podawała z wyprzedzeniem informacji ani o cenach, ani o dostępności biletów na konkretne mecze. Obciążenie platform sprzedaży tworzyło wielogodzinne kolejki.

Jakiś czas temu na rynku meksykańskim agencje turystyczne oferowały pakiety na finał obejmujące bilet lotniczy z Meksyku do Nowego Jorku, czterodniowy pobyt i wejściówkę na mecz pierwszej kategorii. Cena: 19,6 tys. dol. Przy dzisiejszej cenie na platformie FIFA wygląda to jak niemal okazja.

Kasa

Bilety wstępu na każdy mecz – nie licząc kategorii VIP-owskich – są podzielone na cztery kategorie: numer jeden oferuje najlepszą widoczność; numer cztery – najgorszą. W porównaniu z poprzednim mundialem w Katarze ceny w najwyższej kategorii wzrosły średnio o 180 proc. A skok cenowy między mistrzostwami w Rosji w 2018 r. a tymi w Katarze w 2022 r. wyniósł średnio zaledwie 19 proc.

Jednak kategorią cenową, która ucierpiała najbardziej, jest czwarta, czyli ta dostępna dla najmniej zamożnych (ubodzy raczej nie wybierają się na stadiony). Jak policzyli reporterzy hiszpańskiego dziennika „El País", zmiana wynosi aż 476 proc., biorąc pod uwagę średnią cen. W Brazylii (w 2014 r.), Rosji i Katarze bilety czwartej kategorii były rezerwowane dla lokalnych mieszkańców. Obecnie ani Meksykanie, ani obywatele USA i Kanady nie mogą skorzystać z tego przywileju. Praktykę tę potępił burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani, który nie tylko domagał się wprowadzenia górnego limitu cenowego, ale też apelował do FIFA o przyznanie preferencji mieszkańcom miasta, by miejscowi mogli pojawić się na trybunach.

Relacje FIFA a miasta gospodarze mundialu to temat sam w sobie. Wysokie ceny wpływają na strukturę publiczności i gospodarkę metropolii. Opublikowany w maju raport Amerykańskiego Stowarzyszenia Hoteli i Zakwaterowania dowodzi, że blisko 80 proc. ankietowanych w miastach organizujących mecze jest zawiedzionych niższą od oczekiwań liczbą rezerwacji hotelowych. Szacuje się, że podróżni krajowi przewyższą liczebnie zagranicznych, co budzi niezadowolenie prowadzących lokalne biznesy w dzielnicach sąsiadujących ze stadionami. Turyści z zagranicy zawsze wydają spore pieniądze na hotele, restauracje i sklepy w okolicy, tymczasem mieszkańcy kraju oszczędzają i szukają lokum w tańszych, bardziej oddalonych dzielnicach (a czasem nocują u rodziny i znajomych).

Lobbing

Mundial w USA, Meksyku i Kanadzie zrodził się ze związku Gianniego Infantina, prezesa FIFA, z prezydentem Donaldem Trumpem – i grzechu pierworodnego, który ma wiele powszechnie znanych imion: nielegalny lobbing, łamanie zasad, więcej niż prawdopodobna korupcja. W czasie swojej pierwszej kadencji – akurat wtedy, gdy FIFA wybierała gospodarzy obecnego mundialu – Trump słał do Infantina listy, w których zapewniał, że restrykcje imigracyjne, z jakich słyną Stany (w szczególności za jego rządów), nie zepsują imprezy.

Jak twierdzą znawcy, wszystko to rozgrywało się w mętnej aurze zakulisowego lobbingu i poufnych negocjacji, a ponadto złamane zostały zasady samej FIFA. Artykuły 15. i 23. statutu światowej federacji piłkarskiej bowiem stanowią, że zarówno krajowe związki piłkarskie, jak i konfederacje muszą „być neutralne w kwestiach politycznych i religijnych" oraz „być niezależne i unikać wszelkich form ingerencji politycznej". Tymczasem – jak donosiła amerykańska prasa – Jared Kushner, doradca Białego Domu, a prywatnie zięć Trumpa, prowadził działania lobbingowe ręka w rękę z dyrektorem wykonawczym kandydatury „United Bid", tj. trzech krajów gospodarzy mistrzostw.

W prasie padały milionowe kwoty, jakie wydano na spotkania lobbystów z prezesami 150 spośród 211 federacji piłkarskich zrzeszonych w FIFA. Opisując relacje między menedżerami federacji piłkarskiej i administracją Trumpa, magazyn „New Republic" sugeruje, że może to być „najbardziej korupcyjny" mundial w historii. Z kolei według FIFA ma to być najbardziej dochodowy turniej w historii. Równo rok temu Infantino sugerował, że impreza przyniesie gospodarce USA 50 mld dol. zysku z inwestycji i 300 tys. miejsc pracy. Trump długo przed mistrzostwami ogłosił, że będzie to „największy, najbezpieczniejszy i najbardziej niezwykły turniej piłkarski w historii".

Na pewno niezwykły jest spektakl lizusostwa, jaki odegrał przed Trumpem prezes FIFA. Gdy Trump snuł fantazje o stworzeniu riwiery turystycznej na gruzach Strefy Gazy, Infantino pospieszył ze wsparciem. A gdy Trump wypadł z wyścigu o pokojowego Nobla, Infantino wręczył mu nagrodę FIFA „za niestrudzone wysiłki na rzecz promowania pokoju". Niecały miesiąc później „prezydent pokoju" wysłał siły specjalne, by porwały przywódcę Wenezueli Nicolasa Maduro i groził inwazją na Grenlandię. Na początku mundialowego roku dokonał ponownej agresji na Iran (pierwsza miała miejsce w połowie 2025 r., zanim został „prezydentem pokoju").

Jak napisał brytyjski historyk i socjolog sportu Alan Tomlinson, „kontrola, jaką Trump sprawuje nad światowym futbolem, może się wydawać sprawą drugorzędną w porównaniu z brutalnością agencji ICE (ds. imigracji – przyp. red.) czy ofensywą przeciw Wenezueli", jednak także w kwestii piłki nożnej Trump pokazał, że potrafi „zdegradować wszystko, czego się dotknie – w tym przypadku najpiękniejszą grę świata".

Polityka

Piłkarskie mundiale zawsze służyły politykom do manipulowania opinią publiczną. W 1970 r. rządzący w Brazylii generałowie szczycili się zwycięstwem reprezentacji, sugerując, że Pele i oni to jedno. W 1978 r. argentyńska junta próbowała zagłuszyć krzyki tysięcy torturowanych wrzawą dochodzącą ze stadionów. W 1986 r. Argentyna zrewanżowała się Anglii za porażkę w wojnie o Falklandy-Malwiny. W 1990 r. zwycięstwem reprezentacji cieszyli się wszyscy Niemcy – kilka miesięcy po rozebraniu muru berlińskiego. W 2018 r. protesty części demokratycznego świata wywoływał mundial w Rosji, ostatecznie jednak bojkotu nie było.

Rozpoczynające się teraz mistrzostwa odbywają się w czasie kilku toczących się wojen: rosyjsko-ukraińskiej, amerykańsko-irańskiej, Izraela z Palestyńczykami, Libanem i Iranem. Od miesięcy Trump szykuje się do „przejęcia" Kuby – cokolwiek to oznacza. Czy za pomocą mundialu „prezydent pokoju FIFA" zechce przykryć jeszcze jedną agresję?

Na mundialu nie zagrają reprezentacje Izraela, Palestyny, Libanu, Wenezueli ani Kuby. Ale zagrają Irańczycy – na boiskach Los Angeles i Seattle (na zachodnim wybrzeżu żyje duża ▶

© ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3c38c03389

▶ irańska diaspora). Trump próbował zniechęcić irańskich piłkarzy do przyjazdu: mówił wprawdzie, że są „mile widziani", ale po chwili dodawał: „nie sądzę, żeby ich obecność była właściwa ze względu na ich życie i bezpieczeństwo".

Piłkarska federacja Iranu sugerowała wycofanie się z imprezy, potem naciskała na przeniesienie meczów reprezentacji do Meksyku, ale zaoponował sam Infantino. Po konsultacjach z Trumpem prezes FIFA oświadczył, że „Iran się zakwalifikował. To kraj, który kocha futbol. Chcemy, żeby zagrali, i Iran zagra na mundialu".

Społeczne napięcia wokół mistrzostw prowokuje agencja ICE. Mimo zapewnień, że jej pracownicy nie będą się pojawiać na meczach ani okołomundialowych imprezach, agencja przeprowadzała w tym roku obławy m.in. w Inglewood na obrzeżach Los Angeles, gdzie będą rozgrywane mecze. Okoliczni mieszkańcy, których większość to Latynosi, obawiają się, że mundial nie zatrzyma polowań na ludzi o ciemniejszym kolorze skóry.

Związek zawodowy UNITE HERE! Local 11, zrzeszający pracowników stadionu SoFi w Inglewood, m.in. kucharzy, kelnerów i personel pomocniczy, zażądał od administracji stadionu i od FIFA ograniczenia dostępu ICE do obiektu. Przypomniał też członkom, że jeśli ICE pojawi się w ich miejscu pracy, mają prawo przerwać wykonywanie obowiązków i udać się do domu. Strajku nie było, ale podobno cały czas wisi w powietrzu.

Związkowcy zarzucają pracodawcy, że podczas procesu ich akredytacji FIFA dzieliła się wrażliwymi danymi z departamentem bezpieczeństwa, m.in. numerami ubezpieczenia społecznego, adresami zamieszkania, informacjami o kraju urodzenia. Związek wraz z zacną Amerykańską Unią Swobód Obywatelskich (ang. skrót ACLU) zwróciły się do prokuratora generalnego Kalifornii o zbadanie sprawy. Niepotrzebne gromadzenie danych obywateli prawnik ACLU uznał za przewinienie zasługujące na czerwoną kartkę.

Klimat

Mundial w USA, Meksyku i Kanadzie nie jest pierwszy w dobie zmian klimatycznych, ale po raz pierwszy zaczęto analizować granice ryzyka, jakie stworzą dla piłkarzy i kibiców wysokie temperatury.

Badanie World Weather Attribution (WWA) sugeruje, że jedna czwarta meczów (26 ze 104) zostanie rozegrana w warunkach niebezpiecznych dla zdrowia piłkarzy, a niekiedy też dla kibiców na stadionach. W trakcie tych 26 meczów prawdopodobnie przekroczona zostanie temperatura 26 st. C WBGT. Ten skrótowiec – Wet Bulb Globe Temperature – odnosi się do jednostki stosowanej w sporcie do pomiaru stresu termicznego wywołanego upałem. Pomiar WBGT uwzględnia nie tylko temperaturę powietrza, ale także wilgotność, promieniowanie słoneczne i prędkość wiatru. Podczas pięciu spotkań wskaźnik ten ma przekroczyć 28 st. WBGT, co według jednego z ekspertów odpowiada 38 stopniom suchego upału lub 30 stopniom przy wysokiej wilgotności.

W najgorszym położeniu jest reprezentacja Portugalii – istnieje 80-procentowe prawdopodobieństwo, że jej trzy mecze w fazie grupowej mundialu zostaną rozegrane w warunkach przekraczających granicę 26 st. WBGT.

Z powodu spodziewanych upałów we wszystkich meczach zastosowane będą trzyminutowe przerwy na schłodzenie w połowie każdej z dwóch części gry – odpowiednio ok. 22. i 67. minuty meczu. Organizowanie meczów w porze dziennego szczytu upałów FIFA uznała za konieczne, by dopasować się do międzynarodowych ramówek telewizyjnych – inaczej mecze rozgrywane wieczorem czasu USA, Meksyku i Kanady (takie też będą, choć niewiele) przypadałyby na środek nocy w Europie, gdzie znajduje się najbardziej dochodowa dla stacji telewizyjnych widownia. Szacuje się, że z tytułu praw do transmisji FIFA zainkasuje 3,9 mld dol.

Niektórzy podejrzewają, że decyzja o przerwach na nawodnienie ma tło ekonomiczne. Sześć minut – dwa razy trzy – o które wydłuża się transmisja, to dodatkowy blok reklamowy o wysokiej oglądalności. Cena czasu reklamowego będzie się różnić w zależności od meczu; najwyższe szacunki za 30-sekundowy spot podczas finału wynoszą 500 tys. euro (ponad 2 mln zł) – zapewne w trakcie jednej z przerw na nawodnienie.

Piłka

To może w końcu o samych rozgrywkach? Po raz pierwszy na mundialu zagra 48 drużyn (wcześniej grały maksymalnie 32). Zadebiutują cztery: Uzbekistan, Jordania, Republika Zielonego Przylądka i Curaçao. Do najmocniejszych należą obrońcy tytułu, czyli Argentyna (wciąż z najlepszym piłkarzem wszech czasów Lionelem Messim na pokładzie), Hiszpania, Francja, coraz lepsza Anglia i być może osobliwy czarny koń turnieju – Brazylia pod batutą Włocha Carla Ancelottiego. Nazwanie Brazylii czarnym koniem może się zdawać pomyłką – to kraj mający największą liczbę triumfów mundialowych (pięć!), niemniej ostatni puchar świata zdobył ćwierć wieku temu.

A co zobaczymy na boiskach? Futbol ewoluuje, coraz większą rolę odgrywają detale kreowane m.in. z wykorzystaniem zdobyczy nauki – analiza gry w poszczególnych fragmentach boiska, czas reakcji zawodników liczony w ułamkach sekund, dieta, przygotowanie fizyczne, emocjonalny coaching, działania motywacyjne.

Korzystanie ze wszystkich tych narzędzi niekoniecznie determinuje styl gry. Uogólniając, na boiskach zderzają się dziś dwa dominujące (i ich mieszane warianty), a doskonale ilustrują je kluby, które rozegrały 30 maja finał europejskiej Ligi Mistrzów: Arsenal Londyn i Paris Saint-Germain (oraz ich trenerzy: Mikel Arteta i Luis Enrique).

Enrique stawia na kontrolowaną spontaniczność. Arteta – na dominację. Pierwszy preferuje wolność i improwizację, drugi – precyzję i strukturę. Dla Enrique'a mecz jest kontrolowanym pożarem. Dla Artety – partią szachów. Styl Enrique'a stawia na swobodne zmienianie pozycji, agresywne atakowanie, kreowanie sytuacji nieprzewidywalnych. Zachęca piłkarzy do słuchania własnego instynktu, co zawsze wiąże się z pewnym ryzykiem. Arsenal Artety znajduje się na antypodach: gra tak, by kontrolować przestrzeń, tłumić w zarodku próby ataku rywali, minimalizować ryzyko.

Choć finał w Budapeszcie wygrało PSG, nie da się powiedzieć, który styl okazał się bardziej skuteczny – w meczu padł remis, a do rozstrzygnięcia konieczne były rzuty karne, czyli w pewnym sensie łut szczęścia.

W piłce mundialowej zazwyczaj więcej jest improwizacji i ognia – prawdopodobnie dlatego kibice tak bardzo kochają ten turniej. Oby tylko Trump nie dolał do ognia w polityce światowej jakiejś benzyny, bo wtedy skończy się piłkarska fiesta. I zamiast emocjonowania się rywalizacją na boiskach, będziemy musieli robić to, co Trump kocha najbardziej – zwrócić wzrok na to, co mówi i robi; po prostu na niego.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

eprasa.pl 3c38c03389

Izraelczycy nie chcą państwa palestyńskiego, sami Palestyńczycy już w nie zwątpili. Mimo to jest szansa, że powstanie – w Strefie Gazy, za cenę Zachodniego Brzegu.

Palestyna jak winogrona

AGNIESZKA ZAGNER Z RAMALLAH I JEROZOLIMY

„Będziemy nadal zabijać ideę państwa palestyńskiego" – ogłosił niedawno izraelski minister Becalel Smotricz. I w związku z tym rząd Izraela zmienia szereg przepisów obowiązujących na Zachodnim Brzegu Jordanu. Ułatwił już sprzedaż palestyńskiej ziemi (w domyśle – Żydom). Zapowiada też, że pod pretekstem wykopalisk będzie można wywłaszczać tych, którzy nie chcą sprzedać. Ze względu na zanieczyszczenia możliwe będzie zamykanie składowisk odpadów bez tworzenia nowych. Łatwiejsze stanie się plombowanie studzienek, co uderzy głównie w 115 tys. rodzin utrzymujących się z rolnictwa. W praktyce skutki odczują wszystkie palestyńskie rodziny na Zachodnim Brzegu, a tych jest ok. 700 tys.

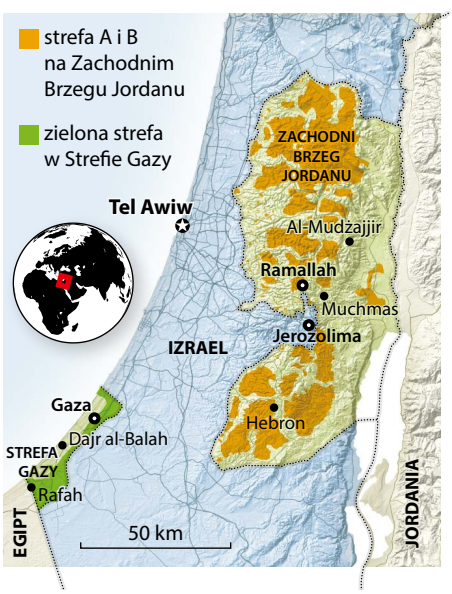

Nowe przepisy w oczywisty sposób łamią porozumienia z Oslo z 1993 r., bo zgodnie z nimi w tzw. strefie A i B (palestyńskie miasta i wsie je okalające) Izrael nie ma w zasadzie nic do powiedzenia w sprawach cywilnych. Ale to nie koniec zmian, bo izraelski rząd chce również oddać prawo do wydawania uprawnień budowlanych – dotychczas w gestii samorządu w Hebronie – w ręce wojska. W Hebronie ma też powstać niezależny samorząd dla żydowskiego osiedla, by jego mieszkańcy nie musieli podlegać palestyńskim strukturom.

Zaczynamy wojnę

Zachodni Brzeg i bez tego jest niestabilny. W ostatnich miesiącach nasilają się ataki na Palestyńczyków, na porządku dziennym są podpalenia, kradzieże owiec czy po prostu akcje z bronią w ręku. Przed miesiącem izraelscy osadnicy ostrzelali szkołę w Al-Mudżajjir, ok. 30 km od Ramallah, zginęły dwie osoby. Na jednym z nagrań widać, jak strzały oddaje też jeden z izraelskich żołnierzy.

W styczniu ok. 20 żydowskich osadników napadło na beduińską wioskę ▶

© NASSER ISHTAYEH/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3c38c03389

▶ Muchmas, pobili mieszkańców i puścili z dymem cały ich dobytek. Spalonych konstrukcji nie pozwolono odbudować, bo Izrael uznał, że to teren wojskowy. A w internecie można znaleźć nagrania z piosenką wychwalającą kolejne podpalenie Muchmas: „Idziemy do wiosek/ Podpalamy, mordujemy i zaczynamy wojnę/ Rozlega się alarm i wszyscy się zbierają; zaczyna się impreza".

Palestyńczycy uważają, że osadnicy wydali im wojnę, bo chcą ich wypędzić z Zachodniego Brzegu. – *Chciałem zacisnąć zęby i wytrzymać, ale z miesiąca na miesiąc jest tylko gorzej, chcę jak najszybciej stąd wyjechać* – mówi Mohammed z Ramallah, który wraz z rodziną prowadzi podupadający sklep z odzieżą. Przez portal randkowy poznał właśnie dziewczynę ze Słowacji i niedługo przeprowadza się do niej.

O ile przed wybuchem wojny w 2023 r. chęć wyjazdu z Zachodniego Brzegu zgłaszał co piąty Palestyńczyk, teraz już co czwarty – i co trzeci z wyższym wykształceniem. Nie oznacza to oczywiście, że dojdzie do exodusu – ani państwa europejskie, ani Stany Zjednoczone nie przyjmują Palestyńczyków z otwartymi ramionami.

Od 2023 r. na Zachodnim Brzegu i we wschodniej Jerozolimie zginęło już ponad 1090 osób, a tylko w styczniu ze swoich domów musiało uciekać – najczęściej pod bezpośrednią presją osadników – 700 osób. Nie dziwi więc, że aż 60 proc. palestyńskich mieszkańców Zachodniego Brzegu nie wierzy w powstanie Palestyny. Tylko co piąty Izraelczyk popiera rozwiązanie dwupaństwowe, a 36 proc. jest za aneksją.

Pilotaż Gaza

Czy to oznacza, że idea dwóch państw została już pogrzebana? Ali Dżarbawi jest politologiem i byłym ministrem w rządzie Autonomii Palestyńskiej. Uważa, że kluczowy dla zrozumienia tej sytuacji jest tzw. plan Trumpa dla Strefy Gazy, zaprezentowany przy okazji listopadowego zawieszenia broni. – *Palestyński środek ciężkości już przesunął się z Zachodniego Brzegu do Gazy. Komitet palestyńskich technokratów, który zgodnie z planem Trumpa ma tam zarządzać, na razie sprawia wrażenie marionetkowego rządu, bo decyzje i tak będzie podejmować Rada Pokoju, to ona dysponuje też pieniędzmi. Z czasem jednak to ten komitet może stać się główną władzą palestyńską* – przekonuje Dżarbawi.

O takim scenariuszu świadczy choćby to, że zarówno Izrael, jak i władze Autonomii w Ramallah próbują na różne sposoby torpedować wspomniany 15-osobowy „komitet technokratów". Izrael blokuje jego wjazd do Gazy. Co prawda premier Beniamin Netanjahu ugiął się i otworzył przejście graniczne w Rafah, ale ruch jest tam symboliczny. Podobnie zachowuje się Egipt, który raczej myśli o wypchnięciu Palestyńczyków z kraju.

Jednocześnie Izrael szczegółowo sprawdza powracających do Gazy. Według ich relacji są przewożeni z przejścia granicznego na posterunek przez uzbrojonych członków palestyńskiej milicji Jasera Abu Szababa, zabitego w klanowym sporze w grudniu 2025 r. Izrael od dawna korzysta z jej pomocy, by znaleźć przeciwwagę dla Hamasu. Tylko że nie cieszy się ona zaufaniem Palestyńczyków w Gazie.

Sam palestyński komitet technokratów jest na razie w Egipcie i nie wiadomo, kiedy Izrael zgodzi się na jego wjazd do Gazy i czy wpuści wszystkich jego członków. Problem jest też po stronie palestyńskiej – władze Autonomii się upierają, by komitet zajmował jej biura w Gazie, czemu stanowczo sprzeciwia się Izrael. A Hamas, który deklaratywnie popiera sam komitet i obiecał przekazać mu władzę, również ociąga się z udostępnieniem mu swoich biur.

Słowem, zarówno Hamas, jak i władze w Ramallah robią wszystko, by opóźnić pracę komitetu technokratów, co tylko uwiarygadnia tezę Dżarbawiego. Według izraelskiego dziennika „Haarec" urzędnicy Autonomii się obawiają, że jeśli komitet odniesie sukces, administracja Trumpa spróbuje zastosować ten model na Zachodnim Brzegu, odsuwając Autonomię od władzy. Podobne obawy ma Hamas w Gazie.

Nawet jeśli do tego dojdzie, wciąż nierozstrzygnięta jest kwestia finansowania komitetu, a także zapewnienia mu bezpieczeństwa – według planu Trumpa miałyby się tym zająć siły międzynarodowe. Nie wiadomo jednak, kiedy powstaną ani które państwa ostatecznie wezmą w nich udział. Komitet na czele z Alim Szaatem stanowczo odmawia ochrony ze strony Hamasu czy Abu Szababa, licząc na osłonę międzynarodową.

Cukierek dla Izraela

W ostatnich tygodniach zaczyna się pisać jeszcze jeden scenariusz. – *Negocjacje między mediatorami, Stanami Zjednoczonymi, Egiptem, Katarem, Turcją i Hamasem, zostały zakończone. Amerykanie zgodzili się niemal na wszystko, czego Hamas chciał, w tym na amnestię dla każdego, kto odda broń i włączenie byłych policjantów Hamasu do nowej policji. Ale Hamas ostatecznie się nie zgodził* – mówi Gerszon Baskin, izraelski dziennikarz zaangażowany w wiele negocjacji między Izraelem a Palestyńczykami. – *W związku z tym Amerykanie poinformowali Hamas, że oferta jest już nieaktualna.*

Jego zdaniem Amerykanie nadal pracują nad odbudową Strefy Gazy w części zwanej zieloną strefą. To obszar kontrolowany przez izraelskie wojsko, który stale się poszerza – zaraz po zawieszeniu broni stanowił 52 proc. Strefy, a według najnowszych zapowiedzi Netanjahu wkrótce będzie to już 70 proc. Cel to przeniesienie wszystkich 2 mln Palestyńczyków do zielonej strefy. Mają tam dla nich powstać m.in. tymczasowe osiedla. W pozostałej części Gazy – zwanej żółtą strefą – po weryfikacji mają pozostać wyłącznie ludzie związani z Hamasem. – *Usłyszałem, że potem Izrael będzie mógł zrobić z nimi, „co tylko chce"* – dodaje Baskin.

Jest też optymistyczna wersja tego scenariusza. W planie Trumpa znalazł się zapis o „ścieżce do państwa palestyńskiego w przyszłości". Kryje się za tym przede wszystkim presja Arabii Saudyjskiej i innych państw regionu, by jakoś „kwestię palestyńską" w końcu rozwiązać. – *Trump forsuje projekt „pokoju na zawsze". Żeby jednak to się udało, Izrael musi zaakceptować jakiś palestyński byt* – mówi Dżarbawi, który uważa, że tym „bytem" będzie Strefa Gazy. – *Za jakieś dziesięć lat to właśnie będzie państwo palestyńskie.* Jego zdaniem w takim układzie „cukierkiem" dla Izraela będzie Zachodni Brzeg, pocięty na kawałki i przypominający kiść winogron, czyli siedem największych palestyńskich miast z wianuszkami wsi, połączonych ze sobą „szypułkami" i jedną łodygą – drogowym połączeniem ze Strefą Gazy. Reszta, po wycięciu winogron, będzie oczywiście izraelska.

W tym scenariuszu Gaza przez najbliższe lata będzie pod międzynarodową kontrolą, zostanie odbudowana za pieniądze darczyńców (z dużym udziałem deweloperów powiązanych z rodziną Trumpa). Codziennym administrowaniem zajmą się sami Palestyńczycy, a Hamas zostanie przekształcony w siłę stricte polityczną. Ostatecznie jednak powstaną dwa

eprasa.pl 3c38c03389

Największym poparciem wśród Palestyńczyków cieszy się Marwan Barguti, okrzyknięty „palestyńskim Mandelą", ale odsiaduje pięć kar dożywocia w izraelskim więzieniu

oddzielne palestyńskie terytoria o różnym stopniu suwerenności, przy czym w Gazie będzie jej więcej – to tu ma np. powstać port i lotnisko, o czym Zachodni Brzeg może tylko pomarzyć.

Ma to być powrót do idei Icchaka Rabina, który po podpisaniu porozumień w Oslo mówił o palestyńskim „państwie minus". Teraz Netanjahu zamienił to na slogan o „autonomii plus". –*Ruch będzie jednokierunkowy: można przenieść się z Zachodniego Brzegu do Gazy, ale już nie odwrotnie. Wszystko nazwie się „państwem" i świat uzna, że konflikt został rozwiązany* – przewiduje Dżarbawi. – *Tylko że Palestyńczycy nie dostaną tego, o co walczyli od dekad, czyli prawdziwie niezależnego państwa, a jedynie ogryzek.*

Mercedesem po Ammanie

Na razie Palestyńczycy mają jednak przed sobą bliższą perspektywę. Jednym z ważniejszych testów były wybory samorządowe 25 kwietnia na Zachodnim Brzegu i pilotażowo w Dajr al-Balah w Strefie Gazy. Fatah, czyli główna siła polityczna w Autonomii, odniósł „zwycięstwo z gwiazdką", bo Hamas wybory zbojkotował. To za mało, by wyciągać daleko idące wnioski. Jednak szef Szin Bet, agencji bezpieczeństwa wewnętrznego Izraela, spotkał się z szefem Fatahu Mohammedem Dahlanem w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Według pogłosek miał go sondować, czy chciałby zastąpić leciwego Mahmuda Abbasa w roli prezydenta Autonomii. Baskin mówi, że sam spotkał się z Dahlanem w ZEA przed dwoma miesiącami: – *Powiedział mi tak: „Oddałem Palestynie 35 lat życia. Teraz jestem tutaj. To jest moje życie". On nie opuści Abu Zabi.*

Wciąż nie wiadomo też, kiedy odbędą się palestyńskie wybory parlamentarne i prezydenckie, których nie było już od 20 lat, a które zgodnie z planem Trumpa powinny zostać przeprowadzone w ciągu roku od wejścia w życie zawieszenia broni w Gazie, czyli do listopada. Ostatecznie może się okazać, że „komitet technokratów" będzie dla wszystkich wygodniejszym rozwiązaniem niż np. ryzyko kolejnego zwycięstwa wyborczego Hamasu. Według sondażu Palestyńskiego Centrum Badań Politycznych i Ankietowych wprawdzie 60 proc. Palestyńczyków nie wierzy, że te wybory się odbędą, ale jednocześnie to Hamas cieszy się większym poparciem niż Fatah (44 do 30 proc.). Poparcie dla Hamasu jest wyższe w Gazie (49 proc.) niż na Zachodnim Brzegu (32 proc.).

Samer Sinidżlawi, palestyński polityk związany z rządzącym Autonomią Palestyńską Fatahem, a jednocześnie jeden z największych jego krytyków: – *Palestyńczycy chcą nowej jakości w polityce, bo stare elity ich zawiodły. Prezydent Autonomii Mahmud Abbas, którego przed 20 laty nie stać było na porządny garnitur, dziś nosi włoską ekskluzywną markę Brioni, jego wnuki w Ammanie jeżdżą opancerzonymi Mercedesami klasy G. Ludzie mają już tego dosyć.*

Widać to w sondażach. Aż 80 proc. badanych domaga się rezygnacji Abbasa, popiera go dziś zaledwie 13 proc. respondentów. Największym poparciem wśród Palestyńczyków cieszy się Marwan Barguti, okrzyknięty „palestyńskim Mandelą", ale odsiaduje pięć kar dożywocia w izraelskim więzieniu. Mimo że Izrael wypuścił ostatnio ok. 500 palestyńskich więźniów z dożywotnimi wyrokami, Bargutiego wypuścić nie chce.

Cygaro z mlekiem

Alon Liel, były dyrektor generalny izraelskiego MSZ, poznał Bargutiego podczas rozmów pokojowych w Oslo i uważa, że powinien zostać zwolniony: – *Jako ambasador w RPA osobiście poznałem też samego Mandelę i porównania między nimi są uzasadnione* – uważa Liel. – *Marwan ma charyzmę, cieszy się zaufaniem większości Palestyńczyków i daje nadzieję, że pod jego rządami w końcu moglibyśmy osiągnąć jakiś przełom, a przynajmniej wstęp do rozmów pokojowych.*

Na jego wyjście z więzienia na razie się jednak nie zanosi, co zdaje się być także na rękę władzom Autonomii. Zdaniem Sinidżlawiego Palestyńczycy potrzebują kogoś na miarę izraelskiego Ben-Guriona, prawdziwego przywódcy, który zrozumie, że w polityce osiąga się rzeczy możliwe, a nie idealne. – *Palestyńczycy ostatecznie muszą wybrać między rozwiązaniem dwupaństwowym a prawem powrotu* (na ich ziemie zajęte przez Izrael – przyp. red.). *Nie da się mieć obu* – dodaje Sinidżlawi. Jako nastolatek rzucał kamieniami na uliczkach Jerozolimy w izraelskich żołnierzy, za co został aresztowany. Pięć lat przesiedział w ośrodku dla nieletnich, potem w więzieniu, gdzie nauczył się hebrajskiego. Już na wolności został szefem młodzieżówki Fatahu, nawiązał kontakty z młodzieżówkami izraelskich partii, z którymi do dziś ma doskonałe relacje.

Rozmawiamy w jednym ze znanych arabskich hoteli we wschodniej Jerozolimie. Sinidżlawi pali grube kubańskie cygaro, popijając je mlekiem. – *Nowa palestyńska władza musi uznać historyczne prawa Żydów do tej ziemi, co nie oznacza negowania naszego prawa do istnienia* – przekonuje. I dodaje, że choć Żydzi są na tej ziemi od 3,5 tys. lat, to nigdy nie byli tu sami.

AGNIESZKA ZAGNER

© FREDERIC SOLTAN/CORBIS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3c38c03389

Najstarsza demokracja

80. urodziny Donalda Trumpa są symbolem waszyngtońskiej gerontokracji. Ale władza starców wcale nie oznacza, że wszyscy amerykańscy 80-latkowie mają się dobrze.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Za kilka dni, 14 czerwca, 80 lat kończy Donald Trump. Był najstarszym w dziejach Stanów Zjednoczonych prezydentem w chwili inauguracji, a czeka nas jeszcze dwa i pół roku jego rządów. Przed urodzinami przeszedł serię badań lekarskich, które – jak sam ogłosił – wykazały, że cieszy się „doskonałym" zdrowiem. Nie ujawniono jednak szczegółów, co wzbudziło podejrzenia, że i w tej sprawie nie należy mu wierzyć.

W ciągu ostatnich 13 miesięcy Trump odbył już trzecią serię medycznych testów. Częstotliwość taka to w zasadzie rutyna u pacjentów w starszym wieku. Jednak sygnały, że Trump wcale nie czuje się świetnie, mnożą się od dawna. Spuchnięte nogi (objaw niewydolności żylnej), siniaki na rękach (podobno od przedawkowania aspiryny) oraz oznaki przysypiania (zamknięte oczy) na spotkaniach w Białym Domu potwierdzałyby, że coś jest nie tak. Telewizyjni eksperci orzekli, że ryzyko raka u niepijącego i niepalącego prezydenta jest niskie, ale ponieważ ma nadwagę i unika ćwiczeń fizycznych – gra w golfa raczej się nie liczy – grożą mu choroby serca. Mogłyby to wykazać próby wysiłkowe, badania arterii itp., ale nie wiemy nawet, czy je przeprowadzono.

Trump jest już drugim 80-latkiem w Białym Domu. Jego poprzednik Joe Biden starzał się wyraźnie: mówił coraz ciszej, jakby z trudem, poruszał się sztywno i wykazywał oznaki mentalnej degradacji. Jego personel przekonywał, że wszystko jest w porządku, a Biden się uparł, że będzie walczyć o reelekcję. Dopiero fatalna debata telewizyjna z Trumpem zmusiła Partię Demokratyczną do gorączkowego poszukiwania alternatywy (co skończyło się klęską Kamali Harris).

Trump szokuje w inny sposób. Grozi Iranowi „totalnym" zniszczeniem, a wulgarne tyrady pod adresem irańskich przywódców kończy histeryczno-sarkastycznym „chwała Allahowi". Po śmierci amerykańskich prominentów, którzy zaszli mu za skórę, nie ukrywa satysfakcji. A w nocy, zamiast spać, rozsyła w sieci cudze lub własne obelgi, kłamstwa i nonsensy. Eskalacja tego słowotoku skłoniła komentatorów do spekulacji, że prezydent traci samokontrolę, jest niezrównoważony i może wymagać leczenia psychiatrycznego, co uzasadniałoby pozbawienie go władzy na mocy 25. poprawki do konstytucji.

Nie znaczy to jednak, że Trump się zmienia. Taki był zawsze, a nasilenie zachowań sprzecznych z normami sprawowanego urzędu, o przyzwoitości nie wspominając, wynikać może z zaostrzających się na starość wad osobowości. Oraz z poczucia bezkarności, ponieważ dziś – inaczej niż w pierwszej kadencji, gdy „dorośli" w Białym Domu mitygowali jego szaleństwa – otaczają go wyłącznie posłuszni potakiewicze. Popisy Trumpa i wcześniejsze doświadczenia z Bidenem sprawiły, że 67 proc. Amerykanów – jak wynika z sondażu Pew Research Center – opowiada się dziś za uniemożliwieniem pełnienia urzędu prezydenta po osiemdziesiątce.

Amerykańscy politycy w podeszłym wieku dominują także w Kongresie. Przywódca republikańskiej większości w Senacie John Thune ma 65 lat. Jego demokratyczny kolega, lider mniejszości Chuck Schumer – 75 lat. A przewodniczący kluczowych komisji w Senacie, spraw zagranicznych i sił zbrojnych: Jim Risch i Roger Wicker, odpowiednio 83 i 74 lata. Średnia wieku senatorów (znacznie po 60)

eprasa.pl 3c38c03389

© ROBERTO SCHMIDT/GETTY IMAGES (2), NATHAN HOWARD/GETTY IMAGES

i kongresmenów (prawie 60) zdecydowanie przekracza medianę wieku w USA – 39 lat. Na ogół starsi od statystycznego Amerykanina są także członkowie legislatur stanowych i władz sądowniczych.

Wynika to ze specyfiki amerykańskiego ustroju politycznego, który faworyzuje władzę osób podstarzałych. Ordynacja wyborcza sprzyja zachowaniu raz zdobytych stanowisk. Manipulacja granicami okręgów wyborczych (*gerrymandering*) powoduje, że wybory z reguły wygrywają urzędujący już politycy, a wskutek braku limitu kadencji wielu z nich pozostaje na tych stanowiskach dożywotnio. Podobnie bywa w prywatnych korporacjach, gdzie po zniesieniu obowiązku przechodzenia na emeryturę w określonym wieku (limit ten był w USA niejednolity) wielu menedżerów zachowuje posady do późnej starości.

Dominacja starszych przywódców, wyłanianie elit kierowniczych w procesie stopniowego awansu – to rzecz niby normalna w społeczeństwie od dziesięcioleci unikającym rewolucji i innych historycznych wstrząsów. Pojawiają się jednak głosy, że nie wychodzi to na dobre demokracji, zwłaszcza że rosnącej przewadze wpływów starszego pokolenia towarzyszy stały wzrost nierówności dochodów i majątków. Alarm podniósł m.in. profesor Uniwersytetu Yale Samuel Moyn, którego zdaniem w Ameryce umacnia się gerontokracja. I to niekoniecznie w interesie starszego pokolenia.

Ameryka się starzeje. 18 proc. mieszkańców, czyli ok. 60 mln ludzi, ma ponad 65 lat, a według prognoz demograficznych w połowie stulecia obywatele 65+ będą stanowić 22–23 proc. społeczeństwa. Dzięki postępom medycyny i niskiej (choć nie aż tak jak w Europie) stopie urodzeń rośnie też odsetek 70- i 100-latków. Jednak średnia długość życia w USA – 79 lat (81,4 dla kobiet i 76,5 dla mężczyzn) – obniżyła się nieco podczas pandemii i jest niższa o kilka lat niż w większości porównywalnych krajów wysoko rozwiniętych.

Dlaczego? Europejskie miasta pamiętają wycieczki turystów z USA, grupy uśmiechniętych starszych pań i panów, którzy wcześniej, pracując, nie mogli się wyrwać na dłuższe urlopy – inaczej niż Europejczycy – i dopiero na emeryturze naprawdę odpoczywali. Inni, mniej ciekawi świata, spędzali jesień życia, podróżując po kraju albo kołysząc się na bujanym fotelu na ganku swego domu. Dziś to obrazki rzadsze. Na moim osiedlu w Bethesdzie na przedmieściach Waszyngtonu zamieszkanym przez „średniaków", w tym starszych przedstawicieli *middle class*, nie widać, żeby ci ostatni oddawali się słodkiej bezczynności.

Allen Goldberg, emerytowany agent handlu nieruchomościami, od kilku lat wyprowadza co dzień na spacery psy moich sąsiadów i opiekuje się moim czworonożnym przyjacielem, kiedy wyjeżdżam. Nadal jest też aktywny zawodowo, załatwiając umowy o sprzedaż lub najem mieszkań swoim dawnym klientom. Mój partner tenisowy James Earle, 73-letni inżynier IT, po latach spędzonych w IBM i Microsofcie dorabia sobie doradztwem i mówi, że chciałby pracować więcej.

Cathy Herzog, 75 lat, haruje na pełnym etacie jako menedżerka we własnej firmie prowadzącej rachunkowość przedsiębiorstw użyteczności publicznej i inwestorów budowlanych. Pracuje nawet w weekendy w domu, bo musi się odkuć za utratę oszczędności życia po kryzysie finansowym w 2008 r. Jak miliony Amerykanów, wpadła wówczas w długi wskutek spadku ceny swego mieszkania poniżej wartości zaciągniętej pożyczki hipotecznej. Tylko 91-letnia Dawn Stevens (imię i nazwisko zmienione), emerytowana biochemiczka z Narodowego Instytutu Raka, sąsiadka z mojego segmentu, nie pracuje. Za to codziennie spaceruje po osiedlu, bo ruch to w podeszłym wieku klucz do zachowania dobrej kondycji.

Zatrudnianie osób ponad 65-letnich było kiedyś w USA rzadkością, ale dziś ok. 20 proc. Amerykanów w tym wieku i starszych pracuje lub szuka pracy. Pracownicy powyżej 70. roku życia stanowią 6 proc. siły roboczej, a powyżej 80 lat – 4,2 proc. Pracuje 9 proc. osób co najmniej 75-letnich – relatywnie dwa razy więcej niż w 1987 r. Liczba pracujących 80-latków wzrosła od 2022 r. o 24 proc. – to dziś ok. 500 tys. ludzi. Część pracuje w domu, na własny rachunek. Eksperci przewidują, że z czasem zatrudnionych seniorów będzie przybywać.

Wielu starszych Amerykanów pracuje, bo bez tego nie wyobraża sobie życia, zawodowe kariery są nieodłączną częścią ich tożsamości. To przeważnie profesjonaliści, akademicy, osoby na kierowniczych stanowiskach. Pozostają na etatach, ale często szukają nowych okazji i szans. Ageizm – dyskryminacja ▶

eprasa.pl 3c38c03389

▶ seniorów – bywa tu przeszkodą, ale w mniejszym stopniu niż w Europie, gdzie pracodawcy i silniejsze niż w Ameryce związki zawodowe blokują ich zatrudnienie. Bardziej elastyczny w USA rynek pracy umożliwia angaż na pół albo ćwierć etatu; w rezultacie pracuje tu więcej emerytów niż na Starym Kontynencie.

Setki tysięcy amerykańskich emerytów pracuje poza tym ochotniczo – za skromne wynagrodzenie w szkołach, bibliotekach, bankach żywności i fundacjach charytatywnych albo za darmo, pomagając sąsiadom. Generalnie – inaczej niż w Polsce, gdzie przeważająca większość emerytów woli od pracy odpoczywać (POLITYKA 18) – kulturowa tradycja zachęca starszych Amerykanów do wszelkiej zawodowej aktywności.

Coraz więcej seniorów w USA pracuje z prozaicznych, materialnych powodów. Według sondaży większość Amerykanów ma poczucie, że ich oszczędności nie wystarczą na przyzwoite utrzymanie na starość, a 46 proc. twierdzi (badania Federal Reserve), że nie ma żadnych oszczędności – i można im wierzyć, bo zachłanna konsumpcja i życie na kredyt stały się normą w tym niegdyś purytańskim kraju.

Część posiada aktywa na indywidualnych rachunkach emerytalnych. Prawie 90 proc. osób powyżej 65 lat otrzymuje emerytury z państwowego funduszu Social Security, zależne od liczby przepracowanych lat. Jeśli jednak otrzymywane kwoty nie wystarczą, seniorzy pracują. System zachęca zresztą, by pracować dłużej – każdy rok pracy po 67. roku życia wyraźnie zwiększa emeryturę.

Największy problem seniorów to perspektywa finansowej ruiny w razie ciężkiej choroby. W USA nie ma powszechnych ubezpieczeń zdrowotnych finansowanych z podatków, jak w Europie i Kanadzie. Zapewnia je pracodawca, a przepadają po utracie zatrudnienia, chyba że będzie się samemu płacić składkę, którą odprowadzał, czyli około tysiąca dolarów miesięcznie (system COBRA). Na emeryturze trzeba się ubezpieczyć na rynku prywatnych firm asekuracyjnych lub liczyć na federalne fundusze – Medicare dla seniorów albo Medicaid dla osób biedniejszych.

Prywatne ubezpieczenia są drogie, bo astronomiczne ceny usług medycznych w USA dwukrotnie przekraczają analogiczne ceny w Europie. A refundacja kosztów z Medicare nigdy nie jest pełna – zwykle 10–20 proc. trzeba dopłacić z własnej kieszeni. I to nawet wtedy, jeśli miesięcznie i tak przeznacza się dodatkowe setki dolarów na prawo refundacji, np. leczenia ambulatoryjnego, psychiatrycznego albo kosztów leków na receptę.

Amerykańska ochrona zdrowia nie ma sobie równych, jeśli chodzi o ratowanie życia, ale szwankuje w zakresie prewencji i podstawowej opieki medycznej. Z powodu wysokich kosztów mnóstwo biedniejszych ludzi rezygnuje z wizyt u lekarza i ubezpieczeń, licząc, że uniknie najgorszego – to główna tajemnica krótszej w USA przeciętnej długości życia niż w porównywalnych krajach wysoko rozwiniętych.

– *W porównaniu ze starszymi osobami w innych zamożnych krajach Amerykanie wchodzą w wiek emerytalny z większą liczbą chorób przewlekłych, takich jak cukrzyca, choroby serca i nadwaga, które wymagają drogiego często leczenia* – mówi Anastasia Snelling, ekspertka od polityki zdrowotnej z American University. – *W rezultacie finansowy ciężar opieki zdrowotnej na emeryturze bywa ogromny. Nowe, nieoczekiwane choroby mogą zwiększyć te koszty, a ponieważ są one wyższe niż w innych krajach, starsi Amerykanie muszą płacić znacznie więcej z własnej kieszeni.*

Seniorom grozi też niesprawność fizyczna i umysłowa, a więc utrata samodzielności. Mieszkający samotnie Allen Goldberg liczyłby wtedy na brata z Waszyngtonu. Drugi brat nie pomoże, bo chodzi z balkonikiem, a siostrzeńcom Allen nie chce zawracać głowy. James Earle ma gorzej – z siostrą jest skłócony, syn mieszka w Denver, a córka – jak mówi – nie znosi go, odkąd się rozwiódł z jej matką. 91-letnią Dawn Stevens dwaj synowie odwiedzają raz w roku, ale też są daleko: jeden na Florydzie, drugi w Teksasie. Podobnie jak jedyny syn Cathy Herzog, kierowca ciężarówki w Phoenix w Arizonie.

Niezależnie od odległości w razie niesprawności lub przykuwającej do łóżka przewlekłej choroby samotni Amerykanie rzadko mogą, a czasem nawet rzadko chcą polegać na dzieciach i wnukach. Amerykańskim Włochom lub Żydom, jak Goldberg, pomagają liczne zazwyczaj rodziny. Anglosasi jednak wydają się przyzwyczajeni, że najbliższym krewnym nie należy „zawracać głowy", bo mogą oczekiwać wzajemności, a najcenniejsza jest niezależność. Znowu inaczej niż w Polsce – rodziny rzadko poczuwają się do obowiązku opieki nad swymi seniorami. Pozostaje opieka z zewnątrz.

I tu kolejny problem, bo w USA nie ma państwowego systemu długoterminowej opieki nad seniorami w potrzebie. Medicare nie pokrywa kosztów opieki domowej ani instytucjonalnej. Emeryci i ich rodziny zdani są na sektor prywatny, gdzie ceny są astronomiczne. Goldberg płacił 7,5 tys. dol. (ponad 27 tys. zł) miesięcznie za domową opiekę nad swym ojcem. Niezmierne drogie są także prywatne domy „wspomaganego życia", jak można by przetłumaczyć *assisted living houses*. Dom opieki w Potomac w stanie Maryland, w którym na próbę zamieszkała przez miesiąc Dawn Stevens, kosztował ją 6 tys. dol. Nie została na stałe, bo płaci się za wszystkie oferowane tam atrakcje, w tym takie, z których się nie korzysta. W niektórych domach opieki dochodzi poza tym do skandali, np. nadużywania leków psychotropowych, aby wprawiać rezydentów w stan sedacji i bezwolnego posłuszeństwa.

Tymczasem popyt na opiekuńcze usługi rośnie, gdyż wzrasta liczba potrzebujących ich sędziwych Amerykanów. Przybywa np. osób z chorobą Alzheimera, których liczba (według prognozy Population Reference Bureau) podwoi się – z 6 do 13 mln – do połowy stulecia.

Perspektywy zwiększenia udziału państwa w pomocy dla niepełnosprawnych i niesamodzielnych seniorów są nikłe. Emeryci to wyborcy najbardziej aktywni, z nadmiaru czasu najczęściej głosujący, ale ich polityczne wpływy wystarczą tylko dla samego utrzymania Medicare i Social Security w obecnym kształcie, chociaż od lat słychać ostrzeżenia, że wskutek starzenia się Ameryki obu funduszom grozi niewypłacalność.

Krytycy gerontokracji przypominają o nierówności dochodów na korzyść starszych obywateli i sugerują, że blokują oni awans młodym. Jednak główny konflikt w USA nie przebiega według podziałów pokoleniowych – kwitnący sektor high tech to domena młodzieży. Główny konflikt ma charakter polityczny, by nie rzec: klasowy. 80-letni Trump i jego bogaci stronnicy nie przejmują się problemami średniozamożnych i biednych seniorów. Nie muszą, skoro sami ich nie mają.

TOMASZ ZALEWSKI

eprasa.pl 3c38c03389

Jak wyhodowano pomidory, które obniżą ciśnienie nawet przeciwnikom GMO, i dlaczego wciąż jeszcze nie ma ich w Unii Europejskiej, opowiada prof. Hiroshi Ezura, biotechnolog z Uniwersytetu Tsukuba.

Geny w tomacie

MARCIN ROTKIEWICZ: **– Czy ulepszony genetycznie pomidor, opracowany przez pański zespół, można nazwać lekarstwem?**

HIROSHI EZURA: – Raczej traktowałbym go jako formę żywności funkcjonalnej, czyli promującej zdrowie, a nie środek medyczny. W Japonii borykamy się ze znacznym wzrostem chorób związanych ze stylem życia, takich jak otyłość, cukrzyca czy nadciśnienie. Na to ostatnie cierpi niemal połowa naszej populacji, ale opiekę medyczną otrzymuje 30 proc. Dlatego uznałem, że powinniśmy do tego problemu podejść alternatywnymi metodami, czyli m.in. przez codzienną dietę.

Warzywo, o które pana pytam, jest od pięciu lat sprzedawane w japońskich sklepach pod nieco skomplikowaną nazwą „Sicilian Rouge High GABA".

„Sicilian Rouge" to po prostu odmiana pochodząca z Włoch. „High GABA" odnosi się do kluczowej cechy naszego pomidora, który zawiera cztero–pięciokrotnie więcej kwasu gamma-aminomasłowego (GABA). Pełni on m.in. funkcję neuroprzekaźnika w układzie nerwowym – obniżającego ciśnienie krwi, redukującego stres i wspomagającego sen.

Dlaczego wybrał pan akurat ten związek chemiczny?

Z kilku powodów. Liczne badania dowiodły, że GABA wykazuje bardzo konkretne, prozdrowotne działania w ludzkim organizmie – skutecznie pomaga w obniżeniu ciśnienia krwi oraz przyczynia się do zauważalnej poprawy jakości snu. Po drugie, pomidory naturalnie zawierają najwięcej kwasu gamma-aminomasłowego wśród warzyw, jednak wciąż są to ilości ▶

© SANATECH LIFE SCIENCE CO., LTD

eprasa.pl 3c38c03389

Prof. **Hiroshi Ezura** – japoński biotechnolog z Uniwersytetu Tsukuba. Jeden z pionierów stosowania technologii precyzyjnej edycji materiału genetycznego (CRISPR/Cas9) do ulepszania roślin uprawnych. W 2018 r. założył firmę Sanatech Seeds, aby skomercjalizować wyniki swoich badań i wprowadzić na rynek pomidory uzyskane przy użyciu CRISPR/Cas9. Członek Japońskiej Rady Nauki, gdzie zajmuje się problematyką globalnego bezpieczeństwa żywnościowego.

▶ niewystarczające do uzyskania efektów prozdrowotnych, np. obniżania ciśnienia krwi. Po trzecie, GABA jest w Japonii popularną i dobrze znaną substancją. Zanim uruchomiliśmy projekt naszego pomidora, skomercjalizowano ponad 200 różnych produktów spożywczych, które były celowo wzbogacane o ten właśnie składnik. Żeby wprowadzić je na rynek, firmy musiały potwierdzić jego bezpieczeństwo i skuteczność. A japońscy konsumenci zdążyli dobrze go poznać. W praktyce oznaczało to, że nie musieliśmy tłumaczyć opinii publicznej, czym jest GABA, co znacznie ułatwiło akceptację naszego pomidora. W Europie czy Ameryce, gdzie miałem wystąpienia na ten temat, musiałem zaś zaczynać od podstaw.

Ten pomidor został jednak genetycznie zmieniony, by produkować więcej GABA. A takiej żywności nadal boi się spora grupa konsumentów, mimo że naukowcy zgadzają się od dekad, iż samo używanie narzędzi inżynierii genetycznej do ulepszania roślin nie zagraża zdrowiu.

Te obawy dotyczą przede wszystkim żywności klasyfikowanej prawnie jako GMO. Chodzi m.in. o rośliny ulepszone za pomocą transgenezy, czyli metody umożliwiającej kopiowanie genów z jednych organizmów do drugich, i to nawet bardzo odległych ewolucyjnie. Przykładem są odmiany kukurydzy Bt, która sama może się bronić przed szkodnikami dzięki genom pochodzącym od pewnej powszechnie występującej w środowisku bakterii. Pomidor High GABA nie jest jednak GMO, przynajmniej według japońskiego prawa. Uzyskaliśmy go, zmieniając wyłącznie DNA tej konkretnej rośliny, bez dodawania genów skopiowanych z innych organizmów.

Jakiej metody użyliście?

CRISPR/Cas9, czyli narzędzia umożliwiającego bardzo precyzyjne edytowanie DNA. W 2020 r. przyznano za jego odkrycie Nagrodę Nobla.

W Unii Europejskiej pański pomidor podpadałby jednak pod prawną definicję GMO, co uniemożliwiłoby uprawę i sprzedaż. To restrykcyjne prawo ma jednak zostać zmienione, by ułatwić wykorzystywanie takich technik jak CRISPR/Cas9.

W 2019 r. japoński rząd ustanowił ramy prawne, które dzielą produkty zmodyfikowane genetycznie na trzy grupy, a z każdą z nich wiążą się odmienne obostrzenia. Kluczowe znaczenie ma brak „obcych" genów. Dlatego nasz pomidor jest traktowany jak zwykłe warzywo i nie wymaga specjalnego znakowania.

Mimo to pańska firma (start-up założony na Uniwersytecie Tsukuba), która skomercjalizowała pomidor High GABA, postanowiła i tak dodać specjalną informację dla konsumentów.

Byliśmy świadomi, że jest to pierwsza na świecie dostępna w sklepach roślina wyhodowana przy użyciu metody CRISPR/Cas9. Dlatego podjęliśmy decyzję o dobrowolnym oznaczaniu pierwszych partii wprowadzonych do sprzedaży. Na etykiecie umieściliśmy informację, że zostały wyhodowane przy użyciu technologii edycji genów, pomyślnie przeszły proces oceny bezpieczeństwa i zostały oficjalnie zgłoszone japońskiemu rządowi do zatwierdzenia. Zależało nam na pełnej transparentności i budowaniu zaufania.

Czy podjął pan jeszcze inne działania, by pokazać ludziom, że ta technologia jest bezpieczna?

Przez pięć lat niemal co tydzień organizowałem warsztaty i seminaria – łącznie odbywało się 40–50 takich spotkań rocznie. Wyjaśniałem, że hodowla roślin od zawsze opiera się na modyfikacjach genetycznych przeprowadzanych różnymi metodami – przede wszystkim na wywoływaniu mutacji. Przedstawiałem edycję genów CRISPR/Cas9 jako podobne, ale znacznie precyzyjniejsze narzędzie. Ta wiedza demitologizuje biotechnologię i ułatwia jej akceptację.

Uznałem jednak, że najlepszym sposobem na przekonanie konsumentów będzie danie im możliwości zdobycia wiedzy w praktyce. Przed pełną komercjalizacją naszego pomidora ogłosiliśmy akcję skierowaną do ogrodników hobbystów. Otrzymaliśmy prawie 5 tys. zgłoszeń i w 2021 r. przekazaliśmy sadzonki ponad 4 tys. osób z całej Japonii. Założyliśmy też w portalach społecznościowych specjalne grupy, do których dołączyło prawie 2 tys. ludzi. Nasi specjaliści doradzali, jak dbać o pomidory, a uczestnicy dzielili się swoimi, czasem trudnymi doświadczeniami z uprawą.

Dzięki temu na własne oczy przekonali się, że to zwykła roślina, podatna na szkodniki i choroby, a nie jakaś „żywność Frankensteina". Co więcej, niektórzy ludzie mierzyli sobie ciśnienie krwi po zjedzeniu własnych plonów i z radością raportowali jego obniżenie. Późniejsza ankieta wykazała, że aż 90 proc. uczestników tej akcji nie przejmuje się technologią wykorzystaną do uzyskania danej rośliny, o ile służy ona ich zdrowiu.

Czy w Japonii jest wielu przeciwników stosowania inżynierii genetycznej w rolnictwie? Miał pan okazję z nimi dyskutować?

Mamy grupy o podobnie negatywnym nastawieniu, jak te w Europie, choć są mniej głośne. Wydaje mi się bowiem, że Japończycy to naród dość pragmatyczny. Jeśli rzetelnie się im wytłumaczy, na czym od zawsze polegała hodowla roślin i czym w istocie jest edycja genów, łatwo akceptują taki nowy produkt.

Jakie jest obecnie zainteresowanie pańskim pomidorem?

Systematycznie rośnie. Początkowo sprzedawaliśmy go tylko online, ale z czasem zainteresowali się nim duzi sprzedawcy detaliczni – głównie dzięki uzyskaniu pozwolenia na informowanie o jego właściwościach, takich jak pomoc w obniżaniu ciśnienia krwi i poprawie jakości snu. Obecnie pomidory High GABA są dostępne w kilkuset placówkach handlowych w całym kraju. Ponadto trafiły do menu wybranych restauracji, głównie w rejonie Tokio, w tym do lokali serwujących kuchnię włoską.

Czy pojawią się również w innych krajach?

Na razie skupiamy się na rynku japońskim, ale myślimy też o eksporcie. Jeśli chodzi np. o UE, to musimy poczekać na zmianę prawa.

Powiedział pan, że to pierwsza na świecie roślina o działaniu prozdrowotnym uzyskana dzięki metodzie CRISPR/Cas9. Nie jest to jednak pierwszy produkt żywnościowy otrzymany metodami inżynierii genetycznej, który ma poprawić zdrowie ludzi. W latach 90. XX w. naukowcy opracowali tzw. złoty ryż, który przeciwdziała negatywnym skutkom niedoboru witaminy A. To roślina, do której skopiowano pojedyncze

eprasa.pl 3c38c03389

geny kukurydzy oraz bakterii. Ze względu na głośne akcje przeciwników GMO dopiero kilka lat temu wprowadzono ją do sprzedaży w niektórych krajach Azji. Czy to nie jest gorzka lekcja o tym, jak ideologiczne zacietrzewienie może zastopować pożyteczną technologię?

Rzeczywiście, złoty ryż mógł znacznie wcześniej pomóc w niektórych krajach rozwijających się, szczególnie dzieciom. Przyznam, że nie do końca rozumiem, dlaczego spotkał się z takim oporem, zwłaszcza ze strony aktywistów z bogatych krajów, gdzie nie ma problemu z dostępnością witaminy A. Jako naukowiec skupiam się na twardych danych badawczych, a te jednoznacznie potwierdzają, że odrzucanie tego produktu nie miało racjonalnego uzasadnienia.

Wróćmy do pańskich badań. Pracuje pan również nad modyfikacjami melonów.

Nie zamierzamy zwiększać w nich poziomu GABA. Melon naturalnie posiada wystarczająco dużo tej substancji, więc zjedzenie jednego lub dwóch kawałków w zupełności wystarcza, by wspomóc obniżenie ciśnienia krwi. Dlatego skupiliśmy się na wykorzystaniu metody edycji genomów do wydłużenia okresu przydatności do spożycia. W Japonii uprawiamy unikalną odmianę melona, która bardzo różni się od europejskich czy amerykańskich. Jego największym mankamentem jest krótka, niespełna tygodniowa naturalna trwałość – tyle może wytrzymać na sklepowej półce. A nasi rolnicy chcieliby te owoce eksportować. Postanowiliśmy im pomóc, choć zastosowanie metody CRISPR/Cas9 w tym przypadku jest procesem bardzo trudnym. Dlatego trochę zmodyfikowaliśmy tę technologię.

Z jakim wynikiem?

Udało nam się przedłużyć trwałość melona do miesiąca. Pozwala to na transportowanie owoców tańszą drogą morską zamiast lotniczej. Mamy nadzieję, że w przyszłym roku wystartujemy z uprawami testowymi i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to komercjalizacja nastąpi w 2028 r.

Stosowanie inżynierii genetycznej w hodowli roślin wydaje się szczególnie istotne w kontekście zmian klimatu. Chodzi o to, by np. zboża lepiej radziły sobie z niedoborami wody. Czy pańskie laboratorium prowadzi takie badania?

Adaptacje do zmieniającego się środowiska traktujemy jako jeden z priorytetów, dlatego koncentrujemy się na poprawie tolerancji na upały. Moje laboratorium nie jest duże, więc nie mogę prowadzić zbyt wielu prac badawczych równocześnie, ale nadzoruję finansowanie projektów w innych japońskich placówkach naukowych, które zajmują się różnymi modyfikacjami, m.in. usprawnianiem procesów fotosyntezy czy zmniejszeniem zużycia nawozów sztucznych, co ma kluczowe znaczenie dla środowiska. Badamy możliwości poprawy procesu wiązania azotu dzięki symbiozie roślin z mikroorganizmami żyjącymi w glebie. Określone drobnoustroje otaczające korzenie mogą skutecznie wspierać ten proces.

A co pan sądzi o tak ambitnych projektach, jak umożliwienie roślinom pobierania azotu bezpośrednio z atmosfery, co mogłoby wyeliminować konieczność nawożenia gleby tym pierwiastkiem?

To wyjątkowo trudne zadanie. Dlatego znacznie bardziej obiecujące i realistyczne jest wspomniane wykorzystanie powiązań symbiotycznych między roślinami a mikroorganizmami. Zrozumienie specyficznych mechanizmów tych interakcji to pierwszy, kluczowy krok do kontrolowania tego procesu. Wykorzystując tę wiedzę, moglibyśmy w przyszłości uzyskać np. odmiany ryżu, które przy wsparciu odpowiednich bakterii znacznie efektywniej wchłaniałyby azot. To zaś przyniosłoby redukcję zużycia syntetycznych nawozów azotowych o 40, a może nawet 60 proc. Uważam, że jest to cel możliwy do osiągnięcia w ciągu najbliższych 5–10 lat.

Wiązanie azotu to ogromnie ważna cecha, ale zwykli konsumenci raczej się nad nią nie zastanawiają. Ich – jak pan zauważył – szczególnie interesuje własne zdrowie.

Jeśli spojrzymy na przyszłość systemów żywnościowych, musimy zająć się nie tylko zwiększaniem plonów, co już się dzieje, lecz przede wszystkim priorytetowym traktowaniem jakości żywności. W obliczu chorób cywilizacyjnych oraz ze względu na ograniczony dostęp do opieki medycznej w wielu regionach świata żywność funkcjonalna stanie się kluczowa. Dlatego zwiększenie zawartości GABA w pomidorze to tylko pierwszy krok.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ

© MATERIAŁY PRASOWE

REKLAMA

Projekt Termomodernizacja zabytkowych budynków Politechniki Warszawskiej nr FENX.01.01-W01.0064/24 w ramach działania FENX.01.01 Efektywność energetyczna priorytet FENX.01.01 Wsparcie sektorów energetyki i środowiska z FEnIKS

Dofinansowanie projektu z Funduszy Europejskich na Infrastruktura, Klimat, Środowisko 2021-2027:
26 247 291,90 zł
Całkowity koszt realizacji: 31 693 517,20 zł
Data podpisania umowy: luty 2025 r.

Przedmiotem projektu jest realizacja robót budowlanych w zakresie termomodernizacji Gmachu Chemii Politechniki Warszawskiej, zlokalizowanego przy ul. Noakowskiego 3 w Warszawie, wpisanego do rejestru zabytków pod nr A–921.

Zakres Projektu obejmuje:
wymianę stolarki okiennej,
modernizację instalacji centralnego ogrzewania,
wymianę instalacji oświetlenia na energooszczędne,
docieplenie dachu.

Celem projektu jest poprawa efektywności energetycznej zabytkowego budynku użyteczności publicznej Gmachu Chemii Politechniki Warszawskiej poprzez:
zmniejszenie zapotrzebowania na energię końcową dostarczaną do budynku na potrzeby grzewcze i przygotowania ciepłej wody użytkowej,
zmniejszenie strat energii pierwotnej,
podniesienie standardu efektywności energetycznej budynku,
zmniejszenie kosztów pozyskania ciepła dostarczanego do budynku,
zmniejszenie kosztów pozyskania energii elektrycznej dostarczanej do budynku.

Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską

Osiągnięcie zakładanych nowych rezultatów w sposób bezpośredni przełoży się na niewątpliwie korzystne zmiany w wymiarze społecznym i gospodarczym, takich jak:
wzrost świadomości ekologicznej użytkowników modernizowanego budynku,
poprawa jakości przestrzeni społecznej i jej funkcjonalności,
podniesienie atrakcyjności wizualnej obiektu,
zwiększenie komfortu energetycznego w jego funkcjonowaniu,
poprawa warunków pracy i nauki,
polepszenie stanu zdrowia lokalnych mieszkańców poprzez redukcję emisji CO_2.
Bezpośrednim odbiorcą efektów realizacji programu projektu będą pracownicy, doktoranci i studenci Politechniki Warszawskiej, a w szczególności Gmachu Chemii Politechniki Warszawskiej.

eprasa.pl 3c38c03389

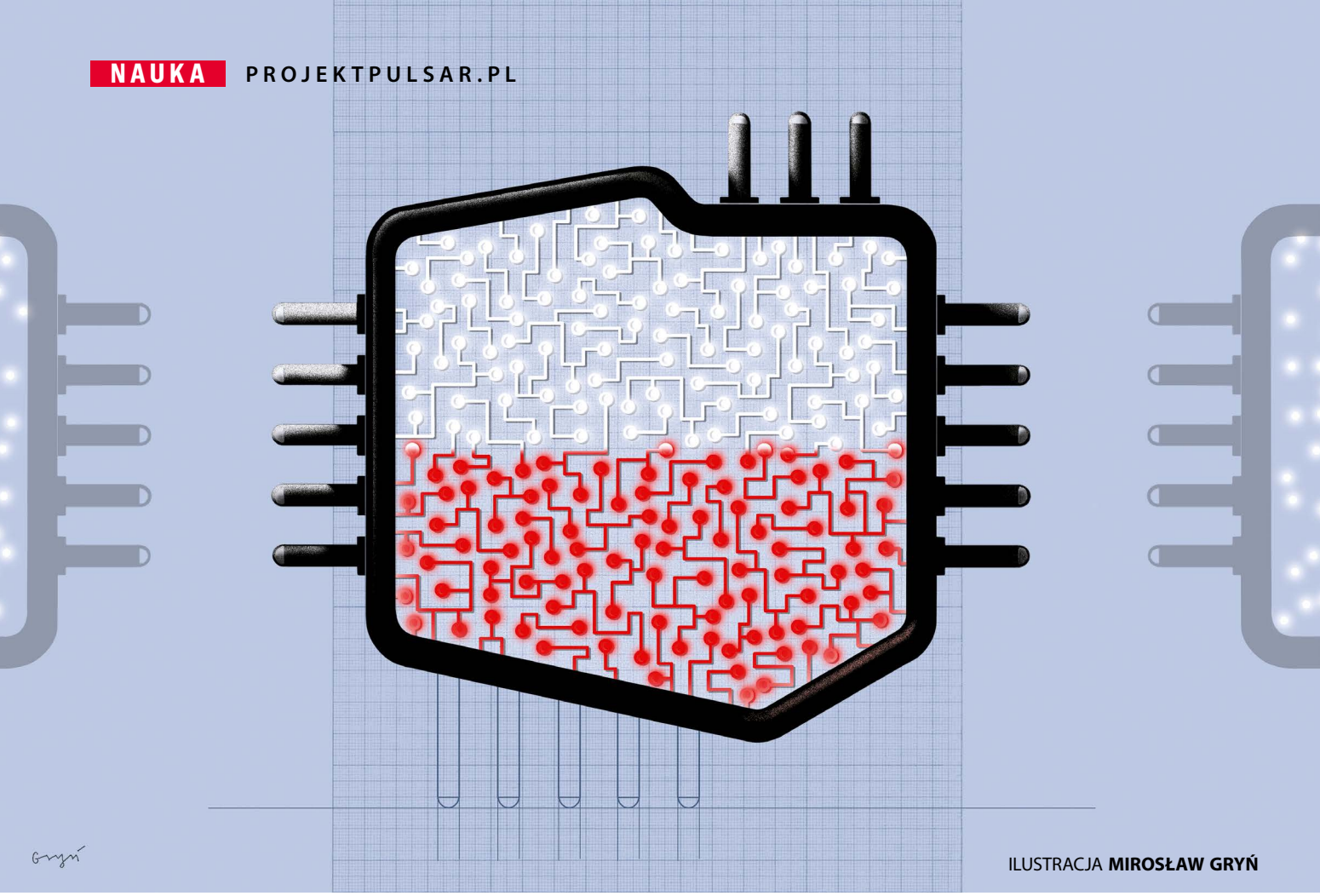

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

Żeby Polska nie była Nokią

Polska gospodarka notuje 28 lat nieprzerwanego wzrostu PKB. Sukces ten, choć imponujący, opierał się jednak na fundamencie, który właśnie kruszeje: niskich kosztach pracy i prostej imitacji zachodnich nowoczesnych technologii.

To wynik niespotykany w żadnym innym państwie Unii Europejskiej. Od 1990 r. nasz PKB per capita wzrósł ponad trzykrotnie, osiągając 70–80 proc. średniej unijnej. Dogoniliśmy Portugalię i Grecję, a w niektórych wskaźnikach nawet Włochy. Trzeba jasno przyznać, że polska nauka miała w tym dotychczasowym sukcesie udział niewielki. Dziś stoimy w obliczu klasycznego błędu, który pogrzebał rynkowych gigantów. Na przykład Nokię, która – upojona sukcesem swoich telefonów – nie dostrzegła w 2007 r. rewolucji smartfonowej, czy Microsoft z jego spóźnionymi pomysłami na system operacyjny dla platform mobilnych Windows Phone, wirtualną asystentkę Cortanę i wyszukiwarkę Bing. Polska, nie inwestując w badania podstawowe, wdrożeniowe i transfer wiedzy, ryzykuje ten sam scenariusz.

Wraz z rozwojem gospodarczym koszty pracy przestają być naszą przewagą. Jak ostrzega Bank Światowy, paradygmat imitacji musi zostać zastąpiony przez paradygmat innowacji. Jeśli tego nie zrobimy, kraje, które automatyzują przemysł za pomocą AI, przestaną potrzebować naszych produktów, co uderzy w polski eksport generujący 53 proc. PKB.

Przełomowe innowacje zaczynają się od badań podstawowych, a dopiero później poprzez prace rozwojowe i wdrożeniowe trafiają do gospodarki, choć ten etap bywa mało widoczny. Dobrym przykładem jest sztuczna inteligencja – jej rozwój nie rozpoczął się wraz z premierą ChatGPT w 2022 r., lecz jest efektem dekad pracy badawczej. Warto pamiętać, że John Hopfield z Princeton University i Geoffrey Hinton z University of Toronto Nagrodę Nobla za badania nad sieciami neuronowymi z lat 80. otrzymali w 2024 r. Austriacki fizyk doświadczalny Anton Zeilinger (wraz z Alainem Aspectem i Johnem F. Clauserem) – za technologie kwantowe w 2022 r. Na marginesie dodajmy, że Austria uznała badania w tym obszarze za strategiczny zasób narodowy.

eprasa.pl 3c38c03389

Objawy

Można zatem działać inaczej, co udowadniają także Chiny. Choć startowały z podobnego pułapu niskich kosztów, rząd – po przegranej przez mistrzów go Lee Sedola i Ke Jie z AlphaGo – postawił na naukę. Profesor zarabia tam około czterech średnich krajowych, a członek Akademii Nauk nawet około kilkunastu, ciesząc się statusem urzędnika wysokiego szczebla. W Polsce naukowiec z tym tytułem zarabia niewiele ponad średnią krajową. Rezultat? Chiny dominują dziś w technologiach przyszłości: bateriach, autach elektrycznych i fotowoltaice, a nawet w AI.

Polska wypada blado również na tle Europy. Po 2018 r. w Niemczech, we Francji, Hiszpanii czy Włoszech utworzono wiele instytutów naukowych i pozycji profesorskich związanych ze sztuczną inteligencją. Podczas gdy Wielka Brytania wspiera ponad 200 doktorantów rocznie w sieciach centrów AI, u nas w jedynym takim ośrodku (IDEAS NCBR) podobny program obejmuje zaledwie 20 osób – to kropla w morzu potrzeb. Brak też w obszarze AI projektów, w ramach których można rozwijać i wdrażać nowe technologie w praktyce i pogłębiać wiedzę zarówno kadry naukowej, jak i doktorantów.

Politykom w Polsce często brakuje długofalowej perspektywy – ważniejsza jest logika najbliższych wyborów. W rezultacie środki publiczne częściej trafiają na działania, których efekt pojawia się szybko, podczas gdy relatywnie niewielkie nakłady idą na rozwój kadr – np. w obszarze AI. Państwo wydające miliardy złotych na obniżenie cen paliw (szacuje się, że koszt dzienny braku wpływów z VAT i akcyzy to ok. 55 mln zł) nie jest w stanie wygospodarować dodatkowo połowy tej sumy na kształcenie doktorantów w zakresie sztucznej inteligencji.

Diagnoza

Polska nauka jest nie tylko niedofinansowana, lecz przede wszystkim zarządzana w sposób nieracjonalny.

Beton i sprzęt zamiast ludzi. Łatwiej pozyskać środki na nowoczesne budynki niż na projekty i wynagrodzenia dla badaczy. Mamy nowoczesną infrastrukturę, superkomputery, będą „gigafabryki AI", ale dotychczasowe inwestycje były słabo wykorzystane, bo zabrakło pomysłów, jak to zrobić, i finansowania ludzi, którzy mogliby się tym zająć.

Sztuczny podział: Narodowe Centrum Nauki vs Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. NCN finansuje badania czysto podstawowe, bez bezpośrednich zastosowań komercyjnych, a NCBR wymaga natychmiastowej komercjalizacji pod groźbą konieczności zwrotu środków. Brak finansowania etapów pośrednich – nie tylko tych o wysokim potencjale zwrotu (high-gain), lecz także tych wysokiego ryzyka (high-risk), realizowanych wspólnie przez naukę i przemysł. Taki sposób finansowania badań zniechęca zresztą do tego typu współpracy.

Eksport talentów. Zamiast budować siłę naszej gospodarki, nasi najlepsi absolwenci tworzą brytyjskie jednorożce (jak Eleven Labs) lub zasilają Dolinę Krzemową. Tracimy ich, ponieważ polski system oferuje pracę „projektową" bez ciągłości zatrudnienia.

Punkty zamiast jakości. Oceniając naukę, premiuje się liczbę publikacji, a nie ich znaczenie. Ma to zresztą niewielki wpływ na finansowanie badań, a środki często są dzielone równo, zamiast trafiać do wybijających się naukowców. Jedynie Fundacja na rzecz Nauki Polskiej działa zgodnie z hasłem „Wspierać najlepszych, aby stali się jeszcze lepsi".

Brak priorytetów. Finansowanie nie odpowiada potrzebom gospodarki. Mamy zbyt mało absolwentów STEM (nauka, technologia, inżynieria, matematyka), brakuje aktywnej polityki wspierającej kluczowe obszary.

Terapia

Rząd oczekujący innowacji bez inwestycji w badania podstawowe jest jak rolnik, który chce zbierać żniwa, nie siejąc i nie orząc. Postulujemy zatem:

Inwestycje w kadry, nie tylko w infrastrukturę. Każda inwestycja w sprzęt (np. komputer kwantowy) musi być powiązana z programem badawczym umożliwiającym racjonalne wykorzystanie tej infrastruktury, finansowanie ludzi i rozwój kadr, uwzględniającym wsparcie dla całego cyklu pracy naukowej, której początkiem jest doktorat.

Finansowanie pełnego cyklu. Oprócz wzrostu nakładów na naukę niezbędna jest racjonalizacja wydatków – od badań podstawowych po komercjalizację, ze szczególnym uwzględnieniem projektów wysokiego ryzyka.

Priorytetyzacja STEM i AI: Zwiększenie nakładów na technologie informacyjno-komunikacyjne (ICT), AI i cyberbezpieczeństwa. To sektory, które generują ok. 4,5 proc. polskiego PKB (w krajach nordyckich i Korei Południowej to 8–9 proc.). Zdaniem Banku Światowego zastosowanie oprogramowania i narzędzi opartych na AI mogłoby zwiększyć naszą produktywność pracy nawet o 10–15 proc.

Wola polityczna ponad cykl wyborczy. Inwestycje w naukę dają największe zwroty, ale wymagają wizji wykraczającej poza najbliższe wybory.

Powikłania

W listopadzie 2024 r. Komitet Informatyki PAN opublikował list otwarty, wskazując na szanse (i zagrożenia) związane z rozwojem technologii cyfrowych dla gospodarki, ochrony zdrowia i bezpieczeństwa państwa. Kilka miesięcy później powstała nieformalna Grupa Czołowych Polskich Naukowców Informatyków, która zadeklarowała wspólne działania na rzecz wzmocnienia roli nauki i informatyki w polityce państwa. Inicjatywa została zauważona przez rząd, odbyły się spotkania z premierem oraz właściwymi ministrami. Tyle że wiele miesięcy rozmów i propozycji działań nie przełożyło się na konkretne decyzje, co stawia pod znakiem zapytania realność zapowiadanego wsparcia dla innowacji.

***

Polska znalazła się w punkcie krytycznym. Dalsze trwanie przy modelu taniej pracy i imitacji oznacza stopniową utratę konkurencyjności. Historia pokazuje, że nawet najwięksi mogą upaść, jeśli zignorują moment przełomu. Nokia przespała rewolucję. Polska nie może sobie pozwolić na ten błąd. Rozwój sztucznej inteligencji i jej szerokie wdrażanie mają strategiczne znaczenie. Jak stwierdził Andrej Karpathy, słowacko-kanadyjski badacz sztucznej inteligencji, myślenie można będzie zlecić AI, ale rozumienia już nie.

prof. dr hab. **Andrzej Cichocki**, Instytut Badań Systemowych PAN

prof. dr hab. **Włodzisław Duch**, Uniwersytet Mikołaja Kopernika

prof. dr hab. **Andrzej Jaszkiewicz**, Politechnika Poznańska

dr hab. inż. **Wojciech Salabun**, Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie

prof. dr hab. inż. **Michał Woźniak**, Politechnika Wrocławska

eprasa.pl 3c38c03389

Po lewej: **mundial 1994, zwycięska drużyna Brazylii. Zachowawczy styl gry zespołu krytykował publicznie Pelé.**

U góry: **pielęgniarka prowadzi Diego Maradonę na kontrolę antydopingową.**

Gry i gierki

Rozmowa z Jonathanem Wilsonem, angielskim dziennikarzem i pisarzem, autorem wydanej właśnie historii piłkarskich mundiali „Potęga i chwała", o poprzednim turnieju organizowanym w Stanach Zjednoczonych.

MARCIN PIĄTEK: **– Mundial 1994 przeszedł do historii jako kukułcze jajo podrzucone Stanom Zjednoczonym. Jeden z tamtejszych publicystów pisał, że nienawiść do piłki nożnej jest tak amerykańska jak półciężarówki i szarlotka mamy. 70 proc. Amerykanów nie wiedziało, że turniej odbywa się w ich kraju.**

JONATHAN WILSON: – Mistrzostwa świata po raz pierwszy trafiły do kraju, w którym piłka nożna była sportem trzeciej kategorii. Obawiano się, że impreza będzie klapą, że nie sprzedadzą się bilety, sugerowano, że dojdzie do zmian w przepisach gry, aby stworzyć mecze bardziej zrozumiałe dla przeciętnego Amerykanina. Plotkowano o powiększeniu bramek, o podziale meczu na kwarty zamiast połów. Ostatecznie do tego nie doszło. Ciekawe, że w tym roku mecze będą się faktycznie składały się z kwart, ze względu na dodatkowe trzyminutowe przerwy na nawodnienie piłkarzy.

Dlaczego piłka nie przyjęła się w Stanach? Koniec lat 70. stał tam pod znakiem boomu: kluby kwitły, rozwijała się liga, do Ameryki ciągnęły gwiazdy: Pelé, Beckenbauer, Cruyff, Best.

Na mecze Cosmosu Nowy Jork, by zobaczyć w akcji Pelégo i Beckenbauera, przychodziło po 70 tys. osób. Działała magia wielkiego wydarzenia, ludzie chcieli się pokazać. W Stanach piłkę

© EMPICS SPORT/EAST NEWS, AP/EAST NEWS, MP

eprasa.pl 3c38c03389

nożną próbowano budować od dachu, a nie od fundamentów, jak choćby w Anglii, gdzie u zarania było zamiłowanie do tego sportu, amatorskie mecze, powstawały kluby, ligi mniejsze i większe, aż w końcu zrobił się z tego biznes. W Ameryce tych korzeni nie było. Carli Lloyd, wspaniała amerykańska zawodniczka, opowiadała mi, że miała szczęście, bo w jej społeczności w New Jersey było wielu tureckich imigrantów, którzy grali w piłkę i podsycali zainteresowanie tym sportem. Bez ich aktywności i mobilizacji straciłaby możliwość gry i rozwoju.

Kolejnym problemem, typowo amerykańskim, była komercjalizacja treningów w klubach. Nie każdego rodzica było stać na wydatek rzędu tysiąca dolarów rocznie za zajęcia piłkarskie dla swojego dziecka. Kluby niekiedy fundowały stypendia dla dzieci z biedniejszej społeczności, ale okazywało się, że rodzice z klasy średniej krzywo patrzyli na to, że ich dzieci integrują się z rówieśnikami z biedoty, nizin społecznych, ze środowiska imigrantów. Byli też roszczeniowi, wychodzili z założenia, że płacę i wymagam, pytali trenerów: czego nauczyłeś moje dziecko, jakie postępy zrobiło? Samo stawianie takich pytań, zwłaszcza na wczesnym etapie przygody z piłką, oznacza głębokie niezrozumienie złożoności futbolu. Świadomość taktyczna, technika, wykorzystanie przestrzeni boiska, decyzyjność – to elementy niemierzalne. Zmierzyć można za to sprint, wytrzymałość, przyrost mięśni. Dlatego piłka nożna w amerykańskim wydaniu jest do dziś tak prosta, oparta na fizyczności.

W latach 80. amerykańską ligę zawodową położyły w końcu problemy ekonomiczne.

Za Cosmosem stała fortuna braci Ertegunów (właścicieli wytwórni Atlantic Records, do zainwestowania w klub namówili też współpracowników z koncernu medialnego Warnera – przyp. red.), którzy mogli sobie pozwolić na traktowanie tego projektu jak fanaberię. Inni, którzy próbowali dotrzymać im kroku, przepłacali za piłkarzy, a biznes się nie spinał. Gdy Pelé skończył karierę, zainteresowanie kibiców spadło, stacje telewizyjne się odwróciły, w ślad za nimi poszli reklamodawcy, na to nałożył się kryzys finansowy pierwszej połowy lat 80. Kluby bankrutowały jeden po drugim, w końcu ligę rozwiązano w 1985 r. Wznowienie rywalizacji klubowej wymusiła dopiero FIFA, był to jeden z warunków ubiegania się o organizację mundialu w 1994 r.

Amerykański odcisk na globalnym futbolu był raczej niezauważalny…

W 1930 r. Amerykanie dotarli nawet do półfinału, ale to był, praktycznie rzecz biorąc, zespół złożony z angielskich ekspatów, którzy wyjechali do USA za chlebem. W 1950 r. mieli swoją chwilę chwały, gdy pokonali Anglię. Był to jeden z tych dziwnych meczów, zresztą dość typowych dla mundiali, gdy zwycięża drużyna słabsza, ale dobrze zorganizowana i zmotywowana, gdy faworyci marnują okazję za okazją, a tracą gola po jednej akcji rywali. Na dodatek gola z przypadku, gdyż Joe Gaetjens został jego zdobywcą po tym, jak piłka trafiła go w polu karnym, zmieniła tor lotu i wpadła do siatki.

Ta porażka z amatorami to jedna z angielskich futbolowych traum?

Jeśli wraca, to wyłącznie jako ciekawostka historyczna. Brazylijski mundial 1950 r. to pierwsze mistrzostwa z udziałem Anglii. Wcześniej dominowało poczucie, że to turniej bez znaczenia, więc nawet jeśli Anglia wygra, prestiż będzie niewielki, na pewno niewspółmierny do upokorzenia w razie porażki. Stało za tym z pewnością wiele samouwielbienia i arogancji. Przebudzenie było bardzo bolesne, słynna klęska 3:6 z Węgrami na Wembley jesienią 1953 r., będąca dowodem, że poczucie, że jesteśmy najlepsi na świecie, jest – delikatnie mówiąc – nieuzasadnione. Wówczas ta mundialowa porażka z Amerykanami powracała jako pierwszy dzwonek ostrzegawczy.

W samym futbolu Amerykanie nie znaczyli wiele, ale nie stronili od gry na politycznym boisku.

W latach 70. prawicowe dyktatury w krajach Ameryki Południowej stworzyły system krwawych represji wymierzony w przeciwników politycznych, oficjalnie pod przykrywką zwalczania komunizmu. Tajna współpraca służb specjalnych, m.in. z Argentyny, Brazylii, Boliwii, Chile i Urugwaju, nosiła kryptonim Operacja Kondor. Po cichu wspierali ich Amerykanie, realizując politykę powstrzymywania komunizmu, której głównym architektem był sekretarz stanu Henry Kissinger. W czasie mistrzostw świata w Argentynie w 1978 r., które wojskowa junta wykorzystywała w celach propagandowych, doszło do dziwnego zdarzenia. Kissinger wraz ze stojącym na czele junty gen. Jorge Videlą odwiedził piłkarzy Argentyny i Peru przed meczem drugiej rundy. Argentyna do bezpośredniego awansu do finału potrzebowała zwycięstwa czterema golami, skończyło się na 6:0. Rozmawiałem z czterema peruwiańskimi piłkarzami grającymi w tamtym meczu. Wszyscy wspominali, że czuli się podczas tej wizyty Kissingera i Videli nieswojo, nie wiedzieli, co ona oznacza, jak ją odebrać. Wynik tego meczu wzbudził wiele wątpliwości, ale nie ma dowodów, że Kissinger mógł wpłynąć na taki właśnie jego przebieg.

Kissinger miał słabość do piłki, osobiście się angażował w ściągnięcie mundialu do USA.

Był szefem komitetu stojącego za amerykańską kandydaturą na turniej w 1986 r. W dniu ostatecznego głosowania przemawiał właśnie do podejmujących decyzję działaczy FIFA, gdy zorientował się, że Meksykanie już świętują w barze zwycięstwo. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jego wysiłki nie mają najmniejszego sensu, bo wynik głosowania jest przesądzony. Okazało się, że nawet Kissinger, jeden z najbardziej wpływowych dyplomatów na świecie, może zostać zakulisowo ograny w polityce futbolowej. Naiwnie sądził, że to walka na argumenty, tymczasem umacniający swoją władzę w FIFA Brazylijczyk João Havelange już rozdał karty.

Największy szok amerykańskiego mundialu w 1994 r.: z powodu piłki można zginąć. Kolumbijski obrońca Andrés Escobar został zastrzelony, gdy jego reprezentacja odpadła.

W eliminacjach Kolumbia rozbiła w Buenos Aires Argentynę 5:0, co Gabriel García Márquez uznał za jedno z trzech najgłośniejszych wydarzeń XX w. w dziejach kraju, zresztą obok wydania swojego największego dzieła, „Stu lat samotności". W kraju zapanowała euforia, a Cruyff i Pelé wymieniali Kolumbię jako jednego z kandydatów do medali. Ale wkrótce sprawy wymknęły się spod kontroli – kolumbijska federacja wysłała piłkarzy na międzynarodowe tournée, chcąc skapitalizować ich popularność, bossowie narkotykowi żądali, by piłkarze odwiedzali ich rezydencje i grali tam w piłkę, słynny bramkarz René Higuita został wplątany w przekazanie okupu za córkę jednego z narkobaronów, a gdy wyszło to na jaw, odstawiono go od składu na mundial. Na mundialu Kolumbijczycy zagrali poniżej oczekiwań, do ich odpadnięcia przyczynił się samobójczy gol Andrésa Escobara w przegranym meczu z USA. Drużyna wróciła do kraju, mundial wciąż trwał, gdy Escobar został zastrzelony nocą pod jednym z barów. ▶

eprasa.pl 3c38c03389

▶ Powszechne wrażenie było takie, że był to akt zemsty za kolumbijskie niepowodzenie na mundialu.

Na parkingu baru Escobar trafił na lokalnego dilera narkotykowego, wywiązała się sprzeczka, ten bandyta wyjął broń, strzelił do piłkarza kilka razy. Nie uważam, że zginął z powodu tego samobójczego gola. Ale na pewno można powiedzieć, że ten gol stał się zarzewiem kłótni, którą Andrés przypłacił życiem.

Klęska z Kolumbią sprawiła, że Argentyńczycy orzekli: jak trwoga, to do Boga. Diego Maradony, człowieka po przejściach.

Maradona nie brał udziału w tym upokorzeniu, bo był akurat zdyskwalifikowany za używanie kokainy. Ale wśród Argentyńczyków utwierdziło się przekonanie, że jest mesjaszem, którego potrzebował kraj. I odpowiedział na wezwanie: przeszedł na dietę, narzucił sobie morderczy reżim treningowy, odciął się od pokus, przeprowadzając się na jakiś czas do domu rodziców. Cały kraj żył pytaniem, czy zagra, dziennikarze czatowali na szczątki informacji, śledzili każdy jego krok, więc się w końcu zniecierpliwił i ostrzelał ich z wiatrówki. Cały Diego.

Zdążył. 34 lata na karku, a wyglądał świetnie.

I świetnie grał, znów był dyrygentem reprezentacji. Miał duży udział w grupowych zwycięstwach z Grecją i Nigerią, ale po tym meczu został wybrany do kontroli antydopingowej. Jest słynne zdjęcie, jak pielęgniarka prowadzi go za rękę, a rozradowany Diego macha do fanów. Po kilku dniach przyszła szokująca wiadomość: pozytywny wynik testu na obecność efedryny. Maradona twierdził, że odżywka, którą przyjmował w Argentynie, nie zawierała efedryny, a jej amerykański odpowiednik – tak. To niewykluczone, co nie zmienia faktu, że wynik testu był pozytywny, a on nie sprawdził, co bierze, co było jego obowiązkiem jako zawodowego sportowca. Historia jego uników kontroli antydopingowych była bardzo długa, więc można powiedzieć, że w końcu się doigrał.

Maradona był ucieleśnieniem *pibe*, dziecka ulicy, spryciarza i krętacza, który z łobuzerskim wdziękiem łamie zasady, aby zakpić z bogatych.

Pibe to w Argentynie slangowe określenie dziecka. A dziecko znamionują beztroska, unikanie odpowiedzialności, kapryśna natura. Po szybkim odpadnięciu Argentyny i dopingowej wpadce Maradony próbowano to racjonalizować, doszukiwano się głębszych powodów tkwiących w argentyńskiej mentalności. Pojawiła się konkluzja, że ignorowanie zasad jest bardzo argentyńskie, więc taki właśnie koniec na mundialu niejako wisiał w powietrzu. Dziecku wiele wybryków uchodzi na sucho, ale jeśli dorosłeś, a wciąż zachowujesz się jak *pibe*, prędzej czy później wpakujesz się w kłopoty. Gdy na dodatek pozytywny wynik próbki B Maradony przyszedł dokładnie w 20. rocznicę śmierci Juana Peróna, w Argentynie uznano, że tak po prostu musiało być.

Argentyńczycy przegrali z Rumunią. Świetnie na turnieju grali Bułgarzy. Obie reprezentacje skorzystały na upadku komunizmu. Ich piłkarze wyjechali do mocnych zachodnich klubów i grali tam pierwsze skrzypce. Na poprzednich mundialach jedyną reprezentacją krajów bloku wschodniego, która dotarła do strefy medalowej, była Polska, trzecia w 1974 i 1982 r. Mocno trzyma się u nas przekonanie, że gdyby nie blokada transferowa dla piłkarzy, nałożona przez partię komunistyczną – mogli wyjechać do zachodnich klubów dopiero po ukończeniu 30. roku życia – Polska byłaby mistrzem świata.

W Bułgarii i Rumunii było to 28 lat. Niektórzy twierdzą, że trzymanie zawodników na tej uwięzi, opieranie reprezentacji na piłkarzach dwóch–trzech rodzimych klubów, którzy byli ze sobą zgrani, też miało swoje zalety. Ale nie ulega wątpliwości, że w Europie Zachodniej, jeśli chodzi o jakość futbolu, przeskok był olbrzymi, pod każdym względem, i złote pokolenie w obu reprezentacjach mogło rozkwitnąć. Na pewno ich piłkarze byli bardzo ambitni, mieli dużo do udowodnienia i byli zmotywowani zarobkami, bo nagle zaczęli zarabiać po sto razy więcej.

Niemcy też chcieli skorzystać na przemianach politycznych. Franz Beckenbauer bardzo w swoim stylu stwierdził nawet, że żal mu innych reprezentacji, bo po zjednoczeniu Niemcy będą niepokonani przez lata.

Bułgaria sprowadziła Beckenbauera na ziemię w ćwierćfinale, po wspaniałych bramkach Stoiczkowa i Leczkowa. Byłem wtedy na wakacjach we Francji, oglądaliśmy mecze na polu namiotowym, w bardzo międzynarodowym towarzystwie. Gdy Niemcy odpadli, obcałowywali mnie jacyś obcy Bułgarzy, a wszyscy oglądający mecz fetowali. Wtedy po raz pierwszy mnie uderzyło, jak bardzo Europejczycy nie lubią Niemców.

Niemcy wprawdzie zostali mistrzami świata w 2014 r., ale ich losy na mundialach nie potoczyły się w myśl przewidywań Beckenbauera. W dwóch poprzednich turniejach odpadli już w fazie grupowej. Myślę, że grają poniżej oczekiwań, ale na pewno nie jest to cena zjednoczenia. Powodów upatrywałbym raczej w niechęci do pressingu, są po prostu święcie przekonani, że droga do zwycięstw wiedzie przez opieranie się na indywidualnościach.

Na amerykańskim mundialu w końcu doszło do finału, którego wszyscy się spodziewali: Brazylia–Włochy. Brazylia wygrała, ale euforii w kraju nie było.

Podczas mundiali transmisje telewizyjne przyciągają ludzi, którzy na co dzień nie oglądają piłki, a że mecze nie stoją na najwyższym poziomie, bywają nudne i schematyczne, bo piłkarze są zmęczeni po sezonie ligowym, niezbyt zgrani, kibice narzekają. Ale od Brazylii wymagano jeszcze wówczas, by nie tylko wygrywała, ale też grała pięknie. Zachowawczy styl gry zespołu krytykował publicznie Pelé, a matka trenera Carlosa Alberto Parreiry występowała w telewizji, apelując, by dał pograć niespełna 18-letniemu Ronaldo, cudownemu dziecku brazylijskiej piłki. Gdy mistrzowie wrócili do kraju, celnicy trzymali ich kilka godzin na lotnisku, próbując wymusić zapłatę cła za przywiezione ze Stanów zakupy. Teraz głód zwycięstw jest w Brazylii tak duży, że chcieliby wygrywać za wszelką cenę.

Gospodarze też wygrali.

Stadiony były pełne, organizatorzy zarobili więcej, niż się spodziewali – ok. 60 mln dol., co dziś jest niemożliwe, bo zyski z imprezy zgarnia FIFA. Na pewno tamten mundial stał się okazją do świętowania amerykańskiego stylu życia. Tym razem może to być trudne. Ciekawe, jakie korzyści Stany Zjednoczone, główny gospodarz, chcą osiągnąć przy okazji tego turnieju.

Może chodzi o celebrowanie Trumpa?

Myślę, że prędzej może się spodziewać gwizdów pod swoim adresem – na pewno ze strony kibiców gości – poza tym wszystkie stadiony znajdują się w dużych miastach, gdzie przeważają nastroje antytrumpowskie. W tym roku wybuczano go przy okazji jednego z meczów futbolowych, więc na finale SuperBowl, największym wydarzeniu sportowym roku w Stanach Zjednoczonych, już się nie pojawił.

ROZMAWIAŁ MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 3c38c03389

Urodzony szpieg

Wojna Izraela z Iranem może przekreślić szanse na zwrot ciała najsłynniejszego szpiega Mosadu Eliego Cohena. Rozmawiamy z jego bratem Avrahamem Cohenem w Oranit, osiedlu żydowskim na Zachodnim Brzegu.

Avraham Cohen (ur. 1945 r. w Aleksandrii w Egipcie) – w 1949 r. wraz z rodzicami wyemigrował do Izraela. Przed przejściem na emeryturę w 2009 r. był starszym ekonomistą w Banku Izraela, gdzie m.in. odpowiadał za analizy finansowe projektów dla przemysłu elektronicznego, zbrojeniowego oraz zaawansowanych technologii. Od wielu lat wolontariusz w Archiwum Historycznym Weizmanna i aktywny działacz w Stowarzyszeniu na rzecz Zachowania Dziedzictwa Eliego Cohena.

AGNIESZKA ZAGNER: **– Pański brat Eli Cohen, jeden z najsłynniejszych izraelskich szpiegów, został stracony w Syrii w maju 1965 r. Od tego czasu Izrael bezskutecznie starał się sprowadzić jego ciało. W zeszłym roku były informacje ze strony saudyjskich mediów, że być może uda się odzyskać jego szczątki i sprowadzić je do Izraela, ale obecna eskalacja na Bliskim Wschodzie chyba to przekreśliła?**

AVRAHAM COHEN: – Nie wiem, czy z naszego punktu widzenia jest to najistotniejsze. Jesteśmy przecież Cohenami, historycznie pochodzimy z rodu kapłanów w Świątyni Jerozolimskiej i zgodnie z religią nie wolno nam odwiedzać cmentarza, chyba że chodzi o pogrzeb najbliższej rodziny. Mój ojciec powiedział mi przed śmiercią: „Nie idź na cmentarz. Nie będzie mnie tam. Będę w twoim sercu". Dla nas Eli też jest przede wszystkim w sercach, choć oczywiście to postać ważna dla Izraelczyków, bohater narodowy, więc choćby dlatego powrót jego szczątków ma znaczenie.

Mosad próbował znaleźć ciało Eliego, jednak syryjski reżim kilkakrotnie przenosił je z miejsca na miejsce. Tymczasem w brawurowej akcji na terenie Syrii w maju 2025 r. udało się odzyskać ok. 2,5 tys. dokumentów i przedmiotów należących do brata, w tym klucze do jego ▶

© AGNIESZKA ZAGNER

eprasa.pl 3c38c03389

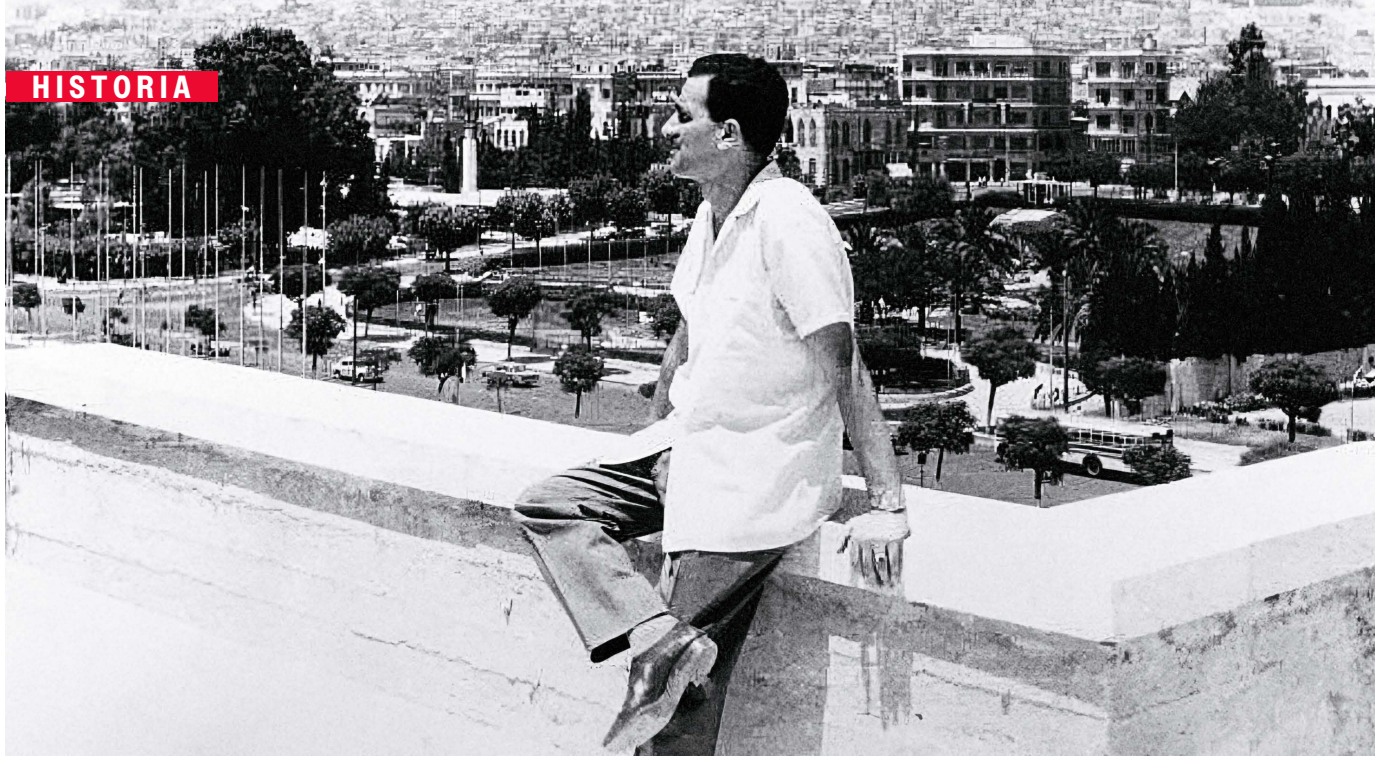

Eli Cohen jako biznesmen Kamal Amin Tabet w swojej rezydencji w Damaszku, 1963 r. Poniżej: **jego publiczna egzekucja w 1965 r.**

▶ mieszkania w Damaszku. Nie wiemy, czy dokumenty wykradziono czy wykupiono. Wiadomo, że stało się to przy współpracy innego obcego wywiadu, bez podania którego. Widział pan je?

Tak, rodzina mogła je zobaczyć. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie, stół miał co najmniej 10 m długości, w całości pokryty był zdjęciami, notatkami. Udało się też odzyskać ostatnią wolę Eliego, w której zwracał się do swojej żony Nadii, że może poślubić innego mężczyznę. Chociaż ona akurat nigdy nie wyszła za mąż.

A jak było ze słynnym zegarkiem Eliego? Złoty Eterna-Matic Centenaire 61 luksusowej szwajcarskiej marki był jednym z elementów przykrywki w Syrii, gdzie udawał bogatego biznesmena.

Kilka lat temu dostałem maila od syryjskiej dziewczyny, która łamaną angielszczyzną informowała, że ma ten zegarek. Poprosiłem, by przysłała mi jego zdjęcie, a następnie skontaktowałem się z Mosadem, gdzie powiedziano mi, żebym nic nie robił, oni się tym zajmą. Rzeczywiście, wysłano specjalny oddział do Syrii, który odebrał zegarek od babci tej dziewczyny. Po przewiezieniu do Izraela przez jakiś czas był prezentowany w siedzibie Mosadu.

Jak Eli został szpiegiem?

Zaczęło się w Egipcie, gdzie w dzieciństwie mieszkaliśmy z rodzicami. Wyjechaliśmy w 1949 r. do Izraela, ale Eli został – oficjalnie by dokończyć studia, ale tak naprawdę już wtedy współpracował z naszymi służbami. Zaangażował się m.in. w operację przerzucania Żydów do Izraela, co kosztowało zresztą życie kilka osób z jego siatki. Eli był nawet po tej akcji aresztowany. Egipcjanie nie znaleźli wystarczających dowodów, by go skazać, jednak jego nazwisko i zdjęcie zostały wpisane do rejestru policyjnego i pojawiły się w gazetach. Do Izraela przyjechał w 1957 r., od razu chciał podjąć pracę w Mosadzie i podpisał oświadczenie, że zgadza się na wysłanie do dowolnego państwa arabskiego. Początkowo odrzucili go ze względu na tamto aresztowanie w Egipcie, w obawie przed dekonspiracją. Eli był jednak dobrym materiałem na szpiega – znał biegle kilka języków, w tym hebrajski, arabski, angielski i francuski, miał fenomenalną pamięć, w małym palcu geometrię i matematykę. Jako dziecko uwielbiał rysować i nieźle mu to wychodziło, lubił żeglować u wybrzeży Aleksandrii, robić zdjęcia, był bardzo ciekawski. Wszystko to pomogło mu potem w pracy szpiega.

Jakim był bratem?

Było między nami 21 lat różnicy, więc kontakt mieliśmy dość ograniczony, ale pamiętam go jako bardzo precyzyjnego, przenikliwego, zasadniczego. Po przyjeździe do Izraela miał ze sobą skórzaną walizkę, która mnie fascynowała – zajrzałem do niej pod jego nieobecność i znalazłem zaproszenie na ceremonię wolnomularską. Okazało się, że Eli był aktywnym członkiem loży, zresztą już w Egipcie, co zapewniało mu tam dobre kontakty w armii i jakąś ochronę, bo sporo oficerów też należało do loży. Wolnomularstwo było formą jego patriotyzmu, angażując się w ten sposób, pomagał Izraelowi, np. zbierając pieniądze na broń dla naszego kraju. A historia z walizką nie skończyła się dla mnie zbyt dobrze – Eli zastosował jakąś sztuczkę i od razu wiedział, że ją otworzyłem. Dostałem solidną reprymendę.

Jak Eliemu żyło się w Izraelu?

Po odrzuceniu przez Mosad pracował w handlu, ożenił się z Nadią, która pochodziła z Iraku i pracowała jako pielęgniarka

© DP, APIC/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3c38c03389

w szpitalu. Kiedy dostał drugą szansę od wywiadu, nie wahał się – od razu zgodził się pojechać do Syrii i zostać „naszym człowiekiem" w Damaszku, co potwierdził na piśmie. W maju 1960 r. rozpoczął szkolenie prowadzone przez jednostkę wywiadowczą 188 specjalizującą się w operacjach zagranicznych. W trakcie szkolenia urodziła się jego córka Sophie, na świat przyszło potem jeszcze dwoje dzieci Szaj i Irit. Ale kiedy Eli podjął pracę w wywiadzie, bywał w Izraelu sporadycznie, jakąś cenę za to zapłaciła na pewno jego rodzina.

Eli Cohen uważany jest za jednego z najbardziej skutecznych szpiegów w historii Izraela, dostarczał bezcennych informacji. Jego wizerunek utrwaliła popkultura, w tym francusko-amerykański serial „The Spy". Na ile prawdziwy?

Nie do końca mamy wpływ na jego wizerunek w popkulturze, nie zawsze byłem zadowolony ze sposobu, w jaki go przedstawiano, bo nie był żadnym Jamesem Bondem, tylko postacią z krwi i kości. A informacje, jakie przekazywał, były rzeczywiście imponujące.

W Syrii działał jako Kamal Amin Tabet na podstawie stworzonej przez Mosad legendy – rzekomo urodzony w Bejrucie, dzieciństwo spędzone w Aleksandrii, biznesmen, po dziewięciu miesiącach w Argentynie, gdzie się uwiarygodnił i nawiązał kontakty z lokalnymi Syryjczykami i Libańczykami, w tym wojskowymi, co się potem bardzo przydało. Do Syrii pojechał zaopatrzony w ważne gadżety, w tym materiał wybuchowy i truciznę ukrytą w mydle oraz radio tranzystorowe do odbioru rozkazów z Izraela. Mikrofilmy wysyłał w drogich paczkach do Niemiec, skąd trafiały do Izraela. W Syrii czuł się jak ryba w wodzie – występował w radiu, gdzie przedstawiano go jako patriotę, zbliżył się do syryjskiej elity, w tym zaprzyjaźnił z szefem sztabu Aminem al-Hafizem i wieloma wysokimi rangą oficerami, a ówczesnemu premierowi Salahowi al-Bitarowi towarzyszył podczas oficjalnej wizyty w Jordanii. Dzięki tym znajomościom był zapraszany na Wzgórza Golan, wówczas syryjskie, które sprawiały wiele kłopotów Izraelowi.

Był kreatywny i niekonwencjonalny – np. jego pomysł sadzenia na Wzgórzach drzew eukaliptusowych, rzekomo dla cienia, a w rzeczywistości dla oznaczenia syryjskich pozycji wojskowych, był brawurowy. Podobnie z kursem pilotażu, który przeszedł, i zwiedzaniem jednostek sił powietrznych – dzięki temu poznaliśmy dokładne rozmieszczenie samolotów syryjskich, co wykorzystaliśmy potem w czasie wojny sześciodniowej, błyskawicznie niszcząc ich lotnictwo. Zaprzyjaźnił się z sekretarkami najważniejszych ministerstw i przekonał je, by przekazywały mu dokumenty, bo musi wiedzieć, co ma doradzać prezydentowi. Słał meldunki o ruchach wojsk, lokalizacji syryjskich baz, a także prac nad zmianą kierunku rzeki Jordan, by nie wpływała do Jeziora Galilejskiego, lecz rzeki Jarmuk w Jordanii, co byłoby katastrofalne dla Izraela. Tylko od 15 marca do 29 sierpnia 1964 r. wysłał 100 depesz. Dotyczyły decyzji podejmowanych w rządzie, tego, kto faktycznie sprawuje władzę w armii oraz w partii.

Rodzina nie podejrzewała, czym się naprawdę zajmuje?

Nie, wtedy nie wiedzieliśmy, chociaż wszystko stało się jasne 5 września 1963 r., kiedy nasz brat Maurice, który pracował w Mosadzie i odbierał depesze, zwrócił uwagę na zawartą w jednej z nich informację od agenta o numerze 566. Depesze były oczywiście zaszyfrowane, a podstawą był kod zawarty w książce „Trzej muszkieterowie" – nadawca i odbiorca korzystali z tego samego wydania. We wspomnianej depeszy były życzenia urodzinowe dla Nadii i pytanie, czy dotarła do niej maszyna do szycia. Cała rodzina wiedziała, że Nadia dostała właśnie maszynę od Eliego. Nie trzeba było być geniuszem, by połączyć kropki. Widzieliśmy się kilka tygodni przed jego aresztowaniem, wtedy dowiedział się, że rodzina wie, czym się zajmuje. To go bardzo zdenerwowało, bo było sprzeczne z zasadami konspiracji. Nawet najbliżsi nie powinni o tym wiedzieć.

Jego dobra passa w Syrii wkrótce się skończyła. Jak wpadł?

W marcu 1963 r. w Syrii doszło do zamachu stanu. Nowe władze zorientowały się, że Izrael wie coraz więcej. Zaczęło się polowanie. To był gorący czas, trwały aresztowania, oskarżanych o szpiegostwo na rzecz Izraela czy Stanów Zjednoczonych wieszano publicznie w Damaszku. Eli podczas swojej ostatniej wizyty w Izraelu w 1964 r. z okazji narodzin najmłodszego syna Szaja obiecał Nadii, że odejdzie z pracy w maju 1965 r. Aresztowano go jednak 24 stycznia 1965 r., jak się okazało, w chwili gdy nadawał do Tel Awiwu. Jego ostatnia depesza zawierała umówiony sygnał, który wysyła się tylko w sytuacjach śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Potem były pokazowy proces i egzekucja. Nadia próbowała coś wskórać przez kontakty we Francji, w USA, ratować go za wszelką cenę, ale się nie udało. Władze zgodziły się, by w ostatnich chwilach Eliemu towarzyszył naczelny rabin Syrii Nissim Andabo, zgodzono się też, by Eli napisał pożegnalny list do żony.

Oglądaliście jego egzekucję w telewizji?

Nie w każdym izraelskim domu był telewizor, nam podczas procesu Eliego Mosad przydzielił odbiornik, ale na czas egzekucji go zabrali. Mieliśmy jednak radio, byliśmy świadomi, co się działo w jego ostatnich chwilach. Potem przez lata udało się zrekonstruować niemal każdy najdrobniejszy szczegół.

Po śmierci Eliego ukazała się w syryjskiej prasie informacja, że władze są gotowe oddać jego ciało.

To okazało się nieprawdą. Jego szczątki nadal gdzieś tam są.

Niezaprzeczalnie Eli Cohen dostarczył wielu cennych informacji dla Izraela, z drugiej strony jego śmierć była ciosem dla waszej rodziny. Myśli pan czasem, czy to wszystko było tego warte?

To jedno z najtrudniejszych pytań, nie da się na nie uczciwie odpowiedzieć. Jedno jest pewne – jestem ogromnie dumny z brata i z tego, co zrobił dla kraju. Od 60 lat śledzę wszystkie wzmianki na jego temat w prasie na całym świecie, co chwilę ukazuje się coś w tak odległych miejscach jak Indie, Chiny czy Japonia. Musi być więc w tej historii coś takiego, że po tylu latach wciąż interesuje ludzi.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA ZAGNER

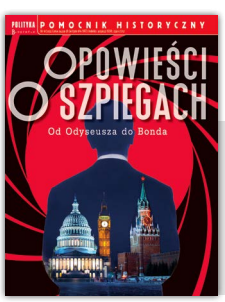

KUP TERAZ

Więcej o Mosadzie w Pomocniku Historycznym **„OPOWIEŚCI O SZPIEGACH"**.
Wydanie papierowe – **sklep.polityka.pl.**
Wersja cyfrowa – **subskrypcja serwisu polityka.pl.**

eprasa.pl 3c38c03389

serial

Duma po polsku 5/6

Proud, twórca serii: Karol Klementewicz, 8 odc., HBO Max

Premierę „Proud" (ze scenariuszem Karola Klementewicza i Moniki Pęcikiewicz, w reżyserii tego pierwszego) poprzedziły nagrody na prestiżowym festiwalu Series Mania w Lille: serial otrzymał Grand Prix, a odtwórca głównej roli **Ignacy Liss** został najlepszym aktorem. Co doceniło jury? Trzy udostępnione do recenzji odcinki zapowiadają nowocześnie zrealizowaną i intrygująco prowadzoną opowieść o młodym geju, który rozrywkowym (na granicy samounicestwienia) trybem życia i bezczelnością maskuje niezagojone rany z dzieciństwa. Gdy jego siostra, samotna matka rocznej dziewczynki, nagle umiera, chłopak staje przed zadaniem z pozoru niewykonalnym, a nawet dwoma. Pierwsze to ekspresowo dorosnąć do odpowiedzialności za dwa życia, podczas gdy dotąd średnio radził sobie z jednym. Drugie zaś to zostać prawnym opiekunem siostrzenicy w Polsce – kraju, w którym homofobia jest instytucjonalna, a osoby LGBT wciąż muszą walczyć o uznanie swoich podstawowych praw.
Poważne tematy równoważone są w tym serialu lżejszymi akcentami, dialogi nie szeleszczą. W centrum stoi Filip (świetny Liss) – chłopak w ciągłym biegu, który nagle musi zwolnić. Dobrze udało się też uchwycić współczesną Warszawę, absurdy branży rozrywkowej i funkcjonowanie rodziny z wyboru (m.in. Maria Sobocińska, Maja Ostaszewska i Paweł Tomaszewski). Przed trzema laty w „Udarze" nieco podobne tematy w nowoczesnej formie i tonie komediowo-dramatycznym podjął Paweł Demirski i warto przy okazji „Proud" wrócić do tamtego serialu.

ANETA KYZIOŁ

galeria

Skarbiec kina 5/6

40 skarbów na 40-lecie Muzeum Kinematografii, Łódź, wystawa czynna do końca roku

Jubileuszowe przedsięwzięcie celebrujące cztery dekady działalności łódzkiego Muzeum Kinematografii odchodzi od tradycyjnej wizji kuratorskiej na rzecz osobistych i subiektywnych wyborów. Do współtworzenia ekspozycji zaproszono 40 wybitnych przedstawicieli świata filmu, nauki i kultury (m.in. Jerzego Hoffmana, Tadeusza Lubelskiego czy Allana Starskiego), z których każdy wskazał jeden szczególnie ważny dla siebie obiekt z liczącej ponad 90 tys. artefaktów kolekcji muzeum. Miejsce ekspozycji, czyli zabytkowy pałac Karola i Anny Scheiblerów, perła XIX-wiecznej architektury fabrykanckiej, sam w sobie stanowi historyczną tkankę kina – służył przez dziesięciolecia jako autentyczna scenografia do takich produkcji jak „Stawka większa niż życie", „Jak daleko stąd, jak blisko", a przede wszystkim „Ziemia obiecana". Andrzej Wajda od początku wspierał instytucję, przekazując jej pomnik Birkuta oraz kolekcję plakatów, a jego obecność jest silnie zaznaczona również na jubileuszowej wystawie. Wśród wybranych skarbów znalazły się m.in. laska Hermana Bucholca, kostium Moryca Welta, scenariusz do „Panien z Wilka" czy odwrócony krucyfiks z „Popiołu i diamentu". Całość została zaaranżowana na wzór królewskiego skarbca, co ma podkreślać rangę prezentowanych zabytków techniki, rekwizytów i dokumentów.

Od lewej: **kamera AGFA przekazana przez Andrzeja Wajdę. Legitymacja Jerzego Kawalerowicza, członka Stowarzyszenia Filmowców Polskich.**

JANUSZ WRÓBLEWSKI

©HBO MAX, ŁUKASZ GRYGIEL, AGAINST GRAVITY, WATCH DOCS, ŁUKASZ BRODOWICZ

eprasa.pl 3c38c03389

film

W pogoni za duchami 4/6

Sny o słoniach (Ghost Elephants), reż. Werner Herzog, prod. USA, 98 min, w kinach od 12 czerwca

Mistrz Werner Herzog, który od dekad ściga na ekranie to, co nieuchwytne, znów wyrusza na poszukiwanie fantazmatu. Tym razem podąża śladami ekologa Steve'a Boyesa, który w dzikich lasach Angoli tropi legendarne, niemal mityczne stada słoni. Dla Herzoga ekologia to jednak tylko poręczny pretekst. Jako filmowy antropolog (i szaman zarazem) woli badać ludzką obsesję. Boyes idealnie pasuje do jego galerii szaleńców – to duchowy brat Fitzcarraldo, którego napędza *idée fixe*. Bohater jest w dziwnym letargu: im głębiej zapuszcza się w głąb afrykańskiej dżungli, tym mocniej zdaje się pragnąć, by nie znaleźć dowodów na istnienie gigantycznych zwierząt-duchów. Film to swoisty pojedynek nauki z mistycyzmem Khoisan, najstarszych ludów Afryki. Herzog oddaje głos czarnoskórym tubylcom, wsłuchuje się w ich wierzenia, celebruje rytuały, gani krwawe barbarzyństwo dawnych łowców, z drugiej strony – z dziecięcą niemal frajdą podkreśla wizualny przepych muzealnych magazynów Smithsonian Institution, mającej kolonialne grzechy na sumieniu, no i sam bezkrytycznie korzysta z przywileju zawłaszczania natury na potrzeby kina. Henry – gigantyczny słoń, od którego zaczyna się ta opowieść – zostaje tu uśmiercony po raz kolejny: tym razem przez urokliwy, ale bezwzględny herzogowski mit.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Przyjaźń i przemijanie 4/6

Kumotry, reż. Emilia Śniegoska, prod. Polska, 70 min, w kinach od 12 czerwca

Hanka i Bronka mieszkają w Pleszy, wsi w sercu Bukowiny. Założyli ją jeszcze w XIX w. galicyjscy górnicy, ich potomkowie do dziś mówią o sobie, że są polskimi Rumunami. Idylliczne okolice, ale codzienność stawia przed ludźmi, zwłaszcza starszymi kobietami, coraz większe wyzwania. Obie bohaterki są wdowami, ich dzieci dawno wyemigrowały. Miejscowość się wyludnia, wojna w Ukrainie – do granicy zaledwie kilkadziesiąt kilometrów – budzi niepokój, nawet świeżo położona asfaltowa droga potęguje wrażenie, że dawna Plesza jest już wspomnieniem. Jednak dokument Emilii Śniegoskiej ucieka od elegijnego tonu. Uwaga reżyserki skupia się na dwóch sąsiadkach, które większość czasu spędzają na wspólnej pracy, rozmowach, wędrówkach. Znają się od tak dawna, że ich przywiązanie jest czymś więcej niż przyjaźnią czy miłością. To relacja oparta na wzajemnym zaufaniu i zrozumieniu, budowana i testowana przez lata. Śniegoska na szczęście nie próbuje na siłę wtłoczyć bohaterek w ramy feel-good movie, dokumentu podnoszącego na duchu. Jest tu miejsce na radość i spokój, tak samo jak na zwątpienie, strach i podszytą smutkiem nostalgiczną opowieść o bezpiecznym świecie, który powoli odchodzi w przeszłość. To zarazem subtelny film o sile i nadziei płynących ze wspólnoty. Nawet jeśli ta wspólnota składa się z dwóch osób i kilku domowych zwierząt.

JAKUB DEMIAŃCZUK

galeria

Sanatorium sztuki 5/6

Bożenna Biskupska. Gabinet możliwości, vol. II, Fundacja Sztuki Współczesnej, Sokołowsko, do 25 października

Ostatnie lata to dobry czas dla **Bożenny Biskupskiej**. Miała kilka znaczących wystaw indywidualnych, z tą najważniejszą, monograficzną w Muzeum Narodowym we Wrocławiu. Ekspozycja obecnie otwarta jest skromniejsza, ale z kilku powodów zasługuje na odwiedziny, nawet jeśli wymagałoby to nadłożenia drogi przez malowniczy Dolny Śląsk. Bo choć nie prezentuje wszystkich wątków podejmowanych przez Biskupską przez minione pół wieku,

to jest jakby zwierciadłem najważniejszych z nich, na czele z powracającym w różnych odsłonach Jednonogim; figurą niepokojącą, intrygującą, symboliczną, o silnej wymowie egzystencjalnej. Obecną zarówno w potężnych betonowych czy stalowych rzeźbach, jak i w zmultiplikowanych tłumach malutkich postaci zaludniających nagie betonowe przestrzenie, ale też malarskie płótna, tworzącą tajemnicze ni to obrazy, ni reliefy, ni artystyczne instalacje. Powód drugi to samo miejsce: z mozołem odbudowywany z ruin przez Fundację In Situ neogotycki, imponujący gmach dawnego sanatorium dr. Brehmera, znajdujący się – przypomnę – w samym centrum powieści Olgi Tokarczuk „Empuzjon". Przesiąknięte surową duchowością prace Biskupskiej idealnie wpisują się w ten klimat.

PIOTR SARZYŃSKI

eprasa.pl 3c38c03389

Rzeka szczerości 5/6

Wit Szostak, **Suche strugi**, Wydawnictwo Powergraph, Warszawa 2026, s. 336

Starzejąca się Helena siada przed jedyną ocalałą ścianą wyburzanej krakowskiej kamienicy. Rozpamiętuje tajemnice swoich sąsiadek: Redaktorki, która zawsze była obiektem kamienicznych plotek, i zamkniętej w sobie, wycofanej Niedorzecznej. Przede wszystkim jednak wspomina swoje życie „spokojne i ciche, manifest szarości. Nie warto o nim nawet opowiadać, nikogo nie zainteresuje". Lecz z biegiem czasu z tej nudnej zwyczajności zaczyna się wyłaniać pełniejszy obraz skomplikowanych uczuć, zduszonych w sobie pretensji, rodzinnych dramatów. Odsłania życie tkane z niedopowiedzeń, przemilczeń i kłamstw. Dla Heleny szarość jest również wyborem, ucieczką od przeszłości, od nieznośnego ciężaru pamięci. W „Suchych strugach" pozornie dzieje się niewiele, lecz jest w nich szczerość, emocjonalna prawda, udana próba spojrzenia na trudną historię Polski przez pryzmat jednostkowych doświadczeń. A przede wszystkim piękno i elegancja języka. Kolejne rozdziały – każdy napisany w nieco innym stylu, a jeden będący całkiem dosłownie milczeniem – coraz głębiej cofają się w przeszłość Heleny, uzupełniają luki w jej opowieści, pozwalają spojrzeć na jej życie z innego punktu widzenia. Jak zawsze proza Wita Szostaka jest jednocześnie rzeką i muzyką. Płynie niespiesznym tempem, meandruje, zachęca, by wsłuchać się w melodię zdań, w motywy, rekwizyty, czasami pojedyncze słowa powracające niczym refreny. Warto się poddać jej nurtowi, odkryć jego tajemnice. JD

Chicago noir 4/6

Grzegorz Dziedzic, **Ostatni koniec świata**, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2026, s. 416

Chicago, Polonia układa sobie życie, wsiąka w amerykańską tkankę, ale i ciągle trochę odstaje. Dlatego ci z dyplomami jeżdżą zwykle ciężarówkami: „Na chicagowskich budowach i na amerykańskich autostradach można spotkać sporo polskich humanistów". Co innego Radek Rudy Kowalski, który został tu detektywem i najwyraźniej się zadomowił. Praca bywa jednak utrapieniem, śni się po nocach, a jemu właśnie została przydzielona – niespodzianka – tajemnicza polska sprawa. Kobieta, Polka, dokonuje, jak się sądzi, tzw. samobójstwa rozszerzonego. Zabija syna i siebie, oszczędza drugie dziecko i psa. Chwilę wcześniej flirtowała z sektą, jako jasnowidzka spodziewała się końca świata. Dla Kowalskiego świat faktycznie w pewnym sensie się kończy, z dnia na dzień wszystko spada mu na głowę. To ciekawy, pełnokrwisty bohater, katolik i rozwodnik, zdeklarowany Republikanin, wreszcie alkoholik, który teraz pomaga innym wyjść z nałogu, choć sam równie mocno potrzebuje pomocy. Grzegorz Dziedzic nie pozwala mu do reszty sparszywieć. Autor ma już w dorobku kryminalną trylogię chicagowską i przewodnik po trzeźwości. Wciąż zgłębia oba tematy, kreśląc szersze tło społeczne. W jego wydaniu amerykański sen bywa dręczącym koszmarem. Ale choć deliryczno-oniryczne Chicago spowija w książce mrok, to nie jest to rzeczywistość czarno-biała, nie ma złych i dobrych szeryfów. Do tego przedziwnym sposobem udało się tu zszyć różne barwne wątki, z UFO włącznie. Dużo grzybów (i grzybków) w tym barszczu. A jednak lekkostrawny.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

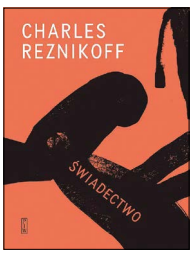

Historia przemocy 5/6

Charles Reznikoff, **Świadectwo. Stany Zjednoczone 1885–1915**. Recytatyw, przeł. Piotr Sommer, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2026, s. 192

Charles Reznikoff jest już w Polsce dobrze znany z wyboru wierszy „Co robisz na naszej ulicy" i prozy „Muzykant", a teraz dostajemy legendarne „Testimony" („Świadectwo"), czyli jego wiersze, które bazują na amerykańskich rejestrach sądowych i prawdziwych zeznaniach dotyczących najrozmaitszych zbrodni. Najpierw może nas zadziwić ta forma – przegląd okrucieństw i przemocy, historie morderstw, gwałtów, których obiektem są słabsi, bo na nich można się wyładować jak na zamęczonym ośle. Czarna kobieta nie zasługuje na to, żeby tramwaj na nią poczekał, bite dziecko przestaje błagać, żeby przestać je bić, bo już nie żyje. A do tego zemsta, nienawiść, bezinteresowna brutalność, gwałt, aborcja prowadząca do śmierci. Znajdziemy u Reznikoffa najczarniejszy portret Ameryki epoki rasistowskiego ustawodawstwa. Autor przygląda się tym przypadkom jako prawnik, ale w tych opowieściach nie chodzi tylko o portret przemocy. „W narracjach o styku historii i prawa próbki języka sądowego są przydatne" – pisze Piotr Sommer. Stawką jest wiersz, w którym forma zeznania zyskuje dodatkowy wymiar. Czasem język zdradza ukryte pokłady – jak w wierszu o hamulcowym, który tłumaczy, dlaczego „kolorowi" muszą podróżować osobnymi wagonami. Niedopowiedzenie, suchy opis, zawieszenie głosu, wszystko to sprawia, że zostajemy ze słowami, detalami, które zyskują znaczenie, jak „kawałek starego piecyka". Ta książka okazuje się opowieścią nie tylko o tym, do czego zdolny jest człowiek, ale też o tym, ile może zrobić wiersz. Nie spodziewalibyśmy się, że aż tyle.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

© DAWID WOLSKI/EAST NEWS, BE&W, MICHIEL DEVIJVER, POSEŁ (7)

eprasa.pl 3c38c03389

Stoją poza grą 5/6

Coals, **Magia**, Sony Music Polska

O śląskim duecie Coals (Kacha Kowalczyk i Łukasz Rozmysłowski) pisaliśmy przy okazji poprzedniej płyty (POLITYKA 16/24), że wiedzą o młodej publiczności coś, czego nie wiedzą inni. Teraz należałoby dodać, że wiedzą coś o światowej scenie, czego nie wie większość polskich wykonawców. Ich eteryczny styl, eksponujący marzycielską aurę, ale i niedoskonałości, doceniono poza Polską. A Kacha znalazła się jako wokalistka na płycie Danny'ego L. Harle'a, na którą ten brytyjski producent przyciągnął także Duę Lipę, Caroline Polachek i PinkPantheress. Ten prestiżowy sukces nie zakłócił pracy Coals. Płyta „Magia" znów odnajduje emocje w formach, które wydają się tworzone lekko, jakby od niechcenia, znajduje też jakąś prawdę o zagubieniu w dzisiejszym świecie, choć nie deklaruje wielkich poszukiwań. Nade wszystko jednak przynosi jedne z najatrakcyjniejszych dotąd utworów grupy: od singli „Pierrot" (z definicyjnym dla nich tekstem „lubimy stać poza grą") i „Fanga" (z Kasią Lins) po równie przekonujące „Traces" z Dunką Moliną oraz utwory albumowe, z powoli budującym napięcie „Smokiem" na czele. Jakaś magia rzeczywiście w tym jest.

BARTEK CHACIŃSKI

Pieśń przeszłości 4/6

Boards Of Canada, **Inferno**, Warp

Szkocki duet Boards Of Canada to bardzo wpływowa efemeryda. Płyty wydają rzadko, najnowsza ukazała się po 13-letniej przerwie, ale za to waga tych albumów bywa ogromna. Debiutancki „Music Has the Right to Children" przyczynił się do powstania nie tyle nurtu, ile całej szerokiej estetyki – wielu kolejnych płyt innych artystów zanurzonych we wspominaniu powidoków ze starej telewizji i kaset VHS. Nostalgicznego, psychodelicznego i bardzo filmowego stylu z duchami przeszłości w tle. Nawet przemiana Radiohead na przełomie wieków miała w tym jedno ze źródeł. Na albumie „Tomorrow's Harvest" bracia Sandisonowie (Michael i Marcus) zwrócili się w stronę klasyków muzyki elektronicznej pokroju Tangerine Dream, ale tegoroczne „Inferno" przywraca w znacznej mierze dawną aurę ich muzyce. Więcej tu partii wokalnych – może wyciętych ze starych taśm, a może (jak spekulują fani) generowanych przez AI – i te wokale wprowadzają nieco nowego ducha (np. w „Age of Capricorn"). Poza tym mamy jednak udaną wariację na temat tego, co już dobrze znamy – filmowej, bardzo plastycznej muzyki nostalgii. BCH

Szkoda łez 2/6

Łzy, **Po drugiej stronie jutra**, Łzy Records

Kariera grupy Łzy trwa od 30 lat, a jej głównym napędem był przebój o Agnieszce, która „dawno już tutaj nie mieszka". Po latach – przedmiot sporu między robiącą już solową karierę wokalistką Anną Wyszkoni a grupą kierowaną przez Adama Konkola, ostatnio przeżywającego problemy zdrowotne. Na nowej płycie „Po drugiej stronie jutra" (tytuł i okładka nawiązują do „platynowego" albumu „Nie czekaj na jutro" z lat popularności grupy) zabrakło także jego. Jest za to ponad 80 minut kompozycji umiarkowanej klasy i świeżości, zastygłych w świecie polskiego rocka późnych lat 90. W sumie to właśnie gdzieś po drugiej stronie jutra, czyli wczoraj. Mimo pozorów zainteresowania jutrem spod znaku AI i utworu „Czad GPT" ogrywającego aktualny temat zalewu banalną i kuriozalną produkcją sztucznej inteligencji („pasta do zębów chce mieć gitarę, pies w czarnej dziurze robi imprezę" itd.). Niestety, reszta tekstów też brzmi jak efekt pracy algorytmów. Mamy tu wręcz kopalnię siermiężnych rymów. „Pełnia" wróży, że coś się „spełnia", a „jeśli podnosisz na mnie głos, to psu się zjeżył włos". Szkoda czasu. BCH

nie przegap

Blindead 23, **Deuterium**, Mystic Production

Blindead 23 tworzą muzycy z bogatym dorobkiem i doświadczeniem na scenie metalowej, ale „Deuterium" to debiut obecnej inkarnacji zespołu. Łączy ciężar i furię progresywnego metalu z melancholią, refleksyjnością, a chwilami wręcz zaskakującym pięknem kompozycji. Dla każdego z członków zespołu to otwarcie nowego twórczego rozdziału, dla słuchaczy – nie tylko fanów muzyki ekstremalnej – dowód, że w metalu wciąż jest miejsce na eksperymenty i zaskoczenia. JD

Milczenie owiec, reż. Jonathan Demme, w kinach od 12 czerwca

Wybitny thriller, adaptacja powieści Thomasa Harrisa. Młoda agentka FBI musi współpracować z siedzącym w więzieniu kanibalem Hannibalem Lecterem, by złapać psychopatycznego zbrodniarza. Arcydzieło suspensu warte m.in. pięciu Oscarów, w tym dla najlepszego filmu, za reżyserię i znakomite role **Jodie Foster** i **Anthony'ego Hopkinsa**. I choć nie był to pierwszy film o Lecterze, to „Milczenie owiec" uczyniło z tej postaci jednego z najsłynniejszych czarnych charakterów w dziejach kina. JD

46. Warszawskie Spotkania Teatralne, 11–24 czerwca

„Przełomy: osobiste i polityczne, artystyczne i pokoleniowe, społeczne, strukturalne i emocjonalne" – to temat łączący 16 zaproszonych na WST spektakli. Ta edycja festiwalu też jest przełomowa, bo obok zwyczajowo zapraszanych najciekawszych przedstawień z polskich scen do Warszawy przyjadą też gwiazdy scen europejskich: Romeo Castellucci z Isabelle Huppert („Bérénice" – rozmowa z aktorką s. 84), Tiago Rodrigues (**„No Yogurt for the Dead"**) i Marina Otero („Ayub"). AK

eprasa.pl 3c38c03389

Paweł Pawlikowski (ur. w 1957 r.) – reżyser filmowy i scenarzysta. Laureat Oscara za „Idę". W wieku 14 lat wyjechał do Anglii, gdzie spędził blisko trzy dekady. Studiował literaturę i filozofię w Oksfordzie. Debiutował głośnymi dokumentami realizowanymi dla BBC, m.in. o Jerofiejewie i oblężeniu Sarajewa. Za granicą nakręcił kilka pełnometrażowych fabuł, m.in. „Ostatnie wyjście" i „Lato miłości", oba uhonorowane nagrodą BAFTA w kategorii najlepszy brytyjski film roku. „Zimna wojna", oprócz trzech nominacji do Oscara, otrzymała nagrodę za reżyserię w Cannes i pięć Europejskich Nagród Filmowych. „Ojczyzna", również nagrodzona w Cannes za reżyserię, wejdzie do polskich kin 19 czerwca.

Tylko ręka Boga

© ANTONIN THUILLIER/AFP/EAST NEWS, AGATA GRZYBOWSKA

eprasa.pl 3c38c03389

Pogodziłem z faktem, że tak do końca nigdzie nie będę w domu. No i czuję się trochę uchodźcą z XX w. – mówi Paweł Pawlikowski, autor filmu „Ojczyzna", uhonorowanego w Cannes za najlepszą reżyserię.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Odbierając nagrodę na festiwalu, mówiłeś, że trzeba oczyścić przestrzeń dla sztuki. Z czego? Z polityki?**

PAWEŁ PAWLIKOWSKI: – Nie, tego wcale nie powiedziałem. Przecież wszystkie moje filmy są polityczne. Chciałem tylko przypomnieć, że sztuka nie powinna przejmować narracji aktywistów i polityków, ale iść swoją drogą i ukazywać prawdę o ludziach, o historii, która, jak wiemy, bywa skomplikowana i pełna paradoksów. Mówić o polityce to nie to samo, co wałkować w kółko te same tematy, przemawiać do swojej publiczności, zamykać się na inne. To nie jest dobre ani dla polityki, ani dla sztuki. Muszę przyznać, że robienie filmów stało się dla mnie pewnego rodzaju ucieczką od świata, w którym o niczym nie da się rozmawiać szczerze i normalnie. Wystarczą dwa słowa i już podpadasz jednej czy drugiej stronie, i już cię wrzucają do jakiejś bańki, linczują.

Wszystko działa teraz według algorytmów.

Trochę tak jak na Amazonie, kupujesz jedną książkę i od razu wyskakuje cały szereg innych podobnych. Spodobało ci się to – spodoba ci się jeszcze to, to i to. Niestety, tylko to i niekoniecznie tamto. Tak samo z poglądami – jesteś za czymś, więc automatycznie: i za tym, i za tamtym. No nie, niekoniecznie. Długo żyłem w różnych światach i wiem swoje. Pozwólcie mi myśleć à la carte. Być jak Leszek Kołakowski konserwatywno-liberalnym socjalistą. Rozumiem, że większość ludzi jest dziś pogubiona, boi się samotności, chce należeć do grupy, myśleć według jakiejś jednej narracji. Wszystko musi mieć prosty sens: winny jest liberalizm, Unia Europejska, światowe żydostwo, gender, Ukraińcy. Albo toksyczna męskość, patriarchat, Zachód, imperializm, światowy syjonizm. Najgorsze jest to, że większość ludzi nie czerpie już wiedzy i wniosków z własnego doświadczenia, bo coraz mniej się w ich życiu dzieje. Nasza rzeczywistość przeniosła się do świata cyfrowego, a tam łatwo mieć wiedzę i opinię na każdy temat – opinię, która cię nic nie kosztuje. Dysproporcja między bezpośrednim doznaniem a coraz mocniejszymi, spolaryzowanymi przekonaniami pogłębia się.

Nie każdego stać na bycie indywidualistą. Może za dużo wymagasz od ludzi?

Ale co najmniej w sztuce powinno to być możliwe i dozwolone.

Nie wszyscy artyści mają wielkie ambicje. „Ojczyzna" miała być ekranizacją głośnej książki Colma Tóibína „Czarodziej", takie przynajmniej chodziły słuchy. Ale okazuje się, że nie jest. Dlaczego?

Pewien włoski producent kupił prawa do biografii Tomasza Manna napisanej przez Colma Tóibína i przysłał mi ją z zapytaniem, czy nie chciałbym zrobić z tego filmu albo serialu. Odpisałem, że nie. Nie robię adaptacji, seriali, a już na pewno nie robię „biopików". Ale znalazłem w tej biografii opis pierwszej wizyty Manna w Niemczech w 1949 r., po 16 latach uchodźstwa. I w tym było coś ciekawego, punkt zaczepienia do filmu, o sprawach, które akurat chodziły mi po głowie: rozpad starego porządku, duchowa bezdomność, podzielony świat, dwie ideologie walczące o duszę starego Manna, który stara się stać ponad i robić swoje. Odłożyłem Tóibína, przeczytałem wszystkie biografie Manna, reportaże na temat tej podróży i powoli coś się zaczęło wykluwać.

Fantazja – tym słowem określasz konwencję filmu, nie chcąc, by łączono „Ojczyznę" ze ścisłą biografią Manna. Dlaczego?

Problem polegał na tym, że prawdziwa podróż Tomasza Manna po Niemczech była długa i rozwlekła. Brakowało jej dramaturgii. Żeby wyrzeźbić z niej film, zdecydowałem się radykalnie ją uprościć i skrócić, zmienić chronologię wydarzeń i nawet personel. Zredukowałem całą podróż do pięciu dni, robiąc z niej coś w rodzaju

Sandra Hüller jako Eryka Mann i Hanns Zischler jako Tomasz Mann. Kadr z filmu „Ojczyzna".

road movie, tak trochę w stylu „Idy". W mojej wersji Mann jedzie z Frankfurtu, który jest w rękach Amerykanów, prosto do Weimaru będącego w rękach Sowietów. I nie jedzie z szoferem i z żoną Katią, tylko z córką Eryką, o wiele ciekawszą i bardziej skomplikowaną postacią. Eryka była za młodu kierowcą rajdowym, a po wojnie została asystentką i redaktorką ojca, więc pomysł, żeby to ona szoferowała i towarzyszyła ojcu, nie był kompletnie od czapy. Przeniosłem też w czasie samobójstwo Klausa Manna, syna Tomasza i brata Eryki. Klaus zabił się trzy miesiące wcześniej. W momencie kiedy Tomasz Mann był ze swoim przemówieniem w Sztokholmie. Ale tak jak u nas w filmie Mann nie przerwał swojej misji i nie pojechał na pogrzeb Klausa w Cannes. W ramach licencji poetyckiej dorzuciłem też Gründgensa, ulubionego aktora Goeringa i byłego męża Eryki, jej byłą kochankę Betty i wnuków Ryszarda Wagnera. Powstała z tego niezła mieszanka wybuchowa. Ale film opowiada to wszystko w prosty i spokojny sposób. ▶

eprasa.pl 3c38c03389

▶ Dlaczego w ogóle zająłeś się Tomaszem Mannem? Jak ważny to był pisarz dla ciebie?

„Ojczyzna" nie jest filmem o nim jako pisarzu. To jest gdzieś na drugim planie. Dla mnie to bardziej opowieść o Eryce i jej rozdarciu między ojcem, którego kochała i podziwiała, a bratem, z którym miała więź wręcz symbiotyczną. Eryka stanowi emocjonalne centrum tej historii. Z Klausem zachowywali się jak bliźniacy, choć nimi nie byli. Dzielili się wszystkim od dziecka. Razem pisali książki, podróżowali, występowali na scenie, mieli wspólnych kochanków. Na wygnaniu ich relacja zaczęła się kruszyć. Klaus był narkomanem, popadał w depresję, dwa razy próbował popełnić samobójstwo. Eryka nie dawała rady, nie wiedziała, jak mu pomóc. Jednocześnie musiała się opiekować ojcem, który też był chory i kruchy. Była jego ulubionym dzieckiem. Z końcem wojny przestała pracować jako wojenna reporterka i dawać wykłady na temat Niemiec i nazizmu, na których zarabiała. Nie wiedziała, co ze sobą robić, więc została redaktorką i asystentką ojca. Co ciekawe, miała też romans z jego bliskim kolegą w tym samym wieku co on, słynnym dyrygentem Bruno Walterem, który był sąsiadem w Los Angeles. Więc przy okazji cierpiała na kompleks Elektry. Strasznie skomplikowana była.

Jak cały ten filmowy trójkąt: ona–brat–ojciec.

W to się wpisuje szczególna relacja Tomasz–Klaus. Ojciec opisał kiedyś w swoim dzienniku, jak pożąda swojego syna. Pisał o tym wprost, lecz nic nie zrobił w tym kierunku. Miał po prostu taką potrzebę, żeby wszystko, co czuł i myślał, nawet przelotnie, opisać, ująć w słowa. Oczywiście nie dlatego Klaus się zabił. Miał wiele innych powodów, by to zrobić. Jego najważniejsza i najlepsza powieść „Mefisto" miała zakaz publikacji. Pozostałe nie odnosiły sukcesów. Pisał dosyć bałaganiarsko, inaczej niż ojciec. Bardziej spontanicznie, dziko; był trochę grafomanem.

Ofiarą egoizmu Tomasza padł także jego najmłodszy syn Michael, który również popełnił samobójstwo, chociaż nie rywalizował z ojcem tak jak Klaus.

Trudno powiedzieć, czy Klaus rywalizował. Nie miał jak z takim bogiem się mierzyć. Tomasz napisał mnóstwo książek, dostał Nobla, był już za życia klasykiem. Klaus ciągle tkwił w jego cieniu. Ale walczył. Pisał eseje, jeszcze przed wojną był redaktorem czasopisma poświęconego literaturze antynazistowskiej w Amsterdamie. Gdy go spotykamy, jest pogubionym narkomanem. I już nawet nie wie, w jakim języku pisać. Po angielsku, niby dla kogo? No i o czym? Kto miałby być jego publicznością? W przeciwieństwie do ojca, który zbudował sobie olimpijską pozycję, ponad kraje, ponad kultury. Był instytucją samą w sobie. Tam, gdzie ja, tam są Niemcy. Naturalnie – te dobre Niemcy.

Ciekaw jestem, jaki jest twój stosunek do prozy Manna? Niektórzy uważają, że jego pisarstwo jest zbyt oderwane od rzeczywistości.

Za młodu mnie nudził. Wolałem bardziej emocjonalną literaturę i bardziej wynalazcze formy. Na starość coraz bardziej go rozumiem i cenię – jego precyzję, mądrość, ironię, szeroką perspektywę, głębię.

Polubiłeś go jako człowieka?

Widzę jego ograniczenie emocjonalne, wiem jednak, że te uczucia w nim są. Cały wic polegał na tym, aby ta podróż je z niego wydobyła.

Z kim się utożsamiałeś w „Ojczyźnie"?

Z każdym z trojga bohaterów. W każdą z postaci mogłem się wczuć. W Klausa totalnie. Jego monolog pisałem z duszy. Pomagał mi w tym wspaniały aktor August Diehl. „Mów! Po której stronie jesteś?", „Kiedy ostatni raz czułeś, że coś czułeś", „W co tu wierzyć?" – bardzo mi to bliskie. I chyba nie tylko mnie. Tomasza też rozumiem: kiedy podejmuję się jakiegoś zadania, też bywam mało empatyczny. Ludzie czegoś ode mnie oczekują. Staram się być ponad to. Łudzę się, że jestem mądrzejszy, że wywieram jakiś wpływ na rzeczywistość. Okazuje się, że nie. Też czuję, że świat, w którym wyrosłem i żyłem, się skończył, że nowej rzeczywistości nie ogarniam i robię dobrą minę do złej gry. Ale najbliższą mi postacią jest Eryka. W swoim rozdarciu i poczuciu winy.

W twoich trzech ostatnich filmach uderza mnie motyw tęsknoty za sacrum. Ida chroni się w klasztorze. Zula z mężem spotyka się w niebie, Mann wzrusza się i płacze, słuchając „boskich" dźwięków muzyki Bacha. Za czym tęskni? Za religią?

Nie wiem, czy za religią. Może za cywilizacją, która leży w zgliszczach? Za harmonią? Za absolutem? No i za Klausem oczywiście, którego bezpowrotne odejście nagle poczuł. Erika przypomina wcześniej w filmie ojcu, że pod koniec życia Klaus słuchał tylko Bacha, co spowodowało, że prawie uwierzył w Boga. Słowo „prawie" jest tu kluczowe.

Ty też tak masz?

Nie mogę ci odpowiedzieć. Dobrze wiedzieć, że to, co tu jest, nasze ludzkie sprawy, to, co racjonalnie stara się ogarnąć nasz mózg, to nie jest wszystko. Ale zostawmy to... Robię filmy, żeby nie musieć o takich rzeczach mówić.

Zajęcie się skromną 82-minutową „Ojczyzną" to był rodzaj artystycznej terapii po odwołaniu „Island", dużego projektu z Joaquinem Phoenixem i Rooney Marą?

To był cios. Nad „Wyspą" pracowałem trzy lata. Pieniądze były europejskie, znaleźliśmy lokacje, mieliśmy dogadanych aktorów. Joaquin super pasował do roli – jest wulkanem powściągniętej emocji. Przy tym jest bardzo plastyczny, intensywny, magnetyczny. Rooney też pasowała jak ulał. Projekt padł dwa tygodnie przed początkiem zdjęć z powodu strajku aktorów w Stanach. Joaquin napisał podanie do amerykańskiej Gildii aktorów, prosząc o dyspensę, tłumacząc, że to wyjątkowy, niekomercyjny projekt, a przecież strajk był wymierzony przeciwko wielkim studiom i platformom streamingowym. Ale na nic się to zdało. Poczułem pustkę. Zająłem się wymyślaniem nowych filmów i pisaniem scenariuszy.

Sposobem odzyskania kontroli nad twoim życiem zawodowym mógł być „Limonow", ale oddałeś ten scenariusz Kiriłłowi Sieriebriennikowi, rosyjskiemu reżyserowi, od paru lat żyjącemu na emigracji, dlaczego?

„Limonowa" zacząłem pisać dla siebie, bo to postać superciekawa, taki bohater naszych postmodernistycznych czasów. Poznałem go kiedyś w Bośni, kiedy walczył po stronie serbskich czetników. Robotnik, poeta, dysydent, punk, homoseksualista, anarchista, dandys, bolszewik, no i faszysta, kiedy to jeszcze nie było modne. Zawsze pod włos, zawsze przeciw. Napisałem ten film nie w kształcie biografii, ale jako pewnego rodzaju kolaż złożony z jedenastu krótkich filmów obrazujących różne okresy i twarze Limonowa. Ale straciłem serce do tego filmu, kiedy spotkałem Limonowa w Moskwie tuż przed pandemią. Nie był już odważnym prowokatorem, ale starym narcyzem. Chciał, żeby go zagrał Johnny Depp. A poglądy miał podobne jak swój prezydent. Weźcie sobie Polacy zachodnią Ukrainę, Węgrom też się coś dostanie. A Rosja wchłonie całą resztę i będzie po kłopocie – mówił. Będę mu wystawiał laurkę, pomyślałem? Sieriebriennikow odziedziczył scenariusz i przerobił na film w swoim stylu.

eprasa.pl 3c38c03389

Pracując nad „Ojczyzną", też pytałeś – jak Mann – „gdzie jest ta moja ojczyzna"?

Wracając w 2013 r. do Polski, poczułem się bardzo u siebie. Szczególnie tu, na Mokotowie, gdzie się urodziłem i gdzie teraz mieszkam. Z drugiej strony ta Polska jest bardzo inna od kraju, w którym kiedyś wyrosłem. Czego szukam? Chyba już niczego. Pogodziłem z faktem, że tak do końca nigdzie nie będę w domu. No i czuję się trochę uchodźcą z XX w.

Odnajdujesz się w obecnych kłótniach i wojenkach rodaków?

Wolę stać z boku. Nie udzielam się w mediach, ani w tych publicznych, ani w tych społecznościowych. Teraz udzielam ci wywiadu, bo wychodzi mój nowy film. Ale wolę siedzieć cicho, obserwować świat, czytać książki, wymyślać filmy. Nie słucham za bardzo, jakie ludzie wyrażają opinie, wolę patrzyć, kim są i co robią.

Często kolekcjonujesz różne tematy, postaci, pozornie niepasujące do siebie wątki, a potem łączysz je w zaskakująco spójną całość. Jak powstaje ten wyrazisty, skondensowany styl twoich filmów?

Najważniejsze jest wymyślić ciekawą, wielowarstwową historię. Potem wszystko, co mi przychodzi do głowy, wrzucam do kotła, następnie zaczyna się rzeźbienie. Krok po kroku staram się wyeliminować zbędne postaci, sceny, ekspozycję i słabe dialogi, których głównym celem jest udzielenie informacji o tym, jak się bohaterowie czują, co myślą albo co będzie dalej z intrygą. Powoli zostaje tylko to, co jest mocne, potrzebne i co się da opowiedzieć obrazem. Ten proces zaczyna się od scenariusza, ale dotyczy każdego etapu. Wszyscy wiedzą, że u mnie nie ma ostatecznej wersji scenariusza, bo cały czas go przerabiam i dopracowuję – w trakcie dokumentacji, castingu, prób... Montuję film na bieżąco i obserwuję, jak mi rośnie. Kombinuję, co by tu można wyrzucić, przerobić, dodać. Wiele scen wymyślam w trakcie zdjęć. Nawet na planie, między ujęciami, często coś zmieniam, u aktora, w dialogu, w obrazie. Na szczęście mam producentkę, która ten proces rozumie. No i Łukasza Żala, który jest ze mną, symbiotyczny i wczuty w ten sposób pracy.

Niektórzy aktorzy, szczególnie amerykańscy, nie przepadają za improwizacją.

To, co ja robię, to nie jest improwizacja. To bardziej takie moje rzeźbienie z obrazem i aktorem. Aktorzy nie mają ze mną łatwo. Sandra Hüller na przykład przywykła do zupełnie innego trybu i musiała się przyzwyczaić. Ma teatralne wykształcenie i respekt do tekstu, więc kiedy coś przerabiałem czy wyrzucałem na bieżąco, była trochę zaaferowana. Dziwiło ją też, że zajmuję się nie tylko aktorem, ale też obrazem, kadrem, tłem. W większości filmów reżyser zostawia te sprawy operatorowi. Dla mnie aktor i kadr są częścią tego samego. Aktorstwo zyskuje na mocnym obrazie i vice versa. Na szczęście Sandra jest genialną, intuicyjną aktorką i szybko się dotarliśmy... Lubię stwarzać jakąś rzeczywistość, jakiś moment prawdy, i uchwycić to w mocnym kadrze. To mi pewnie zostało z dokumentu. Lubię, kiedy nie czuć scenariusza, kiedy wydaje się, że to, co filmujemy, wydarzyło się tylko ten jeden raz. Ot, tak, po prostu, bez intencji reżysera i aktora. Że jest w tym tylko ręka Boga.

Kwadratowy format zdjęć, czarno-biała fotografia, wyraźny podział na górę i dół – to twój język. Zobaczymy go w następnych filmach?

Nie wiem. To zależy. Ostatnie trzy filmy działy się w czasach, które pamiętałem albo wyobrażałem sobie w czerni i bieli. Trudno by mi było powiedzieć, jakie w tych czasach były kolory. Zastanawialiśmy się kiedyś z Łukaszem, czy „Zimnej wojny" nie nakręcić w stylu filmów z epoki, na enerdowskiej taśmie ORWO, w lekko rozmytych zieleniach i czerwieniach. Doszedłem jednak szybko do wniosku, że wyszedłby z tego jakiś pretensjonalny pastisz. Czerń i biel pomagają mi też uprościć i wyabstrahować świat, do czego zawsze dążę. „Ida" była zainspirowana zdjęciami z albumów rodzinnych, które zachowały się w mieszkaniu na Puławskiej. Strasznie mało było na nich przedmiotów. Obraz na ścianie, lampa, fotel, telewizor Wisła – i tyle. Tęsknię za prostotą.

Za poezją i pięknem chyba też.

Podoba mi się, że w filmach mogę uporządkować świat, wyeliminować hałas i bałagan. Że każdy element i ruch coś znaczą. Chyba na tym polega sztuka. Nie pokazywać wszystkiego. Pokazać esencję. Reszty widz może się domyślić.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

REKLAMA

Przez 25 lat wsparliśmy 407 naukowców!

26 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

Jesteś młodym ambitnym naukowcem?
Prowadzisz niebanalne, ważne społecznie projekty badawcze?
Wystartuj w konkursie o nasze stypendia naukowe!

Formularz zgłoszeniowy: polityka.pl/stypendia

Na zgłoszenia czekamy do 14 czerwca!

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2026
KOPIPOL

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
zaKS sprzyjamy wyobraźni

Patron honorowy
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Patroni medialni
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl 3c38c03389

Poznaj sąsiadów: dwie trasy turystyczne

Budziszyn

Tętniące życiem miasta, wypełnione ciszą klasztory, widoki jak z najlepszych filmów i nieustannie zmieniający się krajobraz – od potężnych skał, przez wijącą się łagodnie pomiędzy nimi rzekę, aż po malownicze winnice: najbardziej zaskakujące zakątki Saksonii to niekoniecznie te miejsca, o których się najczęściej słyszy.

Imponującą różnorodność Saksonii w szczególny sposób ukazują dwie trasy: biegnąca przez Górne Łużyce, pełna duchowych wątków Via Sacra oraz skrywająca bogactwo niezwykłych przeżyć kulturowych i przyrodniczych trasa wzdłuż Łaby, najważniejszej saksońskiej rzeki. Bliskie powiązania z Polską nadają obu szlakom jeszcze głębszego znaczenia i są zaproszeniem do odkrywania Saksonii z nowej, skoncentrowanej na tym, co łączy, perspektywy.

Sztuka sakralna i żywa historia na szlaku Via Sacra

Via Sacra łączy ważne miejsca kultu religijnego w Saksonii, Polsce i Czechach, tworząc gęstą sieć duchowych i kulturowych miejsc zadumy. Rozszerzenie trasy o stronę polską o takie miejsca jak Kościół Podwyższenia Krzyża Świętego w Jeleniej Górze – nadaje tej przestrzeni podróżniczych odkryć transgraniczny charakter.

Na Górnych Łużycach czekają liczne, odrestaurowane z wielką dbałością o szczegóły, miasta i miasteczka. Szczególnie mocne wrażenie robi Görlitz, tworzące wraz z polskim Zgorzelcem rodzaj podwójnego miasta. Ponad 4000 odrestaurowanych zabytków z najróżniejszych epok kształtuje oryginalnie zachowaną panoramę miasta. Nic dziwnego, że pośród tej scenerii powstały liczne międzynarodowe produkcje filmowe, a miejscowość zyskała przydomek „Görliwood". Tuż obok, na styku granic Polski, Czech i Niemiec, leży Zittau (Żytawa). Miasto słynie z wyjątkowych zasłon wielkopostnych, które należą do najważniejszych tego typu zabytków w Europie. Wznoszące się nieopodal Góry Żytawskie zapraszają na wędrówki pośród dzikich i romantycznych krajobrazów.

© SEBASTIAN ROSE; TMGS; NIKOLAI SCHMIDT

eprasa.pl 3c38c03389

i niezapomniane przeżycia w Saksonii

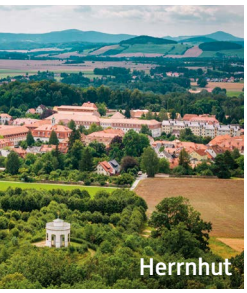
Herrnhut

Szlak rowerowy Odra-Nysa

Pałac i park w Bad Muskau

Görlitz

Chusta Wielkopostna z Żytawy

Starówka w Budziszynie

© PHILIPP HERFORT (2); TMCS (2); TOBIAS RITZ

Z kolei w Bautzen (Budziszyn) na zwiedzających czeka imponująca symbioza średniowiecznej architektury, kultury serbołużyckiej i religijnej różnorodności, czego dobrym przykładem jest katedra św. Piotra, uchodząca za największy w Niemczech kościół wielowyznaniowy i od 1524 roku użytkowana przez wyznawców dwóch różnych religii. Od wieków nieodłącznym elementem regionu są tutaj Serbołużyczanie – mniejszość słowiańska posługująca się swoim własnym językiem i wyróżniająca się pięknymi strojami ludowymi. Ich żywo pielęgnowane tradycje i zwyczaje należą do niematerialnego dziedzictwa światowego UNESCO. Jest to kulturowa osobliwość, której sława rozciąga się daleko poza granice Saksonii. Ciesząca się równie wielką popularnością, także poza regionem, jest tutejsza musztarda, której w Bautzen poświęcono osobne muzeum. Godne polecenia są tutejsze degustacje!

Dalej na północ, w Kamenz (Kamieniec), mieście urodzenia słynnego w Niemczech pisarza oświeceniowego Gottholda Ephraima Lessinga, zachowały się inne cenne skarby sztuki sakralnej – rzeźbione ołtarze w kościele św. Anny.

Region ten to również raj dla rowerzystów: trasa rowerowa Odra-Nysa biegnie wzdłuż polsko-niemieckiej granicy i znajdują się na niej liczne stacje szlaku Via Sacra. Należy do nich np. zabytkowy żeński klasztor cysterski St.

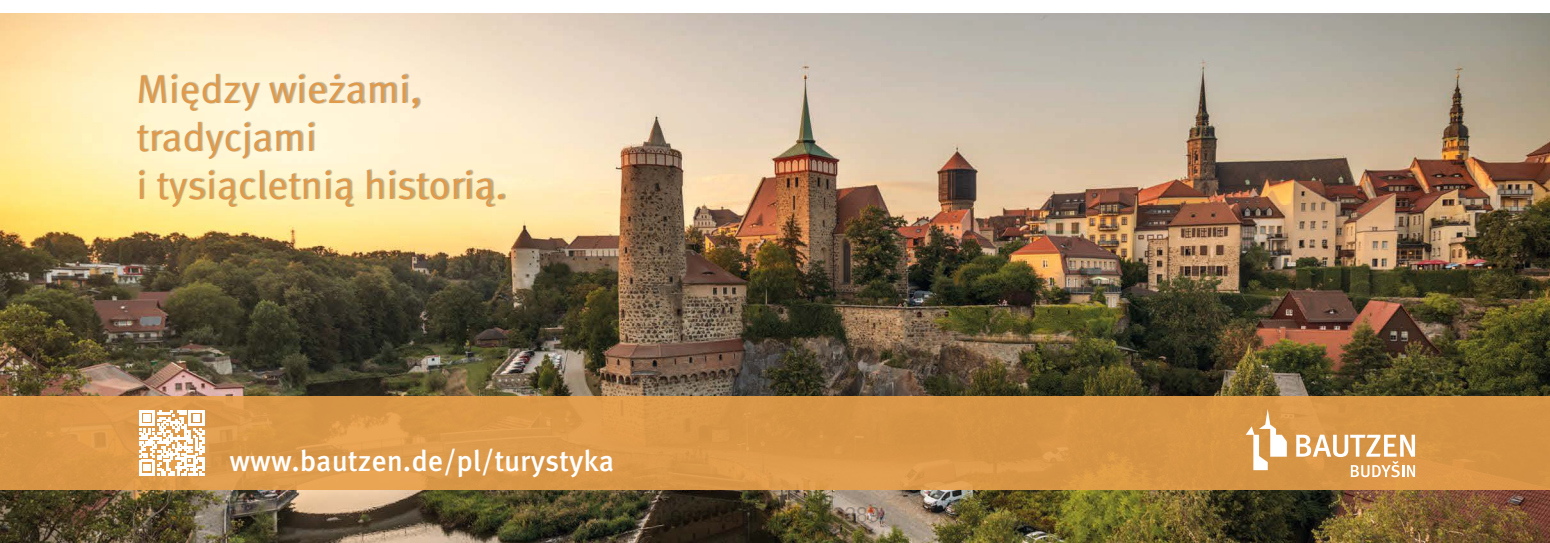

Zamek Albrechtsburg w Miśni

Twierdza Königstein

Barokowy ogród Grosssedlitz

Warto wiedzieć: pociągiem do Lipska
Pociągiem EC linii Kraków-Wrocław-Lipsk, 2 x dziennie, 1 x dziennie z/do Przemyśla z przystankami na stacjach Riesa, Elsterwerda, Ruhland i Hoyerswerda. Skąd pojechać można wygodnie dalej koleją do Drezna.

Pałac Hartenfels w Torgau

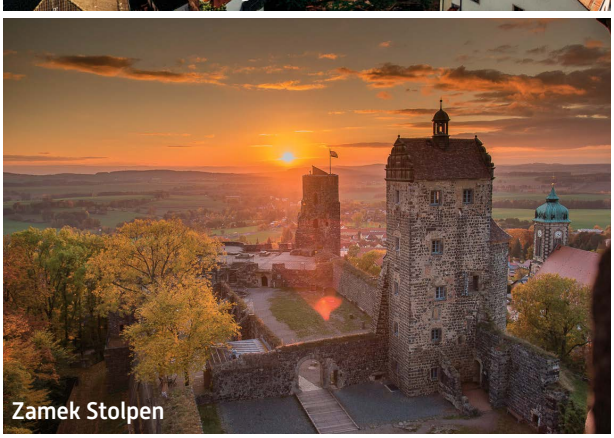
Zamek Stolpen

Marienthal w Ostritz, którego skarbiec został ponownie udostępniony dla zwiedzających. Miejscem wartym szczególnej uwagi jest również zamieszkałe przez Braci Morawskich miasteczko Herrnhut: ta i inne osady Braci Morawskich wpisane zostały w 2024 roku na listę światowego dziedzictwa UNESCO i są przykładem burzliwej historii trwania wiary i wspólnoty oraz wzajemnego ubogacania się między narodami. Znane na całym świecie Gwiazdy Morawskie rozświetlają domy i świątynie w wielu krajach, nie tylko w okresie adwentu.

Na tej trasie znajduje się również inna transgraniczna atrakcja: rozciągający się po obu stronach Nysy Park Księcia Pücklera w Bad Muskau/Park Mużakowski. W tym wpisanym na listę światowego dziedzictwa UNESCO, utrzymanym w stylu angielskim, parku krajobrazowym z reprezentacyjnym pałacem, w wyjątkowy sposób przenikają się polska i niemiecka sztuka tworzenia ogrodów, czego efektem jest harmonijne dzieło, łączące naturę i architekturę.

Radość życia i śródziemnomorski klimat nad Łabą

Zupełnie inna, ale równie fascynująca jest druga propozycja trasy: szlak wzdłuż Łaby. Pomiędzy osobliwymi formacjami skalnymi Szwajcarii Saksońskiej i malowniczymi winnicami Saksońskiego Szlaku Winnego rozciąga się krajobraz, zachęcający do spokojnych wycieczek rowerowych Nadłabską Ścieżką Rowerową (Elberadweg) lub rejsu zabytkowym parowcem Białej Floty. Szczególnie urokliwy jest odcinek między Schmilką, tuż przy granicy z Czechami a Torgau niedaleko Lipska.

Centralnym punktem tej trasy jest Drezno, niegdyś miasto rezydencyjne Augusta Mocnego, elektora Saksonii i króla Polski. Jego bliskie powiązania z Polską są do dziś wyraźnie widoczne. O wspólnej polsko-saksońskiej historii świadczą eksponaty prezentowane w Państwowych Zbiorach Sztuki, w Zamku Rezydencyjnym w Dreźnie oraz tutejszym skarbcu zwanym Zielonym Sklepieniem, a także w reprezentacyjnych pomieszczeniach słynnego na całym świecie Zwingeru. Jadąc dalej w dół Łaby dotrzeć można do Radebeul, gdzie królują wino oraz smaki i uroki życia. Tutejsze malownicze wzgórza, na których od ponad 850 lat uprawiane są winorośle, emanują prawdziwie śródziemnomorskim charakterem. W otwartej dla zwiedzają-

© ERIK GROSS; PROCOPTER TWIERDZA KÖNIGSTEIN; SYLVIO DITTRICH; PHILIPP HERFORT; KLAUS SCHIECKEL

eprasa.pl 3c38c03389

Winiarnia pałacu Wackerbarth w Radebeul

Madonna Sykstyńska, Drezno

Drezdeński Zwinger

© FRANCO COCOLI; WOLFGANG GAERTNER; DDPIX/ M. QUIETZSCH

cych winnicy Zamku Wackerbarth można z bliska przyjrzeć się procesowi produkcji wina oraz skosztować produkowanych tu wykwintnych trunków.

W Miśni, kolebce Saksonii, tradycje winiarskie łączą się z rzemiosłem artystycznym. Miasto jest nierozerwalnie związane ze słynną porcelaną miśnieńską, której proces produkcji do dziś fascynuje i zachwyca odwiedzających. Wysoko nad Łabą wznoszą się majestatycznie katedra i zamek Albrechtsburg – świadectwa wybitnej architektury i historii, w której znaleźć można również polskie ślady: w katedrze pochowani są Jerzy Brodaty i jego pochodząca z Polski żona Barbara. Zamek Albrechtsburg można zwiedzać, korzystając z „HistoPadów" – interaktywnych przewodników na tablecie, dostępnych również w języku polskim. W ten sam sposób zwiedzać można oddalony o zaledwie 20 km barokowy pałac w Moritzburgu, niegdyś posiadłość myśliwska Augusta Mocnego.

Kolejnym przystankiem na trasie jest Torgau, jedno z najpiękniejszych renesansowych miast Niemiec. Tutaj warto zwiedzić zamek Hartenfels, dawną siedzibę dynastii Wettynów, sprawującej długoletnie rządy w Saksonii. Stąd jest już naprawdę bardzo blisko do Lipska. Tutejszy monumentalny Pomnik Bitwy Narodów upamiętnia bitwę z 1813 roku, w której poległ polski generał Józef Poniatowski. Dzisiaj Lipsk to tętniąca życiem metropolia z bogatą ofertą kulturalną, festiwalami muzycznymi, zabytkowymi pasażami handlowymi, sztuką współczesną i zaskakującą ilością wody, przepływającej przez centrum miasta.

Ślady polskiej historii w saksońskich zamkach

Saksońskie zamki, pałace i ogrody odgrywały nierzadko ważną rolę w historii Polski: zwiedzając zamek Stolpen w Szwajcarii Saksońskiej można poznać tragiczną historię życia hrabiny Cosel – najsłynniejszej kochanki Augusta Mocnego. Znajdujący się nieopodal Drezna barokowy ogród Großsedlitz to zachwycające założenie ogrodowe z pięknymi piaskowcowymi rzeźbami, drzewkami cytrusowymi i fontannami. W 1727 roku August Mocny zorganizował tu po raz pierwszy uroczystość nadania Orderu Orła Białego. Leżąca również na terenie Szwajcarii Saksońskiej twierdza Königstein przez długi czas zabezpieczała władzę dynastii Wettynów i stanowiła bezpieczne schronienie dla saksońskich skarbów. Podczas sporu o polski tron w tej „Saksońskiej bastylii" przetrzymywano książęta Jakuba i Konstantego Sobieskich. Historię słynnego obozu jenieckiego w zamku Colditz koło Lipska, w którym przebywali również polscy jeńcy wojenni, tacy jak generał Tadeusz Bór-Komorowski można poznać dzięki HistoPadom, dostępnym także w języku polskim.

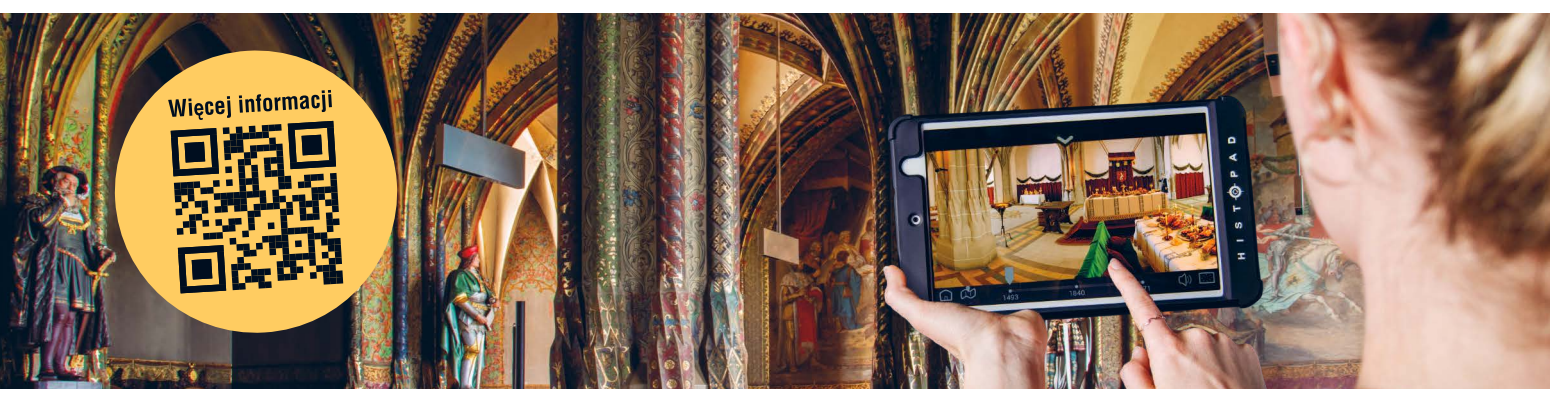

Odkrywcza podróż interaktywna
po zamkach Albrechtsburg, Moritzburg i Colditz

Schloesserland Sachsen
Saksońskie pałace, zamki i ogrody

eprasa.pl 3c38c03389

JAKUB DEMIAŃCZUK

Powrót do gwiazd

Kontakt z obcymi to temat, który wraca w twórczości Spielberga od lat 70. Ale natura tych relacji się zmieniła. Tak oto wzajemne zainteresowanie zastąpiła otwarta wrogość.

W najnowszym filmie Spielberga „Dzień objawienia”, który wchodzi właśnie na ekrany kin, moment ujawnienia prawdy o UFO ma być wstrząsem dla całego świata. Być może dlatego agencje rządowe próbują zachować to w tajemnicy. Nadzieją dla ludzkości jest jeden sygnalista, młody spec od cyberbezpieczeństwa, który potrafi zdekodować domniemany język obcych.

Fabuła „Dnia objawienia” przed premierą dawkowana była wyjątkowo oszczędnie. Podobno Spielberg kategorycznie zakazał zdradzania szczegółów, co oczywiście tylko podsyciło internetowe spekulacje. Na podstawie dostępnych zwiastunów i zdjęć fani doszukiwali się powiązań z „Bliskimi spotkaniami trzeciego stopnia”. Jedno jest pewne: dla Stevena Spielberga temat pierwszego kontaktu i spotkań człowieka z obcą cywilizacją zawsze był wstępem do opowieści wykraczającej poza schematy kina fantastycznego.

Kosmiczny przypadek

Już pierwszy film science fiction nakręcony przez Spielberga zawierał wiele elementów charakterystycznych dla jego twórczości. Choć fabuła dotyczyła uprowadzenia przez obcych, równie ważne były w niej skomplikowane relacje rodzinne, niespełnione ambicje i konflikt między naukowcami a władzą. Z technicznego punktu widzenia istotne były efekty specjalne służące przede wszystkim stopniowaniu napięcia oraz tzw. ujęcia z jazdy śledzące ruch bohaterów. „Firelight” miał premierę w 1964 r. Siedemnastoletni Spielberg kręcił ten film – monumentalny jak na dzieło amatora, trwający 2 godz. i 15 min – przez rok, głównie w okolicach swojego domu i z udziałem przyjaciół ze szkoły. Kosztował 500 dol., a zysk z jedynego biletowanego pokazu wyniósł 501 dol., więc Spielberg żartował, że produkcja się zwróciła, choć nie wiadomo, czy w koszty wliczył 400 dol., które jego ojciec zapłacił za wynajęcie sali kinowej.

Krótkie fragmenty można obejrzeć na YouTube; całość podobno się nie zachowała. Zresztą reżyser nie miał litości dla swojego młodzieńczego dzieła; mówił, że to najgorszy film, jaki kiedykolwiek zrobił. Ale w pewnym sensie „Firelight” żyje do dziś w jednym ze spielbergowskich arcydzieł – ślady fabularnego pomysłu bez

eprasa.pl 3c38c03389

79-letni Steven Spielberg oraz Emily Blunt i Wyatt Russell na planie „Dnia objawienia"

trudu można odnaleźć w „Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia" (1977 r.).

Spielberg nigdy nie ukrywał swojej fascynacji kosmosem. Wspominał, że gdy jako pięcioletni chłopiec oglądał z ojcem deszcz meteorytów, zaczął zastanawiać się nad możliwością istnienia życia w przestrzeni kosmicznej. „Zawsze wierzyłem, że to prawda. Zbyt wiele było podobieństw we wszystkich doniesieniach na temat spotkań z UFO" – mówił w dokumencie poświęconym realizacji „Bliskich spotkań...". Inspirowało go również kino SF. Wśród tytułów, które miały na niego wielki wpływ, wymieniał m.in. „2001: Odyseję kosmiczną" Stanleya Kubricka oraz „Przybyszów z przestrzeni kosmicznej", klasyk wyreżyserowany przez Jacka Arnolda, w którym obcy rozbijają się na Ziemi przez przypadek. Lądowanie kosmicznego spodka nie jest wstępem do inwazji, lecz po prostu nieplanowanym przystankiem w dalszej drodze.

Film Arnolda stał w kontrze wobec większości produkcji fantastycznych z czasów zimnej wojny, w których spotkanie z przybyszami z innych planet było zazwyczaj metaforą starcia atomowych potęg i groźby, która wisiała nad podzielonym światem. Na Spielbergu ta wizja zrobiła chyba szczególne wrażenie, bo gdy pracował nad „E.T.", mówił, że nie był przekonany co do ewentualnych wrogich zamiarów obcych: „Myślałem, że gdyby tu przybyli, to po to, by nas obserwować z dystansu albo wchodzić w jakieś pozytywne interakcje". Wczesne filmy reżysera były odzwierciedleniem tego kierunku myślenia.

Pokój między planetami

Nad „Bliskimi spotkaniami trzeciego stopnia" zaczął prace po sukcesie „Szczęk" – kiedy Hollywood widziało w nim już gwaranta kasowego sukcesu. Film o spotkaniu z obcą cywilizacją Spielberg postrzegał jako projekt osobisty, wyrastający nie tylko z młodzieńczej fascynacji fantastyką, lecz także z osobistych doświadczeń rodzinnych. Ponieważ nie był wystarczająco doświadczony jako scenarzysta, prace nad fabułą rozpoczął z Paulem Schraderem, którego scenariusz do „Taksówkarza" w tym samym czasie przenosił na ekran Martin Scorsese.

We wczesnych wersjach tekstu, przeładowanych biblijnymi metaforami, głównym bohaterem był weteran wojenny szukający dowodu na istnienie życia pozaziemskiego i przechodzący duchową przemianę po spotkaniu z obcymi. Spielberg zachował niektóre z pomysłów Schradera (który po zmianach zgodził się wycofać swoje nazwisko z czołówki filmu), jednak zależało mu, by centralną postacią uczynić zwyczajnego człowieka, z którym widzowie mogliby się łatwo identyfikować. Także dlatego, że Roy Neary – grany przez Richarda Dreyfussa bohater, który pod wpływem kontaktu z przybyszami z kosmosu opuszcza swoją żonę i dziecko – miał być przynajmniej częściowo inspirowany ojcem Spielberga. Rodzice reżysera rozwiedli się, gdy Steven był już dorosłym człowiekiem, ale wspomnienie ich rozstania było dla niego bolesne. Jednocześnie Spielberg rozumiał Neary'ego, jego nieustający zachwyt tym co niezwykłe.

W „Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia" kosmici nie są siłą zagrażającą Ziemi; przybywają raczej jako ambasadorowie pokoju, gotowi przyjąć na pokład swojego statku ludzi chętnych do podróży między gwiazdami. Nawet jeśli ich przybycie wywołuje zrozumiałą panikę, kluczowa jest tutaj próba porozumienia (muzyka jako język uniwersalny!) i uznania przez obie strony, ziemską i pozaziemską, że są gotowe do współpracy.

Wielu krytyków postrzegało „Bliskie spotkania..." jako spielbergowskie świadectwo wiary. „Film tak bliski przeżycia religijnego, jak się dało" – pisała Molly Haskell w książce „Steven Spielberg: A Life in Films". „Spielberg nie kłania się jednak Bogu ani religijnej ortodoksji, lecz temu, co nieziemskie i niemożliwe do opisania. Może Mel Gibson, Scorsese i Pasolini kręcili filmy o Chrystusie, ale to »Bliskie spotkania...« pozwalają nam odczuć potęgę religijnego powołania, tak silnego i niespodziewanego, że skłania do podjęcia ryzyka i porzucenia wszystkiego".

Z pewnością film był wyznaniem miłości zarówno do kina – nie bez przyczyny Spielberg zatrudnił do drugoplanowej roli François Truffauta, klasyka francuskiej Nowej Fali i jednego ze swoich ulubionych reżyserów – jak i do tego, co niewyjaśnione. Konsultantem przy filmie był ufolog J. Allen Hynek, który pojawił się także w aktorskim epizodzie. To on był zresztą twórcą klasyfikacji kontaktów z UFO, z której Spielberg zaczerpnął tytuł swojego filmu.

Sprzymierzenie zagubionych

„Bliskie spotkania..." okazały się kolejnym sukcesem reżysera, choć pod wieloma względami musiały uznać wyższość „Gwiezdnych wojen", które na ekrany kin weszły pół roku wcześniej. Spielberg był też rozczarowany, że ominęła go nominacja do Oscara dla najlepszego filmu (choć dostał nominację za reżyserię). Studio Columbia nalegało na sequel, lecz on chciał nakręcić coś bardziej kameralnego, zmęczony wymagającymi i pracochłonnymi zdjęciami do komedii wojennej „1941" oraz „Poszukiwaczy zaginionej arki". Zależało mu nie tyle na kontynuacji historii z „Bliskich spotkań...", ile na próbie pokazania kontaktu z UFO w inny sposób – konflikt zamiast porozumienia.

Na jego zamówienie John Sayles napisał scenariusz filmu „Night Skies", którego osią była walka mieszkańców położonej na odludziu farmy z atakującymi ich ▶

© BE&W

eprasa.pl 3c38c03389

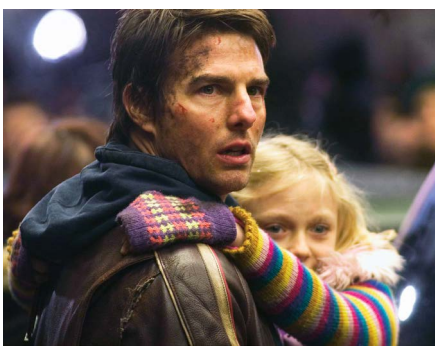

Obcy oczami Spielberga: „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" (1977 r.) i „Wojna światów" (2005 r.)

▶ kosmitami. Ostatecznie Spielberg odrzucił ten scenariusz, choć jego elementy pojawiały się w kolejnych filmach, które powstawały pod jego nadzorem (warto przypomnieć sobie choćby scenę z „Powrotu do przyszłości", w której główny bohater, podróżujący w czasie do lat 50., zostaje wzięty przez farmerów za zagrażającego ich życiu obcego; producentem filmu był oczywiście Spielberg). A szczególnie istotny wątek z „Night Skies" – jeden z kosmitów nawiązuje więź z dzieckiem w spektrum autyzmu – doczekał się rozwinięcia w scenariuszu Melissy Mathison do filmu „E.T." (1982 r.). W ostatecznej wersji młody bohater jest znów odbiciem trudnych wspomnień Spielberga: chłopcem, który czuje się osamotniony i na dodatek przeżywa rozwód rodziców. Wsparcie i zrozumienie znajduje tylko u równie samotnego i zagubionego kosmity przez przypadek pozostawionego na Ziemi.

Maestria Spielberga pozwoliła mu osobiste doświadczenia przekuć w opowieść uniwersalną. Kręcąc film dla dzieci, zrealizował dzieło, w którym mogli przejrzeć się również dorośli widzowie obarczeni własnymi traumami okresu dorastania. „Spielberg odnosi sukces tam, gdzie zawodzą filmy Disneya, bo ma odwagę pokazać trudną rzeczywistość rozwodu i wpleść ją do fabuły" – pisał krytyk magazynu „Variety". Nawet jeśli zastosowana przez niego metafora wydaje się zbyt grubo ciosana (obcy jako symbol życiowego zagubienia i alienacji oraz odrzucenia przez społeczeństwo), to nie pierwszy i nie ostatni raz Spielberg udowodnił, że taki zabieg nie przeszkadza mu w stworzeniu filmu przepełnionego emocjonalną prawdą i czułością. I w przeciwieństwie do „Bliskich spotkań trzeciego stopnia" ludzkość wcale nie ma tu wobec przybysza pokojowych zamiarów: rządowi agenci nie są zainteresowani porozumieniem, ale uwięzieniem gości z kosmosu.

Przez jakiś czas Spielberg i Mathison pracowali nad sequelem „E.T.", w którym pojawiliby się także wrodzy ludziom kosmici, ostatecznie jednak reżyser zrezygnował z tego pomysłu, słusznie uznając, że odebrałby oryginałowi jego niewinność. Na długie lata porzucił temat kontaktu z gwiezdnymi cywilizacjami. A gdy obcy wrócili w jego filmie, nie byli już przyjaźnie nastawieni do ludzi.

Ostrzeżenie przed terrorem

Spielberg woli dostrzegać w ludziach dobro niż zło. Nawet wtedy, gdy opowiada o najmroczniejszych chwilach w historii człowieka – Holokauście w „Liście Schindlera", niewolnictwie w „Kolorze purpury" i „Amistad", bestialstwie wojny w „Szeregowcu Ryanie" – bezsens zbrodni kontruje nadzieją, że czyny jednostek przekładają się na dobro ogółu. W adaptacji „Wojny światów" (2005 r.), przenoszącej akcję powieści H.G. Wellsa w czasy współczesne, Spielberg pokazuje jednak, że w obliczu globalnego kryzysu każdy będzie walczyć o własne przetrwanie. Klasyczną narrację o inwazji obcych zamieniając w rozpędzony thriller survivalowy, kino epoki chaosu i nieustannego zagrożenia terroryzmem.

„Po 11 września nie mogłem patrzeć na niebo w ten sam sposób" – mówił reżyser, choć w jego wersji zagrożenie nie nadciągało z kosmosu, lecz tkwiło przez tysiące lat głęboko ukryte pod ziemią. Apokaliptyczna fantastyka w czasie premiery była odczytywana w kontekście prowadzonej przez administrację Busha wojny z terrorem – dziś może wydawać się wręcz profetyczna w ostrzeganiu przed niebezpieczeństwem wewnętrznym. Co prawda w „Wojnie światów" wrogiem są bliżej nieokreśleni „oni" – film Spielberga nie precyzuje, jaki naprawdę jest cel ataku obcej inteligencji – lecz ziarno zniszczenia zostało zasiane dużo wcześniej, czekając jedynie na dogodny moment, by wykiełkować. Od nas zależy, czy dzisiaj dostrzeżemy w tej historii antycypację prezydentury Trumpa (i rosyjską ingerencję w proces wyborczy), siłę technologicznych oligarchów zapatrzonych w faszystowskie idee czy może gwałtowny rozwój sztucznej inteligencji i jej wpływ na podejmowane przez nas wybory.

Choć rodzina głównego bohatera „Wojny światów", granego przez Toma Cruise'a, dostaje w filmie swój happy end, Spielberg – jak później przyznawał – nie jest z tego zakończenia zadowolony. Jakby utracił wiarę w to, że jako gatunek zasługujemy na ocalenie. Zresztą w tym samym roku miał również premierę jeden z najbardziej gorzkich filmów w jego karierze: „Monachium" – o zamachu na izraelskich sportowców dokonanym podczas igrzysk olimpijskich w Niemczech w 1972 r. Opowieść o bezsensie zbrodni, a zarazem o goryczy zemsty.

Po „Wojnie światów" Spielberg nie sięgał już po SF i motyw kontaktu z obcymi – nie licząc ufologicznego wątku w „Indianie Jonesie i Królestwie Kryształowej Czaszki" (2008 r.). W „Dniu objawienia" wraca jednak do tematu, zainspirowany tekstem z „The New York Timesa" o prowadzonym przez Pentagon programie rozpoznawania potencjalnych zagrożeń związanych z obcymi cywilizacjami. Niczym na promocyjne zamówienie amerykańskie władze zaczęły niedawno publikować dokumenty dotyczące UFO – choć to raczej mało skuteczna próba odwrócenia uwagi od akt Epsteina i przedłużającej się wojny z Iranem. Spielberg ze swoją niezwykłą intuicją znów wyczuł ducha czasów. Pytanie, czy dziś ma w sobie więcej nadziei na lepszą przyszłość, czy może rozczarowania światem?

JAKUB DEMIAŃCZUK

© BE&W (2)

eprasa.pl 3c38c03389

Wciąż bardziej obcy

Tadeusz Konwicki ma nam dziś do powiedzenia coś bardzo ważnego o naszych lękach, neurozach i o samotności.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

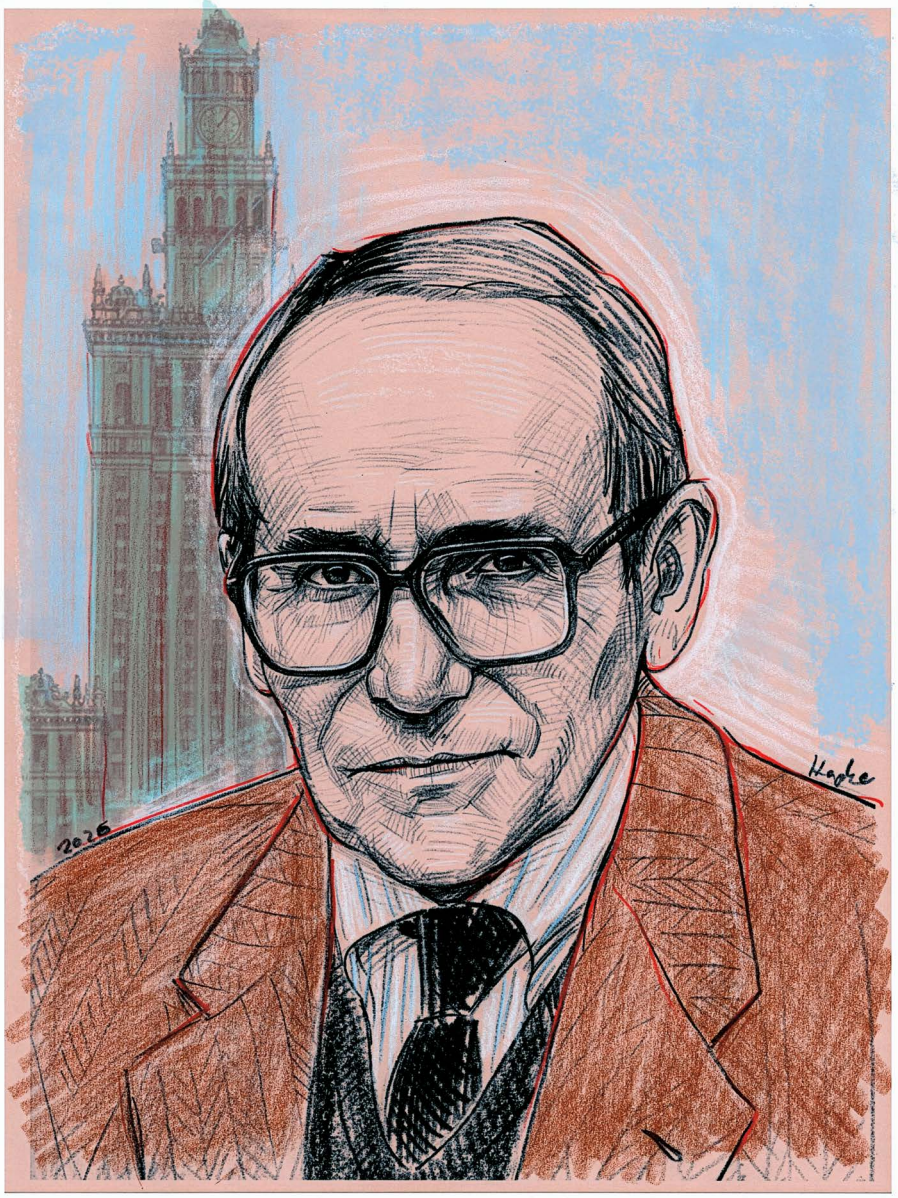

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

Sto lat temu, 22 czerwca 1926 r., w Nowej Wilejce urodził się Tadeusz Konwicki, jeden z najważniejszych i najpopularniejszych polskich pisarzy, a przy tym scenarzysta i reżyser, który w ostatnich latach niemal zniknął, zamknięty w szufladce „literatura PRL-u". Tymczasem jego twórczość czytana dzisiaj brzmi ożywczo, a jej apokaliptyczność koresponduje z naszymi lękami.

Zdegradowane miasto z „Wniebowstąpienia" przypomina scenerię gry „Cyberpunk 2077" albo krajobraz „Blade Runnera". Proza irlandzka ostatnio wrzuca nas w podobną rzeczywistość stanu zagrożenia i zawieszenia, a to już mieliśmy u Konwickiego. Znajoma licealistka chwaliła „Małą apokalipsę", bo ta groteska świetnie dziś działa. Twórczość Konwickiego jest zaczepna, podszyta komizmem w obliczu rozmaitych katastrof, które nadchodzą, ale i tych, które już się dokonały. Dwoje ludzi na plaży w filmie „Ostatni dzień lata" ma za sobą traumy, o których nie rozmawiają. W tym wielkim filmie wszystko jest w niedopowiedzeniu.

Konwicki był dalej od nas w latach 90. czy na początku nowego wieku, a teraz znowu jest bliżej, bo nastrój nieokreślonego zagrożenia powraca. Ograniczanie tej literatury do pisarstwa towarzyszącego pokoleniu powojennemu i PRL-u to niesprawiedliwa redukcja. Zwłaszcza że ma nam dziś do powiedzenia rzeczy bardziej uniwersalne. Pokazuje, że nie uciekniemy przed historią, jak nam się jeszcze niedawno wydawało. Traumy wracają, nie jesteśmy od nich wolni. Podziały społeczne i polaryzacja nie znikają, można jednak szukać dialogu. Konwicki był też wyczulony na zbiorowe psychozy – takie, gdy „nagle wszyscy w jedną trąbkę dują" („W pośpiechu)", zupełnie jak dziś w mediach społecznościowych.

Miasto widmo, miasto trup

Konwicki wrósł w Warszawę, a przecież zawsze czuł się tu obcy. Pisał w „Zorzach wieczornych": „Kiedyś powiedziałem sam albo może kazałem to pomyśleć któremuś z moich bohaterów, że czuję się tu, w dorzeczu Wisły, jak cudzoziemiec. Teraz, po latach, znam już przyczyny takiego samopoczucia. Wrastałem w tę ziemię uporczywie i wykorzeniałem się w jednej chwili. Jestem po prostu cudzoziemcem. Jednego dnia zauważyłem, że jak w gondoli balonu unoszę się stale w górę i jak ptak wędrowny patrzę z wysoka". W „Kompleksie polskim" usiłował „wyeksponować to miasto dziwne, ciekawe, tragiczne, niesamowite". Co się za tym kryło? – „Jakaś moja wdzięczność ▶

eprasa.pl 3c38c03389

▶ za to, że to miasto, miasto nieboszczyk, miasto trup, jak się tu zjawiłem, przyjęło mnie".

Warszawa z jego książek w porównaniu z tą dzisiejszą, rozświetloną, pędzącą, wydaje się przysłonięta filtrem w kolorze brudnej ściery, hula w niej wiatr, wdziera się „dramatyczna zieleń", zawsze, nawet w czasie dożynek, trwa jesienna zawierucha. Paradoksalnie ten wybrakowany krajobraz, atrapa życia, napełnia jednak bohatera otuchą. Jednak przede wszystkim – podkreśla samotność bohatera Konwickiego, tego everymana, który nigdzie nie jest u siebie.

To miasto bardzo konkretne staje się uniwersalną przestrzenią obcości. I to jest bardzo współczesne. We „Wniebowstąpieniu" bohater, zwany Charonem, błąka się po mieście, które może być Warszawą, a może być zaświatami, zaludnionymi osobami w stanie półżycia. I wszyscy są sczepieni z miastem widmem. Dzisiejsze miasto, tak bardzo żywe i dynamiczne, ma w sobie też ten wymiar ukryty, który trudniej dostrzec. Dzięki Konwickiemu możemy zobaczyć tę niewidzialną przestrzeń, może jakieś zaświaty tego miasta?

„Wyszedłem na ulicę. Wiatr niósł długie i splątane nici babiego lata. Jakiś rzadki motek uczepił się mojej dłoni z zawiniątkiem. Na balkonie mijanej kamienicy stał mężczyzna w szlafroku. Zdawać się mogło, że patrzy nieruchomo nad dachami domów, lecz najpewniej spał w ten sposób, umęczony nocną bezsennością. Na ślepej ścianie dogorywał neonowy napis: nigdy więcej wojny. – Zaraz wstanie dzień – powiedziałem głośno. Przede mną otwierał się pokraczny placyk z łysymi drzewami. – Ja żyję – rzekłem. – Ja przecież żyję".

Tworzyć własny mit

Pisarz, według Konwickiego, to nie ktoś, kto poucza, kto jest „sumieniem narodu" – pisarz patrzy z ukosa, nie idzie z tłumem, nie poddaje się zbiorowym emocjom, jest nieufny wobec rozmaitych ról, jakie chce mu narzucić społeczeństwo. Ta nieufność – jak tłumaczył – była związana z jego powojennym zaangażowaniem w komunizm i z poczuciem, że dał się uwieść i oszukać. Jako jeden z niewielu pisarzy otwarcie o tym mówił.

W późniejszych latach był związany z opozycją, wydawał w drugim obiegu, a jego książki były objęte cenzurą. Pozostało w nim jednak poczucie winy i dystans wobec wszelkich wiar i ideologii, świadomość, że my, ludzie, generalnie nie jesteśmy w porządku wobec siebie i innych istot. Stąd brała się jego nieśmiałość, poczucie zawstydzenia, nieczystego sumienia. Dziś, w świecie nowego purytanizmu, gdzie każdy poucza innych z wyższością moralną, twórczość Konwickiego przypomina o tym, że błądzimy, jesteśmy omylni, niesprawiedliwi, ulegamy złudzeniom. Ważne, żeby być tego świadomym, bo inaczej grozi nam hipokryzja.

Bohater Konwickiego ma wiele z samego pisarza. Tworzył wszak autofikcję, zanim to było modne. Jego autobiografizm był złożony, bo czasem zamieniał się w mit. Kraina dzieciństwa stawała się mityczną „doliną". Konwicki powracał do swojej Kolonii Wileńskiej, wielokrotnie tworząc opowieści o wtajemniczeniu i poszukiwaniu sensu istnienia, którego nie sposób dociec.

Przez Warszawę przeświecała mu Litwa. „Jestem utkany z jakichś resztek po Pieślakach, Kieżunach, Wieszunach, a może nawet Mickiewiczach. Zastygłem w kryształe tamtego powietrza". Ale dla nas stał się najcenniejszym składnikiem Warszawy, gwarantem bezpieczeństwa. Całe jego życie rozpięte było między Wilnem a Pałacem Kultury. W filmie dokumentalnym Janusza Andermana „Co ja tu robię" spoglądał z ostatniego piętra Pałacu Kultury w kierunku wschodu, mówiąc: „Widać Wilno. Trochę za mgłą, ale widać". Jego bohaterowie próbują uciec ze współczesności i nie mogą też wrócić do arkadii dzieciństwa. Pozostaje im szamotanie się i życie w pośpiechu.

Jestem przepełzem

Ruch i pośpiech oraz rozproszenie – to wszystko znamy z dzisiejszej rzeczywistości. „Ja tu jestem przejazdem, przelotem, przepełzem" – pisał Konwicki. Lubił o sobie mówić „przechodzień". Zawsze w drodze, bez zakorzenienia, z poczuciem tymczasowości, cudzoziemiec, który zapomniał wskutek amnezji, skąd jest. Mawiał: „Jestem w pośpiechu. W pośpiechu duchowym, fizycznym trochę mniej. Mam ten taki niepokój, który odbija się na całokształcie mego życia".

Ten niepokój udzielał się jego bohaterom, którzy też błąkali się, gnani jakimś lękiem i poczuciem kruchości istnienia. „Żyjemy w czasach wielkiego kryzysu" – mówi bohater filmu „Jak daleko stąd jak blisko". W dodatku nasze położenie geopolityczne powoduje, że nie można być pewnym niczego. Kiedyś mieliśmy złudzenie, że Rosja po rozpadzie ZSRR będzie czymś innym, stanie się normalnym państwem. Tymczasem nic się nie zmieniło. W czytanej na nowo „Małej apokalipsie" widać te same argumenty, na których i dziś opiera się rosyjska propaganda: Rosja ma być wszędzie, wszystko jej się należy.

Konwicki powtarzał w książce „W pośpiechu": „Tak się wydaje teraz, że wszystko uspokojone, Unia Europejska, wszystko dobrze – nie, nie wiemy, to jest takie miejsce w Europie, że nigdy nic nie wiadomo". Na przykład nie wiadomo, kiedy „Dziady" znowu się zaktualizują: „Wstrząsnąłem się, czytając w zbiorze recenzji Boya jego recenzję z »Dziadów«, ze słynnej inscenizacji Schillera. Pan doktór Żeleński siedzi w fotelu, na scenie jakieś krzyki, jakieś gadanie o czymś, jakieś płacze, jakieś rozpacze. Wychodzi z teatru – ulica, mkną limuzyny, kawiarnie oświetlone, siedzą piękne kobiety, oficerowie. Trochę go zdziwiło to, co widział w teatrze. Osiem miesięcy później 1 września 1939 roku, i znowu ruszyły »Dziady«, stały się aktualne".

Polski kompleks ojca

Konwicki patrzył na Polaków (i na siebie) ze sporą dozą krytycyzmu, bo często bywamy swoimi największymi wrogami. „Polacy są ślicznym, pełnym wdzięku, inteligentnym narodem, ale narodem infantylnym, podrostkowatym, zatrzymanym w rozwoju w stadium dziecięctwa" – pisał. – „Wspaniali Polacy, tak dumni ze swojego polactwa, są dziecinni. Dlatego cierpią na silny kompleks ojca. Polacy marzą o normalnym, dorosłym, odpowiedzialnym mężczyźnie, który by wziął na siebie całą odpowiedzialność za ich dziecinne losy. Polacy tęsknią do ojca, rosłego draba z wąsami, o szorstkich, ale zdecydowanych ruchach. Polacy kochają tatusiów z pasem rzemiennym w ręku, tatusiów gniewnych, ale sprawiedliwych, którzy są szanowani przez wszystkich sąsiadów". I dalej: „Dlatego Polacy nie potrafią żyć bez ojców narodu. Dlatego każda menda w tym kraju drapuje się co rana w wytarte szaty ojca narodu, czyli ojca i rodziciela niedorosłych Polaków. Ale może, w gruncie rzeczy, każdy naród cierpi na podobny kompleks. Nie kompleks Edypa, lecz

eprasa.pl 3c38c03389

kompleks Stasia, Zbysia czy Wojtka" („Wschody i zachody księżyca").

Był uczulony na „wrzaskliwy patriotyzm". Miał alergię na patos, wielkie słowa – zaraz czuł, że są podszyte fałszem. Wszystko to często stawiało go na pozycji outsidera, przeciwko wszystkim. I tak w „Małej apokalipsie" nie oszczędzał nikogo: ani władzy, ani opozycji, ani artystów; wszyscy są tu dość paskudni, ale przede wszystkim komiczni. W tej powieści absurd staje się aż śmieszny – przesłuchania bohatera przez esbeków, wędrówki po mieście z kanistrem benzyny i zapałkami z Pewexu oraz psem, postać lizusa Tadzia, szatniarze, studentka dorabiająca jako babcia klozetowa. I humor Konwickiego jest jak najbardziej współczesny; uśmiech półgębkiem, uśmiech dobrej riposty. „Poczucie humoru to pierwszy semestr szkoły filozofów. Poczucie humoru czyni nas niepodległymi. Obdarza nas radością przeczucia wyższych światów, jeśli takie w ogóle istnieją" – pisał.

Groza u Konwickiego obraca się w śmieszność, czego symbolem jest chociażby Pałac Kultury, szalet postawiony na sztorc, sterczący świadek życia. Dziś w towarzystwie wieżowców Pałac wyszlachetniał, nabrał klasycznych rysów, ale kiedy był sam, wydawał się osią groteskowego wszechświata. Ale też – przestrzenią wewnętrzną, drogą do tandetnej transcendencji, jedynej dostępnej. W „Pamflecie na siebie" Konwicki pisał: „I ja wznoszę swój pałac kultury, z moich książek. Budowałem go z różnych elementów powtarzających się w innych wariantach, lepiłem go z własnego budulca zniesionego z kraju dzieciństwa i z miast, w których się potem tułałem. (...) Ale szczególną cechą mojego pałacu kultury jest, że go nie widać. Bowiem ściany jego postawiłem z substancji podobnej do szkła albo powietrza, czyli z nastrojów, lękliwych myśli, rozterek i niejasnych przeczuć".

Człowiek współczesny, jak uważał, zatracił umiejętność duchowej transformacji. Została tylko nieokreślona tęsknota i nieustające poszukiwanie w rozpadających się dekoracjach; wędrówka w stronę samoświadomości.

Okłady ze słów

Konwicki lubił słowa i osobną przyjemnością dziś jest podążanie za jego ulubionym zwrotami, które potem przyczepiają się do czytelnika. „Wychynąłem z nyży" – mówi bohater, stara się „nie obcyndalać", krajobraz jest „rozchwierutany". Albo pojawia się zamierzchłe słowo „przedwieczerz" jako określenie pory dnia. W „Zorzach wieczornych" czytamy: „Piękne słowa, brzydkie słowa. Ale mnie interesuje to, co jest między słowami. Słowa jak wtyczki do aparatu nieskończoności. Słowa – sygnał wywoławczy w przepaść Kosmosu. A może słowa – sondy wbite w obwody mojej wewnętrznej aparatury nadawczej, rozżarzonej w ostatecznym napięciu. Z moich słów można robić okłady, ale można również się nimi sparzyć".

Słowa Konwickiego są też kłótliwe; droczy się, zaczepia, a to dlatego, że nie chce zabrzmieć fałszywie. Niczego nie gra, nie udaje. Jego zdania w powieściach też do nas się nie wdzięczą. Przed fałszem chroniły Konwickiego dystans, wisielczy humor i autoironia. Jest to też proza, która chce być w kontakcie z czytelnikiem.

Najwyższą stawką tej literatury nie jest jednak ironia i szyderstwo, lecz przezwyciężenie samotności, tak bardzo nam dziś potrzebne. „Moim programem jest współczucie – mówił w książce „Pół wieku czyśćca". – A celem mojej terapii ma być otucha".

Przemysław Czapliński nazwał pisarstwo Konwickiego „rytuałem zapisywania obcości". Jego bohaterowie, na różne sposoby wyobcowani, muszą na własną rękę poszukiwać autentyczności. Wszyscy udają kogoś innego, wpadają w koleiny fałszu. Jak się z tego wyrwać? Temu służy Konwickiemu ten rytuał zapisywania niedopasowania i samotności. I jest w tym gest skierowany do czytelnika: „Chcę być przechodniem, którego człowiek spotyka w życiu, i chciałbym pomachać mu, dać mu znak, że nie jest sam" – mówił. I dlatego potrzebujemy dziś Konwickiego, bo coraz bardziej jesteśmy sami.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

REKLAMA

eprasa.pl 3c38c03389

Isabelle Huppert (ur. 1953 r.) – francuska aktorka teatralna i filmowa. Nagrodzona Złotym Globem i nominowana do Oscara za rolę w „Elle" Paula Verhoevena. Kilkakrotnie nagradzana na europejskich festiwalach filmowych, m.in. w Cannes za rolę w „Pianistce" Michaela Hanekego. Dwukrotnie – 20 i 21 czerwca – wystąpi na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych w spektaklu „Bérénice".

Walczę o swoją postać

Każda nowa praca jest dla mnie skokiem w nieznane, a Berenikę każdego dnia gram inaczej – mówi Isabelle Huppert, która wystąpi ze spektaklem „Bérénice" na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych.

ARTUR ZABORSKI: **– Spektakl „Bérénice", który przywozi pani do Warszawy, wyreżyserował Romeo Castellucci, ceniony za intensywny wizualnie, wręcz hipnotyczny styl. Co przyciągnęło panią do jego interpretacji tekstu Racine'a?**

ISABELLE HUPPERT: – Sama możliwość współpracy z Castelluccim, który jest wybitnym reżyserem. Nie chciał wystawiać klasycznej „Bérénice". Zamierzał przekształcić ją w monodram. Wyjątkowe w jego wizji było to, że nie chciał stworzyć czegoś zamkniętego, co będzie wyglądało za każdym razem na scenie tak samo. Stopniowo zaczęłam lepiej rozumieć jego intencję dopiero wtedy, kiedy zaczęliśmy prezentować „Bérénice" publiczności. Każdego dnia gram Berenikę inaczej. Ona każdorazowo prowadzi mnie w niedookreślone rejony. Ta postać i moja rzeczywistość aktorki przeżywającej własne emocje zespalają się ze sobą. A przynajmniej na siebie wpływają, dzięki czemu nie mam poczucia, że wystawiam na scenie to samo. Romeo to wielki reżyser. Widziałam wiele jego realizacji operowych. Jest twórcą obdarzonym niezwykle silną wizją. Właśnie takim człowiekiem, o którym mówi się, że ma własny, niepowtarzalny świat. Bardzo cieszyłam się, że mogę być częścią tego przedsięwzięcia.

Co jest dla pani ważniejsze przy podejmowaniu decyzji o udziale w projekcie – reżyser czy postać, którą ma pani zagrać?

eprasa.pl 3c38c03389

W tym przypadku zdecydowanie chodziło o reżysera. Nigdy szczególnie nie marzyłam o zagraniu Bereniki. Jeśli chodzi o teatr, najczęściej decydująca jest dla mnie właśnie osoba twórcy. To zresztą nie była moja decyzja, by wystawiać „Bérénice". To był pomysł Romea.

To sztuka zbudowana na ciszy i emocjach, które nigdy nie zostają w pełni wypowiedziane. Mam wrażenie, że stoi to w kontrze do współczesnego teatru i do życia w nieustannej stymulacji i przy niekończących się bodźcach. Czy współczesna publiczność ma jeszcze cierpliwość do takiej emocjonalnej tragedii jak „Bérénice"?

Biorąc pod uwagę niezwykle ciepłe przyjęcie, jakie otrzymujemy od publiczności, mogę odpowiedzieć: oczywiście, że tak. Myślę, że widz teatralny jest gotowy na wszystko. Albo lubi się teatr, albo nie. Ale jeśli się go kocha, pozostaje się otwartym na nowe odkrycia i spotkanie z czymś innym nieoczywistym. To zawsze jest pewien skok w nieznane. Dlatego nie było dla mnie zaskoczeniem, że widzowie tak chętnie i serdecznie przyjmowali ten spektakl. Poza tym nie uważam, żeby był on aż tak cichy. Na scenie cały czas coś się dzieje. Przechodzi się od jednego wrażenia do drugiego.

Jednak kiedy pokazywaliście „Bérénice" we Francji, jeden z widzów krzyknął: „Isabelle, nie słyszymy cię", co sprowokowało rozmowę na temat relacji teatru eksperymentalnego z publicznością.

Tak, ale dialog to nie wszystko. W tym przypadku ogromną rolę odgrywa też światło, spektakl jest niezwykle wizualny. Nie sądzę więc, by można było się na nim nudzić. Wręcz przeciwnie.

Pani kariera ma międzynarodowy charakter. Jak po tylu latach doświadczeń podchodzi pani do kwestii pochodzenia reżysera i kultury, w której się wychował? Czy praca z polskim reżyserem w polskim teatrze jest innym doświadczeniem niż współpraca z reżyserem francuskim?

Zdecydowanie. Wszyscy ci reżyserzy, z którymi pracowałam, kreują bardzo wyraziste, niezwykle osobiste i charakterystyczne światy. Nie potrafię powiedzieć, na ile wynika to z krajów, z których pochodzą, ale z pewnością praca z Krzysztofem Warlikowskim, Robertem Wilsonem czy Romeo Castelluccim jest zupełnie innym doświadczeniem. Każdy z nich jest wyjątkowy i jedyny w swoim rodzaju. Oczywiście przychodzą ze swoim bagażem kulturowym. Kiedy pomyślimy, że Robert Wilson pochodzi z Teksasu, niekoniecznie od razu łączymy to z jego niezwykle specyficznym i wyjątkowym światem wizualnym. Podobnie Krzysztof Warlikowski jest twórcą całkowicie niepowtarzalnym. Wszyscy oni bardzo się od siebie różnią. Ostatecznie jednak wykracza to poza kraje, z których pochodzą. A gdybym pracowała wyłącznie z francuskimi twórcami, nie byłabym tu, gdzie jestem teraz.

Jak podsumowałaby pani pracę z Warlikowskim? Co przychodzi pani do głowy, kiedy słyszy pani jego nazwisko?

Pracowałam z Krzysztofem dwa razy [„Tramwaj zwany pożądaniem" i „Fedry" – przyp. red.] i mam nadzieję, że wkrótce będziemy mieli okazję to powtórzyć. W jego wizji stoją obok siebie dwie pozorne sprzeczności. Z jednej strony stawia ▶

© CAROLE BETHUEL, ALEX MAJOLI

REKLAMA

▶ na definiowaną przez siebie poetyckość, a z drugiej daje aktorowi ogromną wolność. Przy „Tramwaju zwanym pożądaniem" stworzył niezwykle nieoczywistą interpretację bohaterki. Myślę, że potrafi jednocześnie wyrażać wizję autora, swoją własną i aktora. W jego dokonaniach jest także miejsce na pewną prowokacyjność, która sprawia, że zaczynasz czytać tekst i słuchać go w nowy sposób. Potrafi dotrzeć do samego rdzenia ludzkich emocji i ludzkiego doświadczenia. W jego wizji jest coś niezwykle mocnego, ale ostatecznie również bardzo poruszającego. Myślę, że szczególnie interesuje go podkreślanie ludzkiego tragizmu we wszystkim, co robi.

O Warlikowskim mówi się, że jest twórcą, który ma bardzo wyraźną wizję bohatera, dlatego lubi pracować z aktorami, którzy nie podporządkowują się tej silnej wizji, tylko próbują z nią polemizować. Czy pani jest właśnie taką aktorką?

Owszem, mam tak, że podążam za reżyserem, a jednocześnie walczę o swoją postać. To nie są dwie sprzeczne rzeczy. Nigdy nie miałam poczucia rozdarcia między obroną bohaterki a próbą realizacji wizji reżysera. Dla mnie to wszystko jest ze sobą połączone. Tak naprawdę Krzysztof próbuje wydobyć i uwypuklić właśnie wewnętrzne rozdarcie postaci. To ono znajduje się w centrum jego zainteresowania.

Pracowała pani z takimi twórcami jak Michael Haneke, Paul Verhoeven czy Hong Sang-soo. Czy kiedy wchodzi pani na plan filmowy, coś jeszcze jest w stanie panią zaskoczyć?

Zawsze jest element zaskoczenia. Jak już mówiłam, każda nowa praca jest skokiem w nieznane, niezależnie od tego, czy chodzi o teatr, czy o kino. Nigdy nie mam poczucia, że coś powtarzam. Nie jest tak, że wchodzę na plan i mam wrażenie, że tego, co się dzieje, można było się spodziewać albo że staję na z góry upatrzonej pozycji. To, co robię, jak się zachowuję, w jakie reakcje z twórcą i z postacią wchodzę, jest zawsze nowe i nieprzewidywalne. Wystarczy porównać Hong Sang-soo i Michaela Hanekego. Co ich właściwie łączy? To dwie całkowicie odmienne wizje kina. Nie powiedziałabym nawet, że przeciwstawne, po prostu bardzo różne. Dlatego nie sposób niczego przewidzieć. I właśnie to jest najbardziej ekscytujące.

Nawet po tylu latach kariery?

Oczywiście, jeśli nakręci się kilka filmów z Hanekem albo kilka z Hong Sang-soo, zaczyna się rozumieć ich sposób pracy. Z filmu na film dostrzega się, że siła ich wizji i to, kim są jako twórcy, pozostają zasadniczo takie same. Ale historie są inne. Role są inne. To reżyserzy o tak wyrazistych i silnych osobowościach, że po jednej wspólnej pracy zaczyna się rozumieć ich proces twórczy i sposób działania. W Hong Sang-soo jest coś bardzo filozoficznego. Interesują go upływ czasu, samotność i próba zrozumienia innych. Hanekego mniej interesuje psychologizowanie, bardziej pociąga go obserwacja człowieka niemal pod mikroskopem. A u Wilsona nie grasz psychologii, tylko stajesz się częścią kompozycji. To on nauczył mnie patrzeć na teatr jak na sztukę wizualną, a nie wyłącznie literacką.

Podczas wykładu w Warszawskiej Szkole Filmowej pokazałem studentom „Pianistkę". Ich reakcja mnie zaskoczyła. Powiedzieli mi, że zanim pokażę im taki film, powinienem ich uprzedzić, bo nie byli przygotowani na coś tak emocjonalnie trudnego.

Ale jak można się przygotować emocjonalnie na doświadczenie, które ten film oferuje?

Nie mam pojęcia.

Ja też nie. Wkrótce będę prezentować „Pianistkę" w Los Angeles, ponieważ tamtejsza American Cinematheque organizuje retrospektywę moich filmów, która rozpoczyna się właśnie od tego tytułu. Dlaczego ten film jest tam pokazywany? Właśnie dlatego, że Michael Haneke jest wielkim reżyserem, który bywa prowokacyjny i szokujący, podobnie jak powieść Elfriede Jelinek, na której oparto film. Nie wiem doprawdy, jak można przygotować widza na takie emocje. Oczywiście, można powiedzieć: „Uprzedzamy, że film może być szczególnie trudny w odbiorze". Ale przecież sama taka informacja nie zmienia siły obrazów w nich zawartych!

Nie obawia się pani, że skoro dziś wszyscy chcą być tak uprzejmi, delikatni i ostrożni, może to ograniczać filmowców takich jak Haneke?

Być może dziś potrzebny jest inny rodzaj prowokacji. Może powinien pan był powiedzieć swoim studentom tylko tyle, że za chwilę obejrzą wielką historię miłosną? Bo przecież ostatecznie właśnie tym jest ten film. To historia miłosna. Bardzo mocna, momentami prowokacyjna analiza uczucia miłości, rozpięta pomiędzy uwodzeniem a szczerością. Moja bohaterka ma konkretną wizję tego, czym ta miłość powinna być. To opowieść o kimś, kto nosi w sobie idealistyczne wyobrażenie o miłości. Ale nawet jeśli tak przedstawi się film, to jak można się przygotować na jego obejrzenie? Nie wiem, jak takie filmy mają dziś działać, skoro publiczność się ich boi.

Do programu festiwalu Tribeca włączony został film „Dreams of Violets", który opowiada o protestach w Iranie, ale został stworzony w całości przez sztuczną inteligencję. Decyzja wywołała ogromne kontrowersje w branży. Jaka jest pani opinia?

W takim przypadku być może właśnie potrzebne jest coś, o czym wcześniej rozmawialiśmy, czyli opatrzenie takiego pokazu stosownym komunikatem, że to specjalna prezentacja. Nie można po prostu pokazać takiego filmu jak każdego innego. Powinno się go prezentować bardziej jako pewne doświadczenie, z odpowiednim wprowadzeniem i wyjaśnieniem, dlaczego został wybrany. Nie po to, żeby przygotować na niego widzów, ale raczej, żeby właściwie objaśnić sytuację i powód, w tym przypadku społeczno-polityczny, jego obecności w programie.

Czyli AI nie jest czymś, czemu jest pani zdecydowanie przeciwna?

Jakiś czas temu widziałam w Paryżu bardzo interesującą wystawę fotografii autorstwa Bennetta Millera. Zafascynowała mnie przede wszystkim dlatego, że funkcjonowała bardziej jako doświadczenie niż klasyczna wystawa. Nie było w tym oszustwa ani manipulacji, ponieważ Miller od początku jasno mówił, czym są jego prace. Były to zdjęcia wykonane w podczerwieni. Dzięki temu odbiorca zachowywał własną przestrzeń do krytycznej refleksji. A może raczej po prostu refleksji. To było bardziej doświadczenie niż próba zastąpienia rzeczywistości. Jeśli sztuczna inteligencja pozostaje właśnie takim doświadczeniem i jeśli twórcy otwarcie mówią, czym się posługują, wydaje mi się to lepsze niż używanie takich narzędzi bez informowania odbiorców. Dopóki traktujemy AI jako coś eksperymentalnego i podchodzimy do tego w szczery sposób, nie mam z tym problemu. Ale jeśli stanie się to powszechnym sposobem tworzenia, pozbawionym krytycznego namysłu i świadomości, jeśli zacznie funkcjonować jak każda inna forma ekspresji, wtedy sytuacja będzie wyglądała inaczej. Na razie jednak to ja gram w spektaklach i to ja gram w filmach. Zostańmy przy tym.

ROZMAWIAŁ ARTUR ZABORSKI

eprasa.pl 3c38c03389

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Robert Makłowicz wyznał, że dostał propozycję walki w Fame MMA. Nie skorzystał. Chciałbym go zobaczyć w wersji al dente. Miękki na zewnątrz, jednak stawiający lekki opór podczas gryzienia.

●

Marcin Roznowski, mąż Krzysztofa Gojdzia, zarzucił mu regularne okłamywanie Polaków oraz zmyśloną karierę w USA. Filmowy temat. Myślę, że w doktora Gojdzia mogłaby się wcielić Natalia Janoszek.

●

Jest nowa gwiazda mediów. To Marcin Porzucek, poseł PiS. Marcin nie mógł opuścić pokładu samolotu o własnych siłach, gdyż jak wynikało ze zdjęć, w czasie lotu musiał zrzucić całe paliwo.

●

SDP nie zamierza informować prokuratury, czy poseł Zbigniew Ziobro posiada legitymację dziennikarską. Na razie posiada otrzymaną od Christophera Landaua, wiceszefa dyplomacji USA, kartę podarunkową.

●

Krzysztof Jackowski ujawnił, że za znalezienie zaginionego telefonu, zwłok, rodziny, kota, mordercy czy skarbonki pobiera 300 zł. Taniej będzie, jeśli osoba zaginiona będzie miała przy sobie telefon.

●

Andrzej Grabowski wreszcie to ujawnił. Z jury „Tańca z gwiazdami", po 10 latach i 13 sezonach, wyrzucił go Edward Miszczak. Wielka strata. Dzięki Andrzejowi mogliśmy się dowiedzieć, czego nie wie o tańcu.

Plotek donosi: „Zełenski może stracić order. Mocne stanowisko Dody w sprawie słów Nawrockiego". Polska dyplomacja jest w dobrych rękach. Jak to nie pomoże, to jest jeszcze wpier... w kiblu.

●

Mietek Szcześniak ujawnił, że za nagranie „Dumki na dwa serca" z Edytą Górniak otrzymał 4,3 tys. zł. Cytując Podbipiętę: „Bardzoś to waść misternie wykalkulował".

●

Sąd w Warszawie za atak na Angelikę Domańską skazał Roberta Bąkiewicza na 10 miesięcy ograniczenia wolności w formie nieodpłatnych prac społecznych. Znając Roberta, zapyta: netto czy brutto?

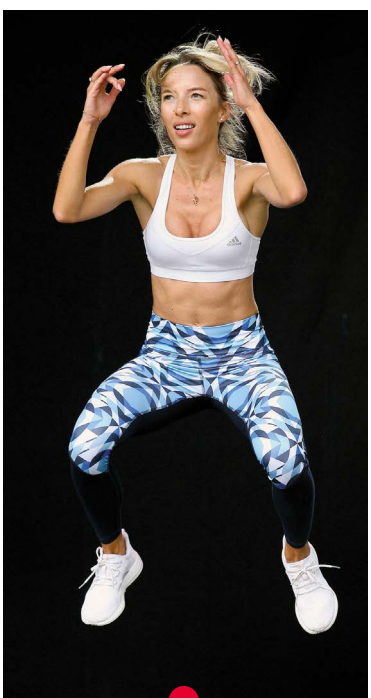

© DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

Anna Mucha panu z brukowego Pudelka opowiedziała o swoich przyjaźniach, miłościach, procesach, paparazzich, seksapilu, TVP. Przypominają mi się słowa Angeli Merkel: „Za mojej kadencji by tego nie zrobiła".

●

Filip Chajzer otworzył kolejny Kreuzberg Kraft Kebap. Tym razem w Gdańsku, przy centrum handlowym Manhattan. Doskonałe miejsce. Projekt Manhattan wielu rozjaśnił w głowach.

●

Wielki sukces sponsoringowy Mai Chwalińskiej. Firma Oshee przedłużyła jej oraz jej rodzicom nocleg w Paryżu podczas turnieju Roland Garros. Tajemnica kontraktu pomija informacje o śniadaniu.

●

„Jeśli chcecie naszych pieniędzy, to twórzcie sztukę, za którą sami będziemy chcieli płacić. Malujcie ładne obrazy". To Sławek Mentzen do artystów. Pamiętam taki ładny wiersz: „Miasto też nie chce być betonem".

●

Pan Skolim też zabrał głos: „Artyści, albo ci starzy przechlali całą karierę, albo ci młodzi robią taką chu...wą muzykę czy obrazy, że nikt tego nie chce oglądać, a domagają się naszych pieniędzy". Uczciwie. Ani razu nie powiedział o sobie artysta.

●

Maciej Maleńczuk bez hamulców o prezydencie Nawrockim: „Gorszy burak niż Duda". Przypomnijmy. Wszystkie znane odmiany buraka pochodzą od buraka dzikiego.

●

Wojciech Szczęsny został twarzą Coca-Coli Zero. Brawo. Po ostatnich meczach z Ukrainą i Nigerią właściwie cała reprezentacja mogłaby reklamować Zero.

Podczas aukcji na gali Top Charity wyjazd z Ewą Chodakowską do Wietnamu na „Tydzień Metamorfozy" wylicytowano za 7,2 mln zł. Za tę kwotę otrzymamy ćwiczenia, treningi oraz deltę Mekongu.

eprasa.pl 3c38c03389

FELIETON

Hartman

Triaż, głupcze!

W światowym użyciu niewiele jest słów i akronimów francuskich. Udało się Francuzom narzucić nam „tira" (od *Transport International Routier* – konwencji dotyczącej międzynarodowych przewozów drogowych) oraz „triaż" (*triage*), które to słowo ogólnie znaczy „sortowanie", a w świecie medycznym odnosi się do ustalania pierwszeństwa pacjentów w dostępie do świadczeń medycznych. Najczęściej dotyczy to sytuacji nagłych, a więc oznaczania kolorami osób poszkodowanych w katastrofach albo monitorowania poczekalni na szpitalnych oddziałach ratunkowych (SOR). Wdzięczne słówko staje się coraz bardziej popularne, wypierając okropną „selekcję pacjentów". Ba, pojawiła się nawet firma świadcząca usługi transportu medycznego nosząca nazwę Triage!

Jeśli zdejmiemy z tego słowa nimb grozy, łatwiej nam będzie zrozumieć, że cały system ochrony zdrowia opiera się na triażu. Tu błędy, czyli szybsze udostępnianie świadczeń tym pacjentom, którzy mogliby jeszcze poczekać, kosztem innych, którzy potrzebują ich bardziej, prowadzą do licznych przedwczesnych zgonów. Bo patrząc z perspektywy zdrowia publicznego i epidemiologii, medycyna to unikanie zgonów, których uniknąć można.

Politycy, urzędnicy, a nawet sami lekarze często nie doceniają tego, jak wiele zależy tu od instytucjonalnych „bramek" w skali mikro i w skali całego kraju. Jeśli bramki, przez które przeciskają się pacjenci potrzebujący dobrej diagnostyki, dobrego leczenia i dobrej rehabilitacji, są ustawione przypadkowo, szersze bądź węższe bez wyraźnej przyczyny i niepowiązane w jeden ciąg proceduralny, to leczenie staje się biegiem przez płotki i slalomem, w którym do mety często dobiegają najsilniejsi, najlepiej ustosunkowani, najbardziej zdeterminowani i najzamożniejsi. A powinni, rzecz jasna, wyłącznie ci, którym należy się to z racji ich stanu zdrowia.

> Zamiast medycyny mamy biurokrację, układy, konflikty i sporo przypadku. Oj, trzeba mieć zdrowie, żeby chorować!

Niestety w Polsce wciąż mamy chaos w zakresie kwalifikacji do zabiegów, współpracy między ośrodkami, ustalania priorytetów w lecznictwie, dystrybucji środków na działalność leczniczą, no i zwykłego, codziennego „kolejkowania". A na to nakładają się złe praktyki przepychania przez system pacjentów protegowanych bądź leczących się prywatnie u lekarzy decydujących o kolejności zabiegów w placówkach publicznych.

Trzeba wiedzieć, że triaż zaczyna się od pierwszego kontaktu z medykiem. Ratownik, który przyjechał do nas karetką, decyduje, czy zabierze nas do szpitala, lekarz na SOR decyduje, czy odeśle nas na oddział, czy do domu, a lekarz w przychodni decyduje, na jakie wyśle nas badania i czy skierować nas do specjalisty, czy leczyć samodzielnie. No i czy wyposażyć nas w drogocenne skierowanie do szpitala, czy kazać nam kurować się w domu.

Potem jest już tylko ciaśniej. Oczekiwania na diagnostykę i na same zabiegi, starania o przyjęcie do lepiej wyposażonego ośrodka, o kwalifikacje do niestandardowych i drogich procedur medycznych, o rehabilitację albo opiekę hospicyjną. Starania, niepewność i wielkie czekanie jak we mgle. Nie wiadomo, co się dzieje, co będzie i o co chodzi. Konsylia i ich werdykty, podania do NFZ i odpowiedzi na nie, różne podchody, szukanie znajomości itd. Wszystko to jest nieprzejrzyste, niefunkcjonalne, a w wielu wypadkach marnotrawne i niesprawiedliwe. Zamiast czystej medycyny mamy biurokrację, towarzyskie i finansowe układy, konflikty interesów i sporo przypadku na dobitkę. Oj, trzeba mieć zdrowie, żeby chorować!

A tak wiele dałoby się naprawić, gdyby każdy medyk rozumiał swoją rolę jako triażera i wypełniał ją w ramach pewnej procedury, metodologii i logistyki, pod pieczą instytucji koordynującej udzielanie świadczeń w zgodzie z zasadami racjonalności i efektywności medycznej, ustalonymi priorytetami zdrowia publicznego oraz z zasadami sprawiedliwości. W Polsce działa to szczątkowo – właściwie tylko transplantologia może się pochwalić przejrzystym i działającym w skali kraju systemem.

Skoro wszyscy obywatele są równi i na równych zasadach korzystają ze wspólnego systemu ochrony zdrowia, to trzeba weń wbudować system triażu – od placówek POZ i lekarzy pierwszego kontaktu aż do centrali NFZ i ministerstwa. Wbudować jako system informatyczny, ale także jako system wytycznych i szkoleń. Lekarze muszą być świadomi swojej roli i odpowiedzialności jako triażerów. Dość już wypisywania „pilne" na co drugim dokumencie i trzymania latami przewlekle chorych w klatce doraźnego leczenia, bez dostępu do specjalistów. Triaż to sprawa życia i śmierci – im prędzej pojmie to medyczna biurokracja, tym lepiej dla nas wszystkich. Zaczyna się od wiedzy o potrzebach, zasobach i jakości dostępnych usług medycznych, a na końcu jest sprawny system łączący efektywność, jakość i sprawiedliwość. No i wiele tysięcy „osobolat" ludzkiego życia uratowanych każdego roku.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 3c38c03389

POSZERZAMY HORYZONTY

Naukowe miesięczniki POLITYKI

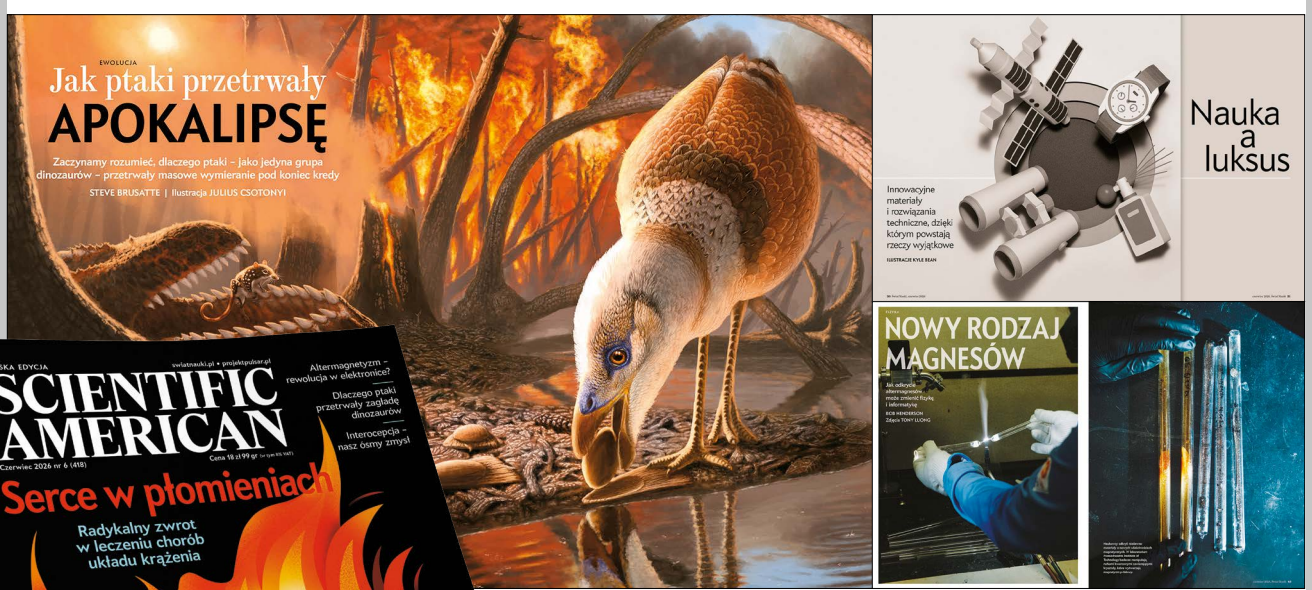

Czerwcowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

pulsar

eprasa.pl 3c38c03389

Co z tą młodzieżą

Czerwiec to w oświacie okres pożegnań i powitań – jedne roczniki przychodzą, drugie odchodzą. Nie sposób uniknąć porównań prowadzących do refleksji: co się dzieje z naszą młodzieżą? Z roku na rok przybywa uczniów z orzeczeniami i opiniami – to empiryczny fakt. Ale z czego to się bierze? Rozmowy na ten temat należą do żelaznego kanonu small talku w pokojach nauczycielskich. Często cytowany jest amerykański psycholog społeczny Jonathan Haidt, autor książki „Niespokojne pokolenie. Jak wielkie przeprogramowanie dzieciństwa spowodowało epidemię chorób psychicznych". Poświęcę jej zasadniczą część felietonu.

Haidt stawia dwie tezy, na tyle rozłączne, jakby to były dwie odrębne książki. Jedną z przyczyn widzi w uzależnieniu młodzieży od smartfonów. Samo w sobie nie jest to kontrowersyjne, o negatywnych skutkach mediów społecznościowych sam piszę od kilkunastu lat. I niezmiennie wzywam do jak najostrzejszych regulacji, niestety internetowe korporacje ciągle są w stanie finansować „społeczne oddolne ruchy" w obronie tzw. wolności słowa w internecie.

Drugą przyczyną jest coś, co Haidt nazywa „sejfityzmem", a co ma polegać na przesadnej trosce o bezpieczeństwo dzieci. Tu jego teza robi się dziwnie niespójna. Odnotowuje na przykład, że dzieci mają dziś mniej wypadków niż kiedyś, i pisze, że nie zamierza na to narzekać, ale zaraz zaczyna na to narzekać. Pokazuje zdjęcie niebezpiecznego placu zabaw sprzed dekad i pisze, że oczywiście nie namawia do powrotu do takich praktyk, ale zaraz potem jakby jednak namawia.

> „Zabierz dziecku smartfon" – brzmi fajnie, ale coraz trudniej uniknąć wczytania kodu QR czy użycia aplikacji mObywatel.

Apeluje do rodziców, żeby się nie bali ryzykownych zabaw swojego dziecka. Jeśli dorobi się paru guzów, siniaków czy zadrapań, to wyjdzie mu tylko na zdrowie – i snuje analogię do nabywania odporności immunologicznej. Jako chemik nie lubię, gdy humaniści używają metafor odwołujących się do nauk ścisłych, zwłaszcza gdy ewidentnie ich nie rozumieją, jak Haidt immunologii. To nie jest takie proste, że dowolna ekspozycja na antygen czyni nas odporniejszymi.

Haidt twierdzi, że doznane w dzieciństwie urazy nadają nam „antykruchości", czyli odporności psychicznej na poważniejsze wyzwania, jakie przed nami stawia dorosłość. Nie jestem psychologiem, ale wydaje mi się to nieprzekonujące. Sam miałem dzieciństwo z serii „puszczony samopas na blokowisku" i bawiłem się w sposób tak ryzykowny, że wspominam to z przerażeniem. Siniaków, guzów i zadrapań było mnóstwo, czasem też jakieś złamanko czy wywichniątko. I temu mam niby zawdzięczać swoją rzekomo wyśmienitą kondycję psychiczną na starość?

Najgłupsze w tej poradzie wydaje mi się to, że nie da się „ryzykownych zabaw" ograniczyć do siniaków bez popadania w „sejfityzm". Jeśli deskorolka, to w kasku i ochraniaczach; jeśli wspinaczka, to z asekuracją i/lub miękkimi materacami. Haidt wydaje się radośnie nieświadomy, że różnica między wypadkiem, który zakończył się „kilkoma siniakami", a takim, który spowodował śmierć lub kalectwo, to kwestia ułamków milimetra. W miarę nabijania siniaków nie nabieramy odporności na urazy, lecz odwrotnie – jeździec, który parę razy spadł z konia i nic mu się nie stało, zaczyna lekceważyć zagrożenia związane z upadkiem.

Takie porady Haidta wydają mi się po prostu szkodliwe. Te związane z ograniczaniem dzieciom dostępu do internetu mają więcej sensu, ale są z kolei sprzeczne z postulowanym przez niego dawaniem dzieciom maksimum swobody. Przecież w praktyce to będzie oznaczać, że pójdą do kolegi, któremu rodzice dostępu do sieci nie ograniczają. Część porad Haidta wydaje mi się zacna, ale niemożliwa do wprowadzenia w życie. „Zabierz dziecku smartfon" – brzmi fajnie, ale przecież coraz trudniej uniknąć konieczności wczytania kodu QR, użycia czujnika NFC czy aplikacji mObywatel w życiu codziennym. Szkoła wręcz wymaga od uczniów używania na bieżąco Teamsów i Librusa. Dopóki wolność od aplikacji nie zostanie zagwarantowana ustawowo (a pewnie nigdy nie będzie), taki zakaz będzie zawracaniem Wisły kijem.

Czemu coraz więcej mamy przypadków autyzmu czy ADHD? Moim zdaniem z tego samego powodu, dla którego kto nie ma termometru, ten nie ma gorączki. Za mojego dzieciństwa nie było opinii ani orzeczeń, tylko jedne bachory były nieznośne, inne tępe, a jeszcze inne bezczelne i przemądrzałe. Świat wcale nie był przez to lepszy.

To dobrze, że zmienia się podejście nauczycieli i rodziców. Jestem też entuzjastą tego, co Haidt nazywa „sejfityzmem". Nie widzę problemu ani w kaskach i asekuracji, ani w unikaniu przemocowych interakcji międzyludzkich. Zgadzam się natomiast, że należy ograniczać media społecznościowe, ale to nie jest rola szkoły czy rodziców, to musi zrobić państwo.

WOJCIECH ORLIŃSKI

PS Autor dziękuje kol. Filipowi Frontczakowi z zespołu LO Startowa 4K za inspirujące uwagi wymienione w pokoju nauczycielskim.

eprasa.pl 3c38c03389

FELIETON

Koziołek

Toczeń demokracji

Denerwują mnie te kamery – sąsiadka wskazała czarne bulwy na świeżo odmalowanej ścianie.

– Może dzięki temu jutro nie zobaczymy graffiti na murze – stwierdziłem pojednawczo.

– Ten, kto maluje nam po ścianach, jest w kominiarce, kapturze i okularach. Za to nasze twarze są nagrywane codziennie. Nie tylko twarze. Wszystko, co mamy w rękach; kto z nami wchodzi i wychodzi; w co jesteśmy ubrani. A pewnie też co mówimy. Esbecja za komuny nie mogła nawet marzyć o takich informacjach, jakie ma teraz zwykły portier.

– Co pani proponuje? Przecież nie da się tego wszystkiego zdemontować.

– Nie wiem. Ale ta kamera robi ze mnie podejrzaną. Nie podoba mi się to – odpowiedziała i pogroziła palcem czarnej półkuli.

„Toczeń!" – wołali widzowie po kilku sezonach serialu „Dr House", w reakcji na zmagania bohaterów z diagnozą szczególnie trudnego przypadku. To jedna z tych zagadkowych, nieuleczalnych chorób autoimmunologicznych, czyli takich, kiedy układ odpornościowy organizmu atakuje zdrowe tkanki. Nie wiemy, dlaczego nam to robi, nie daje się wyleczyć, można jedynie powstrzymywać objawy lekami.

Jak to możliwe, że nasze prawa, demokratyczne instytucje, wolne media obróciły się przeciw nam? Dlaczego niszczymy sami siebie?

Myśl, że demokrację liberalną trawi choroba autoimmunologiczna, po raz pierwszy naszła mnie chyba po ataku na WTC, ale porzuciłem ją jako zbyt grube uproszczenie. No bo hipoteza, że największą słabością zachodniego świata są fundamentalne prawa i wolności obywatela, była dla mnie samego nieakceptowalna. Ale wróciła w apogeum ruchu MeToo, czyli w 2017 r., kiedy słuszny i głośny protest przeciw molestowaniu seksualnemu zrodził obawę, że publiczne napiętnowanie sprawcy może być ważniejsze niż prawomocny wyrok. Przekonałem jednak sam siebie, że większym dobrem jest głos tysięcy ofiar przemocy seksualnej, które zyskały globalne wsparcie.

Odkąd metodami demokratycznymi zniszczyliśmy sobie w Polsce ład konstytucyjny, nie umiem pozbyć się sugestywnego obrazu samoniszczącego się organizmu. Jak to możliwe, że nasze prawa, demokratyczne instytucje, wolne media, wolność słowa obróciły się przeciw nam? Nie dlatego, że podporządkował je sobie tyran, ale... No właśnie. Dlaczego w niepojętym zapamiętaniu niszczymy sami siebie?

Chciałoby się wierzyć, że tak było zawsze; że objawiła się uśpiona na chwilę siła, którą Grecy nazywali *hybris*, czyli zuchwałością, popychającą do czegoś, co jest możliwe, choć nie powinniśmy tego robić. Król Edyp, Kreon, prezydent Donald Trump mają być przestrogą, że wolność – także polityczna – wymaga umiarkowania w jej używaniu. Niestety, to urocza oldskulowa wizja. W rzeczywistości polityczni i technologiczni władcy świata, jak Musk, Brin czy Zuckerberg, stwarzają warunki do tego, abyśmy atakowali samych siebie. Tymi samymi narzędziami, które miały posłużyć budowaniu braterstwa ludzkości.

Jestem wciąż zachwyconym dzieckiem demokratycznej technologii dostępu do zasobów kultury, z których może korzystać tak wielu za tak niewielką cenę. Moje pokolenie w młodości nie śniło o równie łatwym dostępie do literatury, sztuk plastycznych, filmów i muzyki. Uważam to za rodzaj cywilizacyjnego cudu o wymiarze globalnym. A przecież nie mogę nie myśleć o jego monstrualnej cenie. Media społecznościowe z niewyobrażalną skutecznością infekują organizm ludzkości manipulacją, fejkami, cynizmem lub po prostu czystym złem. Wolność słowa, dostęp do wiedzy, swoboda opinii miały nas chronić przed autorytaryzmem i propagandą, a niszczą naszą odporność na kłamstwo; rujnują wzajemne zaufanie; podminowują szacunek dla wszelkich autorytetów. Choroba autoimmunologiczna nie dotyka jednego tylko organu; powoduje przewlekły stan zapalny wielu narządów.

Zachwycony własną przenikliwością przypomniałem sobie jednak słynny esej Susan Sontag sprzed prawie 50 lat („Choroba jako metafora"). Opisała tam, jak chętnie nadużywamy chorób jako metafor wartościujących zjawiska niemedyczne: mechanizmy psychospołeczne, poglądy polityczne, przekonania etyczne. Gruźlica, rak, AIDS stają się nazwami złożonych systemów zachowań. Istnieje ogromna pokusa, aby za najnowszy objaw choroby autoimmunologicznej ludzkości uznać sztuczną inteligencję.

A przecież tylko raz diagnoza tocznia postawiona przez ludzi House'a się potwierdziła (sezon 4, odc. 8). Najczęstsze stwierdzenie genialnego doktora brzmi: „To nie jest toczeń" (*It's not lupus*). I ma rację. Podobnie z toczniem jako metaforą polityczną. Jest nieadekwatna. To nie choroba autoimmunologiczna trawi demokrację. Cierpimy na stare zwykłe choróbska: tchórzostwo, obojętność, kłamstwo, żądzę władzy, brak wyobraźni, pogardę dla słabszych, żądzę zysku, pychę, oportunizm. No, może przybyła nam epidemia klikalności. Ale to też nie jest toczeń. Każdy zaraża się nią dobrowolnie.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 3c38c03389

FELIETON

Chutnik Plebanek

Czarna lista

Artyści czasem się przydają. Bywają nieżyciowo odważni, choćby wtedy, gdy ujmują się za abstrakcją taką jak sprawiedliwość. Przypisywana twórcom nieumiejętność radzenia sobie z pieniędzmi czy wręcz programowa pogarda dla zarobków naraz przestaje być wyszydzaną słabością, a staje się wychwalanym atutem. Pisarze, którzy zwarli szeregi w proteście przeciwko wyrzuceniu szefa francuskiego wydawnictwa Grasset przez miliardera Vincenta Bolloré, nie tylko nagłośnili sprawę dzięki swoim znanym nazwiskom, lecz także dali wyraźny sygnał, że nie uchodzi kolaborować z prawicą, której światopogląd uderza w demokrację.

List w obronie wydawcy podpisało 200 autorów i autorek, m.in. Virginie Despentes czy Frédéric Beigbeder. Jedna ze współorganizatorek protestu, pisarka Vanessa Springora, definiuje wsparcie autorów wobec wydawców w kategoriach emocjonalnych, mówiąc o „okazaniu im miłości". Przyjaciół poznasz w biedzie, wydawcy z Grasset pewnie się nie śniło wsparcie ze strony takich gwiazd.

Równie honorowo podeszli do tematu ludzie filmu. Gdy Bolloré przejął Canal+, który we Francji jest jednym z głównych graczy na rynku filmowym (finansował powstanie siedmiu z dziewięciu nagrodzonych w tym roku w Cannes produkcji), 600 osób z branży podpisało się pod listem protestacyjnym. I tu gorzka niespodzianka. Szef stacji oświadczył, że nie zamierza pracować z żadnym z sygnatariuszy. A wśród nazwisk figurują takie sławy, jak uhonorowana Oscarem aktorka Juliette Binoche. Lista osób protestujących zamieniła się w czarną listę.

> Wielkie fortuny w prywatnych rękach zagrażają demokracji. Tym bardziej że to miliarderzy płacą najniższe podatki.

Środowisko nie czekało długo. Pod petycją przeciwko przejęciu Canal+ przez ultraprawicowego katolika (co roku lata prywatnym samolotem do Lourdes) lista podpisów wydłużyła się do 2 tys. nazwisk. Jednak konserwatywny burmistrz Cannes zrugał artystów, szydząc, że podcinają gałąź, na której siedzą. Sprawę podjęli politycy, oczywiście dopasowując komentarze do profilu i interesów własnej partii. Co będzie z twórcami, którzy porwali się z motyką na słońce? Z czarną listą nie ma żartów. Miliarder przypomniał światu kultury starą prawdę, że rządzi ten, kto ma pieniądze, a nie ten, kto ma rację.

Canal+ w 2025 r. wyłożył na francuskie kino ponad 150 mln euro. Ani Netflix, ani Disney+ nie palą się, by go zastąpić. Inni się pocieszają, że miliarder nie będzie sobie strzelać w stopę, forsując wobec lewicowej widowni prorosyjskie i antyimigranckie treści, jakie pojawiają się na jego telewizyjnym kanale CNEWS. Są jednak tacy, którzy nie mają złudzeń, że to tylko wstęp. Kiedy prawica dojdzie do władzy, tacy ludzie jak Bolloré nie będą się już z niczym liczyć. A to oznacza katastrofę nie tylko dla kina, ale i kultury w ogóle. Francuski przypadek przypomina bowiem o niebezpieczeństwie, jakie czyha na całym świecie. Koncentracja ogromnego majątku w rękach osób prywatnych, kapitał, który przekracza PKB niejednego kraju, to realne zagrożenie dla wolności i demokracji. Tym bardziej że miliarderzy we Francji i w wielu innych krajach są paradoksalnie tymi, którzy płacą najniższe podatki.

O zagrożeniu ze strony kasty międzynarodowych bogaczy pisze Eleanor Catton, nowozelandzka autorka nagrodzona Nagrodą Bookera. W powieści „Las Birnamski" intryga kręci się wokół miliardera o psychopatycznych skłonnościach, którego cechy z łatwością można odnaleźć w tych znanych nam ze świata realnego. Wie, jak wielką rolę we współczesnym świecie odgrywa właściwa narracja, i dlatego obsesyjnie ją kontroluje, posługując się manipulacją. Opowieść o szerokim tle społecznym zamienia się w thriller z gorzkim zakończeniem.

W książce Catton jest scena „zrzucenia rękawic", podobna do tego, co zademonstrował szef Canal+. Bo po oświadczeniu, że lista poparcia staje się czarną listą, trudno spodziewać się czegoś innego niż walki na gołe pięści. Ciekawe zresztą, że angielski idiom *to rule with an iron fist in a velvet glove* (rządzić żelazną ręką w aksamitnych rękawiczkach) nie ma polskiego odpowiednika. A przecież to się właśnie dzieje wokół nas. Rzeczywistość goni fabułę odcinków z Bondem i Złym, a pisarze nie nadążają z opowieściami o niegodziwościach bogaczy. Za to w realnym życiu twórcy, którzy nie mają pieniędzy, ale wierzą w przyzwoitość i sprawiedliwość, stają do walki ze złem. Czeka nas *bare knuckle fight*, nawalanka na gołe pięści w obronie demokracji.

Prasę mamy jako artyści ciężką, ciągle ktoś nas zagania do „prawdziwej roboty" i niczym były prezydent Bronisław Komorowski radzi, aby założyć firmę, skoro się nie ma pieniędzy. Z neoliberalnego poziomu wszystko wygląda prosto: jeśli nie masz kasy, to widocznie za mało się starasz. W internecie pełno jest szkoleniowców, którzy oferują kursy szybkiego zdobycia fortuny (czyli zarabiają na tych, co chcą zarabiać), a nam pozostaje potulne podkulenie ogona albo wysmaganie się w pokucie za roszczeniowość. Tymczasem chodzi o dystrybucję pieniędzy, a nie ich brak. I to jest dopiero abstrakcja.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 3c38c03389

Dom Kultury Śródmieście

DOM W ALEJACH

(Aleje Jerozolimskie 2)

W setną rocznicę urodzin wybitnego dziennikarza, popularyzatora historii, człowieka pojednania, Honorowego Obywatela m.st. Warszawy, **zapraszamy na cykl debat** poświęconych życiu Mariana Turskiego oraz relacjom między doświadczeniem historycznym, pamięcią i odpowiedzialnością – jednostki i zbiorowości.

Marian Turski, czasy skrajności i przeobrażeń

9 czerwca (wtorek), godz. 18.00
Jakie są granice „pamięci wielokierunkowej"? Niemieckie i polskie debaty na temat porównywalności ludobójstw i różnych form przemocy rasowej
Rozmawiają: Agnieszka Pufelska, Robert Parzer, Marcin Zaremba
Prowadzenie: Zofia Wóycicka, Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie

16 czerwca (wtorek), godz. 18.00
Zwykli najeźdźcy? Niemcy w okupowanej Polsce
Rozmawiają: Monika Bednarek, Jan Daniluk, Christhardt Henschel
Prowadzenie: Adam Krzemiński, POLITYKA

18 czerwca (czwartek), godz. 18.00
Jak nie być obojętnym? Kryzys młodości w okresie międzywojennym
Rozmawiają: Kamil Kijek, Anna Mueller, Iza Mrzygłód
Prowadzenie: Jakub Halcewicz, POLITYKA

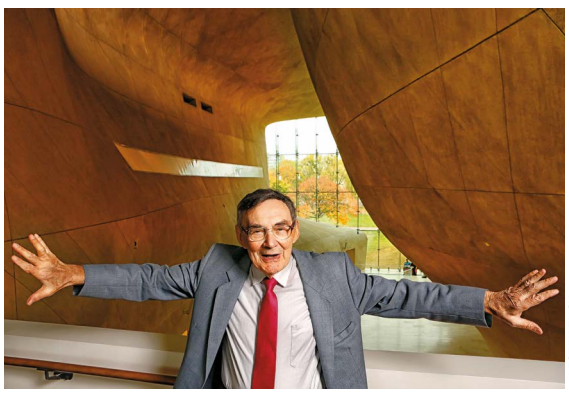

© LESZEK ZYCH

Dodatkowe wydarzenie:
Uroczystość nadania róży imienia Mariana Turskiego i odsłonięcie rabaty różanej

26 czerwca (piątek), godz. 14.00

Miejsce: w sąsiedztwie Pomnika Bohaterów Getta Warszawskiego, przed Muzeum POLIN, ul. Mordechaja Anielewicza 6

Organizatorzy: POLITYKA, Deutsches Historisches Institut Warschau / Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie

Partnerzy: Dom Kultury Śródmieście Warszawa, Warszawa Śródmieście

GALERIA POLITYKI

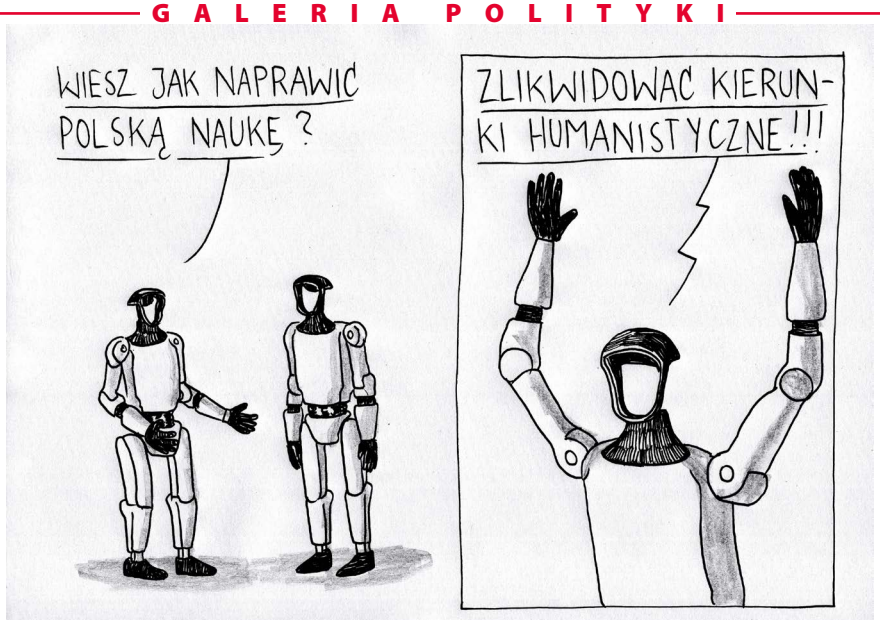

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Prinit, Leipa

eprasa.pl 3c38c03389

TREND

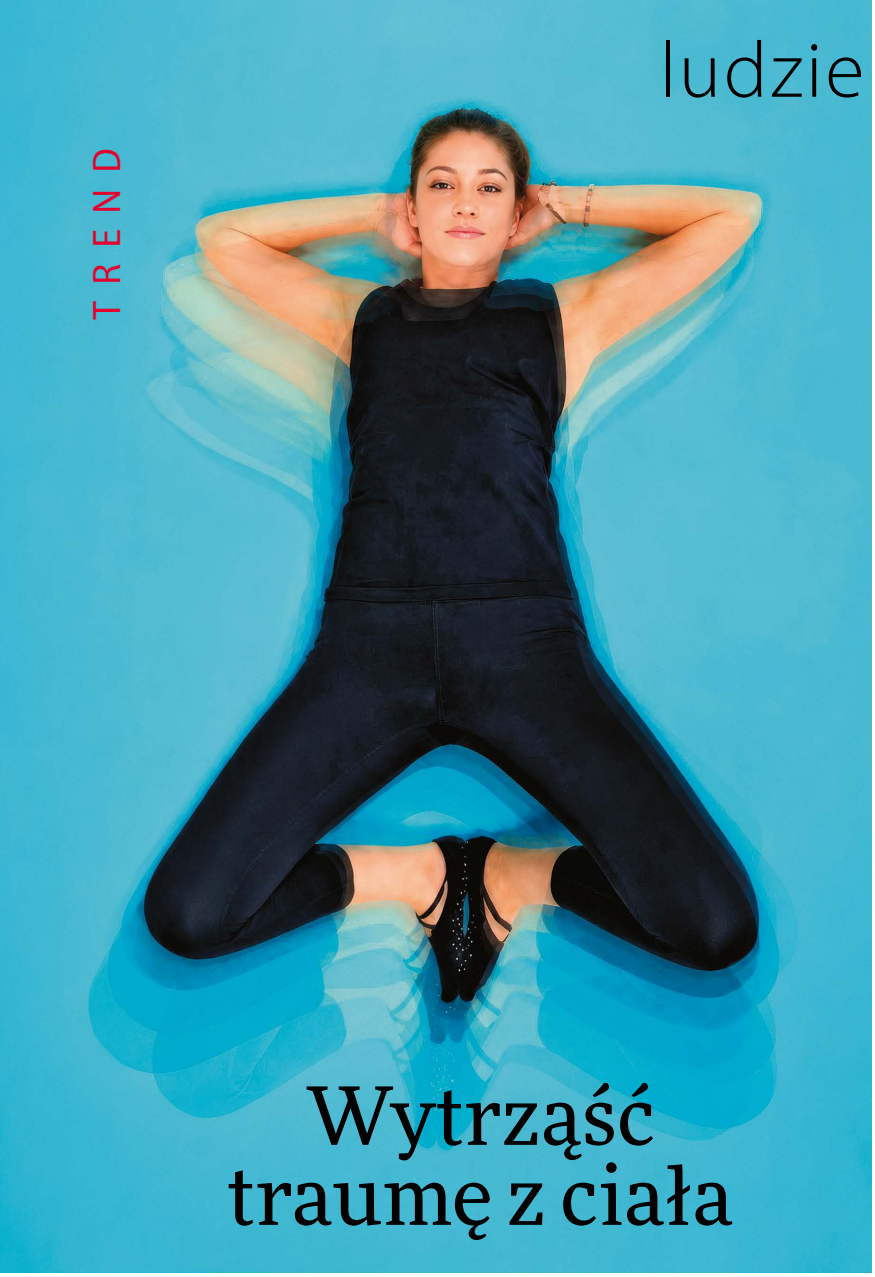

Wytrząść traumę z ciała

Coraz więcej osób kładzie się na dywanie i zaczyna się trząść – celowo. Czy to kolejna modna bzdura? A może skuteczna metoda ograniczająca stres?

Na filmikach wygląda to niepokojąco: dorosły człowiek leży na podłodze i wibruje całym ciałem niczym sprzęt AGD w ostatniej fazie prania. Podpis objaśnia, że właśnie uwalnia traumę zablokowaną w powięziach. W komentarzach entuzjaści piszą o przełomie i odzyskanej wolności. Sceptycy – że to kolejna bzdura. Prawda leży gdzieś pośrodku.

Ćwiczenia somatyczne przeżywają renesans. Na YouTube roi się od filmików z TRE (Tension and Trauma Releasing Exercises) – sekwencją ruchów mających wywołać kontrolowane drżenie ciała. Twórcą metody jest David Berceli, terapeuta traumy i psychoterapeuta bioenergetyczny. Zaobserwował, że zwierzęta po stresującym wydarzeniu instynktownie drżą, rozładowując nadmiar napięcia. U ludzi działa rzekomo podobny mechanizm – tyle że zwykle go świadomie hamujemy, choćby ze względów kulturowych. Hipoteza brzmi logicznie: skoro mamy wbudowany „reset" dla układu nerwowego, może czasem warto go świadomie aktywować? Zwłaszcza że we współczesnym świecie drapieżniki atakują nas dzień w dzień.

I tu dochodzimy do sedna. Drżenie oczywiście istnieje i ma swoje miejsce w fizjologii – pomaga rozgrzać przemarznięte ciało albo sygnalizuje przemęczenie mięśni. Brakuje jednak mocnych naukowych dowodów na to, że TRE leczy traumę albo „wytrząsa" ją z tkanek. Powięź jest ważną tkanką łączną, gęsto unerwioną, uczestniczącą w odczuwaniu własnego ciała, ale nie mamy wystarczająco wiarygodnych danych, by udowodnić, że jest magazynem wspomnień czy emocji. Co nie znaczy, że nie warto z nią pracować – techniki mięśniowo-powięziowe mają swoje miejsce m.in. w fizjoterapii. Wykorzystuje się je także u pacjentów, którzy zmagają się ze skutkami silnego stresu.

W środowisku medycznym mawia się, że nie ma spokojnego umysłu w spiętym ciele – i odwrotnie. Tymczasem rytmiczne, kontrolowane ruchy ciała mogą mieć realne działanie relaksacyjne i aktywować nerw błędny – kabel telekomunikacyjny biegnący od pnia mózgu aż do jelit, który zarządza stanem spokoju: obniża tętno, zwalnia oddech, aktywuje układ przywspółczulny i tłumi reakcję stresową. I tu nauka mówi „tak" – jego stymulacja naprawdę działa.

Sęk w tym, że skutecznych metod jest już pod dostatkiem. Powolny oddech przeponowy z przedłużonym wydechem to jedna z najlepiej przebadanych technik aktywacji nerwu błędnego. Podobnie działają śpiew, nucenie, śmiech, a nawet płukanie gardła zimną wodą. Ćwiczenia fizyczne o umiarkowanej intensywności wspierają układ nerwowy niegorzej niż wiralowe rytuały. Resztę załatwiają udane życie społeczne, zdrowa dieta, poczucie bezpieczeństwa i regularny sen. Człowiek wyspany, odżywiony i otoczony bliskimi statystycznie zniesie o wiele więcej niż ten, który szuka uzdrowienia na dywanie.

Wróćmy jednak do drżącego człowieka na dywanie. Czy mu to szkodzi? Raczej nie, o ile nie ma przeciwwskazań neurologicznych i robi to bezpiecznie. Czy pomaga? Być może – ale nie dlatego, że wytrząsa traumę z powięzi, tylko dlatego, że rytmiczny ruch i chwila skupienia na własnym ciele same w sobie są relaksujące.

Traumy najskuteczniej leczyć z pomocą fachowców – są przebadane metody, jak EMDR czy terapia przetwarzania poznawczego, których działanie jest dużo lepiej udokumentowane niż drżenie na dywanie. Spokój zaś to nie stan osiągany przez specjalne rytuały, lecz umiejętność budowana każdego dnia – oddechem, ruchem, dietą, snem i kontaktem z życzliwymi ludźmi. Nerw błędny nie potrzebuje więc specjalnej celebracji. Potrzebuje codziennej normalności. ■

Julian Sobiech – fizjoterapeuta, dietetyk, autor książek „Jak dożyć setki" i „Wystarczy pięć minut. Prosty plan na zdrowie: minimum wysiłku, maksimum efektów".

© SHUTTERSTOCK (2), ARCHIWUM PRYWATNE, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3c38c03389

TECHNO

Ikona na prąd

Ferrari to coś więcej niż marka samochodów, to ikona zajmująca ważne miejsce w masowej wyobraźni. Nic dziwnego, że prezentacja nowego elektrycznego modelu **Ferrari Luce** (wł. światło) wzbudziła emocje nie tylko wśród potencjalnych nabywców, ale też marzycieli.

Elektryczny napęd (pojazd posiada cztery silniki) to niejedyna zmiana. Całość stanowi wyraźne odejście od znanej sportowej i agresywnej stylistyki marki. Nowy model jest znacznie bardziej „oswojony" – ma nie tylko czworo drzwi, ale po raz pierwszy w historii Ferrari oferuje również pięcioosobowe wnętrze. Aerodynamiczna sylwetka nadaje mu futurystycznego charakteru, który dodatkowo podkreśla kolorystyka: dolna część nadwozia jest barwna (wśród dostępnych kolorów jest klasyczna czerwień kojarzona z marką), natomiast górną wykończono w czerni, co optycznie odciąża bryłę. Kto zaś jednak tęskni za pomrukiem spalinowego silnika, może liczyć na specjalnie wzmocniony dźwięk napędu elektrycznego.

Krytycy porównują pojazd do elektroniki użytkowej, takiej jak iPhone czy myszka Apple. Głównie dlatego, że za projektem stoi studio LoveFrom, którego właścicielem jest Jony Ive. W latach 1992–2019 pracował w Apple; to jemu zawdzięczamy kształt ikonicznych komputerów iMaca, iPoda czy iPhone'a. Krążące przez lata pogłoski o Apple Car (projekcie samochodu, z którego firma ostatecznie zrezygnowała), sprawiają, że Ferrari Luce jest odbierane jako realizacja tego pomysłu. Co ciekawe, chociaż to Ive jest odpowiedzialny za wszechobecne ekrany dotykowe, nie widzi dla nich miejsca w samochodach.

Wbrew popularnym w motoryzacji trendom „tabletyzacji" (największym szkodnikiem jest tu Tesla), projektując Ferrari, Luce postawił na fizyczne przyciski i przełączniki. Znaną z Apple elegancję i przyłożenie do detali widać właśnie we wnętrzu i takich elementach jak choćby kluczyk-kostka. Ferrari na prąd potrzebuje tylko czasu, by się w nim zakochać.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Rzucanie tortem

Wyborcza.pl w tekście Konrada Wojciechowskiego ostrzega o kolejnym – po zeszłorocznej modzie na „szona" – haśle z TikToka obrażającym młode dziewczyny. To „torta". Tak miały koleżanki przezywać Marię z Wilanowa. Słowo „torta" – oznaczające w tym kontekście pulchną dziewczynę, kobietę z nadwagą – przywędrowało do nas z latynoamerykańskiej kultury w południowych stanach USA, które dzięki znaczeniu w rapie mają też wpływ na młody język. Początkowo opisywało najprawdopodobniej budowę ciała Meksykanek, bo to w tym kraju *torta* (w wielu hiszpańskojęzycznych krajach kojarzone z ciastem) oznacza kanapkę z szynką, jajecznicą, awokado lub innymi składnikami. W każdym razie już od ponad 20 lat w amerykańskim Urban Dictionary *torta* ma kontekst jednoznacznie obraźliwy i stygmatyzujący – oznacza tę najtęższą spośród dziewczyn w towarzystwie. A ponieważ social media z dystrybucją terminów obraźliwych i polaryzujących radzą sobie najlepiej, trend „czy jesteś/wolisz być szonem, czy tortą" rzeczywiście zrobił się na TikToku popularny. To, czy musi piętnować, zależy jednak od intencji piszącego. Da się zresztą podobne sytuacje odwrócić – jak w polskim tłumaczeniu bestsellera literatury młodzieżowej „Pasztety, do boju!" Clémentine Beauvais o laureatkach szkolnego konkursu na „najbrzydsze dziewczyny", pozytywnej historii o odzyskiwaniu pewności siebie.

To zjawisko podobne do dyskusji po ostatniej Eurowizji, którą wygrał bułgarski utwór „Bangaranga" Dary, co kwitowano zadowoleniem, że zwyciężyła piosenka w stylu girlbop. Bo z jednej strony girlbop to chwytliwy, taneczny popowy utwór wykonywany przez kobietę. Z drugiej – samo „bop" bywa określeniem łatwej dziewczyny, niebezpiecznie bliskim bulwersującego zeszłorocznego szona. Sam bop wpisuje się więc z łatwością w trend seksistowskich obelg z TikToka, choćby w girlbopie nie było niczego złego.

Ciekawe, że tort występował dotąd raczej w męskich kontekstach – w wyrażeniu „ch...j w torcie" oznaczającym porażkę – oraz grze półsłówek, która ujawniała ową porażkę dopiero po zamianie sylab w wyjściowej frazie „tenis w porcie". Jak w każdej ryzykownej zabawie, i tu obowiązuje wzajemność: kto tortą wojuje, może samemu oberwać tortem.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Ale spoko, to jest gra dla sportu,
Sprawdź, to twój kawałek tortu,
Jak od tenisa na playaku do prywatnych kortów
Eis, Teraz albo nigdy, 2020 r.
playak – Playstation

eprasa.pl 3c38c03389

W portugalskiej Évorze rzymska świątynia sąsiaduje z gotycką katedrą, a całe historyczne centrum wpisano na listę UNESCO. To także jedno z najlepszych miast do życia w tym kraju.

Spacer przez epoki

PODRÓŻE

Mamy kompleks megalityczny starszy o 2 tys. lat od Stonehenge – takimi słowami wita nas przewodnik, z którym ruszamy na zwiedzanie Évory. Libânio Murteira Reis wie, co mówi – przez wiele lat wykładał historię na tutejszym uniwersytecie. Wspomniany przez niego obiekt to kromlech Almendres, znajdujący się kilkanaście kilometrów na zachód od miasta. Aż tak daleko się nie wybierzemy, ale sąsiedztwo megalitów nadaje opowieści o mieście i jego okolicach odpowiednią perspektywę. Na spacer ruszamy spod XVI-wiecznego akweduktu, a pierwszy przystanek robimy przed rzymską bramą. Rytualne „Patrzcie pod nogi!" nabiera tu innego wymiaru, gdy stąpa się po kamiennych płytach liczących sobie dwa tysiąclecia.

Ale korzenie miasta są znacznie starsze. Nazwa Évora pochodzi od celtyckiego słowa „ebora" odnoszącego się do odmiany cisów. Miasto Ebora pełniło funkcję stolicy regionu zajmowanego przez plemiona celtyckie. W 57 r. p.n.e. podbili je Rzymianie – za ich panowania otoczono je murami; z fortyfikacji zachowały się m.in. brama i część nawierzchni drogi. Zaglądamy też do pozostałości rzymskich łaźni. Do dawnego *caldarium*, gdzie w czasach rzymskich brano ciepłe kąpiele, wchodzi się przez siedzibę lokalnych władz. – *36 lat temu burmistrz zauważył, że jego pracownicy często chodzą na kawę. Postanowił więc otworzyć kawiarnię w ratuszu* – na wpół żartuje Libânio. Zanim do pracy wzięli się robotnicy, na miejsce wpuszczono archeologów – i okazało się, że burmistrz będzie musiał znaleźć inne miejsce na kawiarnię.

Julia Zabrodzka – fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca na Półwysep Iberyjski.

Kolejne odkrycia w centrum miasta nie są ponoć dla mieszkańców szczególnym zaskoczeniem. Jest tu też jednak pewien rzymski zabytek, którego odkrywać nie trzeba było. Przeciwnie – trudno go przeoczyć. To **świątynia rzymska przypisywana bogini Dianie**. – *Wszędzie tak piszą, ale to nieprawda!* – zżyma się historyk. Po czym dodaje, że to absolutnie wyjątkowa budowla. – *Starożytne świątynie zachowały się we Włoszech i w Grecji, ale na Półwyspie Iberyjskim jest ich raptem kilka, m.in. w hiszpańskiej Méridzie i u nas!*

Stoimy w cieniu i patrzymy z podziwem na górujące nad placem korynckie kolumny. Budowla zniszczona w V w. podczas inwazji plemion germańskich pełniła później różne funkcje: najpierw, po wbudowaniu weń wieży obronnej stanowiła część zamku, następnie zamieniono ją w... rzeźnię. Mięsem handlowano tu aż do XIX w. W drugiej połowie stulecia wyburzono fragmenty średniowieczne, a resztę budowli odrestaurowano w duchu romantyzmu. Dziś 14 kolumn z pięknie zachowanymi kapitelami i częścią architrawu stanowi jeden z symboli Évory.

Zanim w świątynię wbudowano średniowieczne mury, miasto zasłynęło znacznie większą inwestycją. Wkrótce po tym, jak w 1166 r. Évora przeszła z rąk Maurów (którzy rządzili nią od VIII w.) pod panowanie chrześcijan, rozpoczęto budowę katedry. Na przełomie XIII i XIV w. stosunkowo niedużą świątynię rozbudowano w stylu gotyckim, dzięki czemu stała się ona największą średniowieczną katedrą w całej Portugalii. W XVIII w. kolejna przebudowa nadała części wnętrza charakter barokowy. Wczesnobarokowy charakter ma jeszcze jedna z tutejszych atrakcji, być może najbardziej nietypowa: ossuarium w Kościele św. Franciszka. W XVII w. jego ściany i kolumny przyozdobiono czaszkami i piszczelami blisko 5 tys. osób spoczywających na pobliskim cmentarzu.

Nie ma chyba wielu miejsc na Ziemi, na których kolejne epoki odcisnęłyby tak wyraziste piętno. W ciągu godzinnego spaceru można przejść z czasów rzymskich przez średniowiecze i barok aż do współczesności. Nie zachowało się tylko zbyt wiele materialnych oznak kilku wieków panowania arabskiego. Przetrwał za to zwyczaj, który widzimy na każdym kroku. – *To Maurom zawdzięczamy pomysł malowania obramowań okien i drzwi* – wskazuje przewodnik. Błękit i żółty przynosiły ponoć dobrobyt i odstraszały złe duchy (a niebieski także insekty).

Najwyraźniej robią to skutecznie: historia obeszła się z Évorą łaskawie, nie zmieniając jej zarazem w skansen. W rankingu najlepszych w Portugalii miast do życia, opublikowanym na łamach tygodnika „Espresso", Évora zajęła drugie miejsce. W 2027 r. zostanie Europejską Stolicą Kultury – razem z łotewską Lipawą. A przede wszystkim z kilkoma tysiącami lat swej zapisanej w kamieniach historii. ■

© SHUTTERSTOCK (2), ARCHIWUM PRYWATNE, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 3c38c03389

Najwyższy wulkan Europy rodzi też jedne z jej najlepszych win. Wina z Etny mają przed sobą wielką przyszłość – o ile wszystkiego nie pochłonie lawa.

Bogini wina

Dla Sycylijczyków Etna to po prostu „Idda" – „Ona". Wulkan wyjątkowy, jeden z najbardziej aktywnych na świecie. Wylewy lawy trwają tu właściwie cały czas, a w okresach szczególnej aktywności ulice leżącej 100 km od krateru Katanii albo Taorminy pokrywają się dywanem z czarnego pyłu wyrzuconego przez Boginię (tak też mówi się tu o Etnie). Ta aktywność nie jest groźna dla nas, ludzi, chociaż w historii zdarzyło się kilka niszczycielskich wybuchów – jak w 1669 r., gdy lawa pochłonęła dziesiątki wsi i dotarła aż do Katanii.

Etna jest też wyjątkowa ze względu na swoje rozmiary – dzisiaj jej szczyt sięga 3,4 tys. m n.p.m., a obszar Parku Narodowego Etny ma ponad 1 tys. km kw. Znajdziemy tu gęste lasy pełne grzybów i dzikiej zwierzyny, kamienne pustkowia w miejscu niedawnych wylewów lawy, jeziora, gorące źródła, gaje oliwne, leszczyny, a na zachodnim stoku wulkanu, w Bronte – słynne na cały świat pistacje.

Co to ma wspólnego z winem? Otóż wiele, bo Etna od czasów starożytnych uważana jest za wybitne siedlisko dla winnej łozy, zaś w czasie największego rozkwitu winiarstwa na tych terenach, pod koniec XIX w., obszar winnic sięgał 100 tys. ha winorośli. To niewyobrażalna liczba – dzisiaj tyle znajdziemy w całych Niemczech albo Australii! Winnice w północnej Europie zdziesiątkowała wówczas epidemia filoksery i winiarze z Francji nagminnie podrasowywali swoje cienkie trunki mocnym Nerello Mascalese z Sycylii właśnie, które wysyłano w świat z portu w Riposto u stóp wulkanu.

Paradoksem było, że cały ten ocean czerwonego wina etneńskiego na wulkanie jedynie tłoczono i fermentowano. Skończone wino zimą wysyłano od razu luzem w beczkach na północ. Nie starzono go i nie butelkowano, bo na jakościowe wino w butelkach nie było w ogóle rynku. (Jeszcze w latach 80. na Etnie działały ledwie cztery winiarnie). Zachowały się natomiast setki kamiennych tłoczni – palmenti – na pamiątkę niesamowitej prosperity. Większość niszczeje, tylko nieliczne ładnie odnowiono – np. Palmento Costanzo, jedną z najładniejszych winiarni w regionie. Szaleńcy mogą sobie takie cudo wyremontować i urządzić w nim dom.

WINO

Dzisiaj producentów na wulkanie jest przeszło 300. Etna stała się bowiem najmodniejszą apelacją winiarską w całej Italii, rozpala wyobraźnię winomanów nawet mocniej niż sławne Barolo albo Brunello. Dużo w tym magii i romantycznej otoczki drzemiącej Bogini, z jakiej korzystają dziś arcymineralne w smaku wina wulkaniczne. Jakości sprzyjają też stare winnice, których tu nie brakuje – niektóre mają ponad sto lat, a ich winorośla rosną nie na amerykańskich podkładkach, jak na całym świecie, tylko na własnych korzeniach, co nadaje winom jeszcze bardziej wyjątkowego smaku.

Ale na korzyść Etny zagrało jeszcze coś, czym wspomniane Barolo, Brunello czy Amarone – do niedawna niekwestionowani królowie włoskiego wina – nie mogą się pochwalić. Mianowicie... biel. Na Etnie bowiem poza czerwonymi winami z odmiany Nerello Mascalese można robić również białe, z lokalnego szczepu Carricante. Świeże, delikatnie kwiatowe, mineralne właśnie i – w odróżnieniu od wielu win śródziemnomorskich – lekkie, bo mają najczęściej tylko 12–12,5 proc. alkoholu. Przy niewątpliwych sukcesach win czerwonych to właśnie białe napędzają modę i entuzjazm na Etnę. W ciągu dekady ich udział z 10 proc. podskoczył do aż 50 proc. W roczniku 2025 po raz pierwszy w historii wulkanu win białych zrobiono więcej niż czerwonych. A w zanadrzu Etna ma jeszcze jeden hit – róż. Przepięknie owocowe i do tego arcymineralne – rosé z Wulkanu mają potencjał, aby zostać najlepszymi na świecie, co piszę jako wielki fan tego koloru. ■

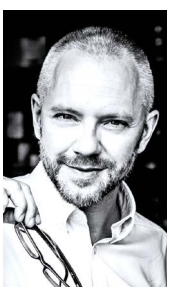

Wojciech Bońkowski – dziennikarz i krytyk winiarski od 1999, od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine.

Tenuta Tascante Etna Bianco Buonora 2024, 179 zł (wina-mp.pl)
Passopisciaro Passorosso 2024, 189 zł (vinieaffini.pl)
Tenuta delle Terre Nere Etna Bianco Santo Spirito 2020, 224 zł (wine-express.pl)
Feudo Cavaliere Etna Rosato Millemetri 2018, 40 euro (internety zagraniczne)
Benanti Etna Bianco Superiore Pietra Marina 2021, 80 euro (internety zagraniczne)

eprasa.pl 3c38c03389

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Nadciąga Gladius-2

Na komputerowym obrazku zza chmur wyłania się tajemniczy trójkąt – tak wygląda odrzutowe „skrzydło" latające na setki kilometrów, pierwszy tego rodzaju system uderzeniowy dalekiego zasięgu polskiej konstrukcji, zamówiony przez MON. Wojny w Ukrainie i Iranie pokazały, że dziś to niezbędne uzbrojenie. **„Ta broń może być tak dobra, że warto będzie ją zachować dla siebie", pisze na polityka.pl Marek Świerczyński.**

Kto to sprawdzi?

Matury za nami, teraz trzeba je sprawdzić. To zadanie nauczycieli, którzy wertują arkusze po godzinach i w weekendy. „Gdyby każdy maturzysta złożył odwołanie, a do ponownego sprawdzenia skierowano by niezależnych ekspertów, przekonalibyśmy się, że **ta robota nie jest wykonywana rzetelnie", pisze na polityka.pl polonista Dariusz Chętkowski i zdradza niewesołe kulisy pracy egzaminatora. Wyniki matur 8 lipca.**

Izrael zdobył zamek

Brzmi jak opowieść z czasów wypraw krzyżowych: rycerze przypuszczają szturm na zamek i wywieszają flagę na szczycie. Ale ta historia wydarzyła się naprawdę. Izraelczycy właśnie zajęli Beaufort, prawdziwy zamek krzyżowców w Libanie. Co prawda nikt go nie bronił... **„To zaskakujące, jak geografia tego miejsca może być niezmiennie ważna przez tysiąc lat", pisze Łukasz Wójcik i wyjaśnia sens tej ofensywy.**

Jak namierzyć ADHD

Dlaczego na diagnozę ADHD czeka się długo i jak się tak naprawdę ono objawia? W podkaście psychologicznym POLITYKI mówi o tym Paulina Danielak, psycholożka i psychoterapeutka poznawczo-behawioralna w trakcie specjalizacji. Szacuje się (niedokładnie), że z ADHD boryka się 3 proc. dorosłych i 6 proc. dzieci. W podkaście podpowiadamy, jak z nim żyć, jeśli dotyka nas albo kogoś nam bliskiego.

Sekrety polskich dworów

W podkaście „Polityka o historii" zaglądamy na królewskie dwory, a interesują nas kobiety, zwłaszcza z dynastii Piastów i Jagiellonów. Spychane na dalszy plan, rodziły następców tronu, budowały sojusze, wpływały na religię i politykę. Niektóre dosłownie przewyższały swoich małżonków. O ich losach z pasją opowiadają dr Agnieszka Pawłowska-Kubik i prof. Bożena Czwojdrak.

© GRUPA WB, DANIEL ADAMSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, AFP/EAST NEWS, LESZEK ZYCH, ANNA AMAROWICZ

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 3c38c03389

POLITYKA

SŁUCHAJ I OGLĄDAJ!

Rozmawiamy nie tylko o polityce.

Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.

Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

POLITYKA.PL/PODKASTY

eprasa.pl 3c38c03389

ZAPRASZAMY NA OLIMP

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 3c38c03389